TRYBUNAŁ ZA ŻYCIEM

GRZEGORZ GÓRNY O LAWENDOWEJ MAFII W KOŚCIELE

EPIDEMIA – KTÓRY FRONT NAJWAŻNIEJSZY

NAGRODY „POLSKIEGO KOMPASU" PRZYZNANE

JACEK KARNOWSKI O HISTORYCZNYM WERDYKCIE

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 44 (413) 2020
26 X–1 XI 2020

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

UJAWNIAMY

TAJEMNICE ROMANA GIERTYCHA

OD LAT MIESZA ROLE – ADWOKATA, BIZNESMENA, CELEBRYTY, KOMENTATORA, POLITYKA.

ALE TO NIE BAŁAGAN, TO METODA

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

CYFROWY POLSAT

NOWA OFERTA Z NOWYMI PAKIETAMI!

ULUBIONE KANAŁY W JEDNYM PAKIECIE

SAT TELEWIZJA SATELITARNA

IPTV TELEWIZJA KABLOWA

30 zł/mies.

KANAŁY NICKELODEON I CINEMAX DOSTĘPNE PRZEZ PIERWSZE 24 MIESIĄCE UMOWY.

Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej i telewizji kablowej IPTV przy umowach z pakietem M z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe, w którym cena wynosi 30 zł/mies. Szczegóły w Warunkach Oferty, Regulaminie Promocji i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl.

„Żyć, śpiewać". © 2020 Home Box Office Inc. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Oferta ważna na dzień 12.10.2020 r.

eprasa.pl 17264ffba3

Po dobrej stronie historii

Wielu się niecierpliwiło, wielu wątpiło, ale wreszcie jest. Trybunał Konstytucyjny orzekł, że aborcja w przypadku ciężkiego i nieodwracalnego upośledzenia płodu, jego nieuleczalnej choroby zagrażającej życiu lub przesłanki medycznej wskazującej na duże prawdopodobieństwo choroby dziecka, jest niezgodna z konstytucją. Wniosek o zbadanie zgodności tej przesłanki z konstytucją złożyło w 2019 r. 119 posłów PiS, PSL-Kukiz '15 oraz Konfederacji. Trybunał podjął decyzję w pełnym składzie, przy dwóch zdaniach odrębnych.

To werdykt o znaczeniu historycznym. Trybunał Konstytucyjny stanął po stronie najsłabszych, bo przecież to rozstrzygnięcie dotyczy przede wszystkim dzieci z zespołem Downa. Trybunał zatrzymał coś, co miało być małą furtką dla szczególnie trudnych przypadków, a w istocie stało się masowym procederem eugenicznym. Wystarczyło przecież podejrzenie, bardzo często później niepotwierdzone, by zapadł wyrok. Wyrok śmierci.

Trybunał stanął po stronie tych, którzy sami bronić się nie mogą. Stanął po dobrej stronie historii. Bo nie mam wątpliwości, że przyjdą czasy, gdy zabijanie dzieci będzie postrzegane tak samo, jak dziś postrzega się np. niewolnictwo czy ofiary składane z ludzi. Tym bardziej że współczesny świat naprawdę dysponuje możliwościami, by otoczyć miłością i opieką każde dziecko, także to niechciane przez rodziców. I także to niepełnosprawne. Dzisiejszy świat wie także, że to nie żaden „zlepek komórek", ale istota ludzka, szybko przyjmująca ludzkie kształty. Każdy, kto chce, może to zobaczyć na ekranie.

Sędziom TK należą się słowa uznania, szczególnie ze strony środowisk pro-life, które przecież nie szczędziły im ostrej krytyki. W tych warunkach cywilizacyjnych, które mamy dziś w Polsce i w Europie, wykazali się wielką odwagą i mocnymi sumieniami. Wysłali w świat sygnał, że są miejsca, w których cywilizacja śmierci jeszcze nie zwyciężyła. Wysłali sygnał, że prawica może nie tylko się nie cofać, ale również podejmować działania zwiększające poziom ochrony najsłabszych. Pokazali także, że poważnie traktują naszą konstytucję, która zapewnia każdemu człowiekowi prawną ochronę życia. To sprawia, że przechodzą do historii. Ale jest też jasne, że za tę decyzję i Trybunał, i jego prezes, i każdy z sędziów, będą brutalnie atakowani. Nie można ich zostawić bez wsparcia, bez solidarności. Tej solidarności, którą oni sami okazali najsłabszym.

Z aborcji nigdy nic dobrego nie wynika. Nigdy. To rozwiązanie, które zawsze dogania sprawców. Najwyższą cenę płacą ofiary, ale i sprawcy nie uchodzą z tego cało. Bywa, że później uciekają całe życie przed konsekwencjami, przed pamięcią. Widać to przecież na wielu demonstracjach; te twarze mówią wszystko. Pamiętajmy jednak: życia trzeba bronić we wszystkich sferach, codziennie i wytrwale, nie szczędząc środków. Trzeba edukować, przekonywać, wspierać ludzi w potrzebie. Bez tego decyzja Trybunału okaże się jedynie czasową ochroną nienarodzonych. Cywilizacja życia na samej konstytucji się nie utrzyma.

Ale trzeba też wyciągać wnioski polityczne: ten werdykt – choć wyrasta logicznie z orzecznictwa TK za czasów prof. Andrzeja Zolla – nie mógłby zapaść, gdyby nie zmiana polityczna w Polsce w 2015 r. To ona umożliwiła przeprowadzenie zmian również w Trybunale, choćby poprzez wybór sędziów spoza dotychczasowego układu. Zmiana, która operuje na różnych tonach, ma różne skrzydła, która nie wszystkie postulaty konserwatystów może spełnić od razu, ale która właśnie dzięki temu, że nie jest „totalna", może zabiegać o większość i finalnie przynosić zmiany rzeczywiście fundamentalne.

Lewica liczy, że rozpęta teraz wojnę światopoglądową, która da jej zwycięstwo polityczne. Czy ten plan się powiedzie? To zależy od każdego z nas. Jeśli widoczni będą tylko zwolennicy aborcji, a obrońcy życia będą siedzieli cicho, finał jest łatwy do przewidzenia.

Polska jest po dobrej stronie historii, nawet jeśli wyprzedza resztę Europy o dziesiątki lat, a może i o więcej. A ta decyzja z pewnością do nas wróci i może się okazać kluczowa w 2023 r. – ale w zupełnie innym sensie niż kalkuluje to opozycja. W końcu podjęto ją w dniu, w którym Kościół wspomina św. Jana Pawła II – opiekuna naszej Ojczyzny.

Jacek Karnowski

Reklama | 9/0320/F

SIECI

spis treści

28 *Z dr. Pawłem Grzesiowskim rozmawia Dorota Łosiewicz*

51 Kiedyś kochaliśmy Czeczenów *Maja Narbutt*

58 Popychanie Bidena *Jan Rokita*

NA POCZĄTEK

6 SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 KOŃSKIE ZDROWIE
Krzysztof Feusette

9 NASZ STACH
Dorota Łosiewicz

10 ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Konrad Kołodziejski

12 MIGAWKI TYGODNIA
Jan Pietrzak

13 FILEMON, BAUCIS I NOWOCZESNOŚĆ
Bronisław Wildstein

14 ZDJĘCIA Z PODRÓŻY MAŁGORZATY TOMASZEWSKIEJ
Michał Korsun

15 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU
Dominik Zdort

16 OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki

17 ODZYSKANE DZIEŁA SZTUKI
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 FELIETONY
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

20 BEZWZGLĘDNY KAMELEON
Marek Pyza

26 PRAWNIK DO ZADAŃ SPECJALNYCH
Wojciech Biedroń

KRAJ

28 Z DR. PAWŁEM GRZESIOWSKIM
rozmawia Dorota Łosiewicz

33 W POGONI ZA SZCZEPIONKĄ
Konrad Kołodziejski

36 CZY PROCEDURY ZABIJĄ POLSKI LEK NA COVID-19?
Grażyna Raszkowska

40 Z PROF. WALDEMAREM PARUCHEM
rozmawia Jacek Karnowski

44 RADOŚNIE W PRZEPAŚĆ
Stanisław Janecki

46 MATKA POLKA À REBOURS
Jakub Augustyn Maciejewski

48 LAWENDOWA MAFIA
Grzegorz Górny

51 KIEDYŚ KOCHALIŚMY CZECZENÓW
Maja Narbutt

OPINIE

54 Z RODEM DREHEREM
rozmawia Goran Andrijanić

ŚWIAT

58 POPYCHANIE BIDENA
Jan Rokita

SIECI KULTURY

63 20 LAT Z „M JAK MIŁOŚĆ"
Jolanta Gajda-Zadworna

66 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM
Piotr Zaremba

67 WOJCIECH PSZONIAK – POŻEGNANIE
Jolanta Gajda-Zadworna

68 NIE KAŻDY HOMOSEKSUALISTA JEST GEJEM
Robert Tekieli

69 WOJNA CYWILIZACJI
Robert Tekieli

70 CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY
Wojciech Stanisławski

GOSPODARKA

76 Z WOJCIECHEM DĄBROWSKIM
rozmawiają Michał Karnowski, Maciej Wośko

80 NAGRODY „POLSKIEGO KOMPASU" PRZYZNANE
Maksymilian Wysocki

KUCHNIA

82 MOJE SMAKI: BEATA SCHIMSCHEINER
Jolanta Gajda-Zadworna

83 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

84 ZAMIAST NAGONKI, CENZURY I POGARDY
Maciej Pawlicki

86 TO JUŻ KOLEJNE POKOLENIA
Alina Czerniakowska

87 FELIETONY
Lech Makowiecki

87 Z ŻYCIA KOŚCIOŁA
Agnieszka Ponikiewska

88 ODWAGA PATRZENIA W PRZYSZŁOŚĆ
Jan Pospieszalski

89 CON LEGGEREZZA
Leszek Długosz

98 TECHNOLOGIA NA (NIE)SZCZĘŚCIE
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama | 39/0920/F

eprasa.pl 17264ffba3

PGE Polska Grupa Energetyczna

#PGE2050

to neutralność klimatyczna
oraz 100 proc. zielonej energii dla Klientów

www.gkpge.pl

eprasa.pl 17264ffba3

Sygnalista nadaje

Tomasz Lis i Wojciech Mann, dwaj wybitni intelektualiści światowej klasy (obecnie mieszkający w Polsce), pochylili się nad rządem Rzeczypospolitej. Rozmowa wyglądała następująco: gdy Lis zapytał, czy obecna władza dokonuje pewnej „zemsty na narodzie", Mann odpowiedział następująco: „Zastanawiam się, jakie mogą być przyczyny takiego nielubienia swojego narodu, żeby mu bez przerwy udowadniać, że jest gorszy, prowincjonalny i chwalić tych, którzy przyklaskują temu". Zarzut pusty, ale dobrze wiedzieć, że obaj panowie mają ciepłe uczucia wobec narodu.

Wojciech Mann kontynuował: „My jesteśmy, naprawdę, z dnia na dzień spychani na jakieś marginesy. Ludzie się wstydzą tego, że mają polskie obywatelstwo – ja mówię o ludziach rozumnych i takich, którzy kawałek świata widzieli". Są takie podróże, które nie kształcą, a ogłupiają, wpędzając w tanie kompleksy. Czyżby to był ten przypadek?

Szpital Neuropsychiatryczny w Lublinie zwrócił się do pana ***Jerzego Owsiaka*** z prośbą o możliwość przekazania do innego lubelskiego szpitala łóżek zakupionych przez Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy. Sprzęt miał zostać wykorzystany w walce z koronawirusem. Owsiak poinformował, że „kategorycznie nie wyraża zgody na takie działanie". Dlaczego? Bo obawia się, że łóżka – zakupione przez WOŚP – już nie wrócą na swoje miejsce. Dziwne. Wydaje się, że Owsiak powinien biec z pomocą, choćby dla oklasków. Tymczasem on blokuje, co może. Czy to strategia opozycji, której szef WOŚP jest ważnym elementem?

Krzysztof Śmiszek z Lewicy ma receptę klasycznie wschodnią: zakazać wątpliwości. „Stop antycovidowym bredniom! W imieniu Lewicy składam projekt ustawy penalizującej podważanie istnienia pandemii oraz zachęcanie innych do ignorowania zaleceń sanitarnych. Brednie to nie jest wolność słowa. To zagrożenie dla każdego z nas! Grzywna lub ograniczenie wolności". Proste, prawda? Jak sierp i młot.

Owsiak twierdzi, że pomagał, ale już więcej nie chce. „Nasza Fundacja przekazała sprzęt medyczny i środki ochrony osobistej o wartości prawie 50 milionów i nadal jest gotowa pomagać Polakom w tej walce, ale nie powinna na dzień dzisiejszy w podstawowych zadaniach zastępować państwa". Zgoda, nie powinna zastępować państwa. To nie ma sensu także dlatego, że w kluczowym momencie z zakupionego sprzętu nie można skorzystać.

Chwilę potem Owsiak poinformował, że zachorował na koronawirusa. „Poczułem typowe objawy grypy – ból mięśni, gorączka 38 stopni. Byłem przekonany, że może to być tylko grypa, ale na wszelki wypadek zgłosiłem wraz z żoną chęć zrobienia testów. Weekend był trudny, ale powoli objawy mijały. Myślałem, że jak to typowa grypa. Zrobiliśmy jednak testy i okazało się, że wynik jest pozytywny". Obyło się więc bez szpitalnego łóżka. Będzie refleksja?

Owsiak ma taką oto refleksję: „To pokazuje, jak bardzo różną formę przybiera koronawirus. Gdyby pandemia nie była obecna we wszystkich przekazach medialnych, uznałbym to za coś, co w życiu już zdarzyło mi się nieraz i dzisiaj byłbym już w Fundacji. Wyniki testu zmieniły jednak te plany o 180 stopni. Dlatego apeluję do Was: nie bagatelizujcie nawet najmniejszych objawów. Dbajcie o siebie". Ciekawe, jak długo świat będzie się bawił w to łapanie wiatru do worka. Ale może trzeba.

Poseł Konfederacji ***Grzegorz Braun*** promował na antenie TVP Info książkę „Fałszywa pandemia". Prowadzący program red. Adrian Klaren-

eprasa.pl 17264ffba3

bach prosił Brauna, by nie „lokował produktu". Doszło do ostrej wymiany zdań. „Ostatni raz pana proszę, aby odłożył pan książkę, bo to jest program publicystyczny, a nie program śniadaniowy ani kawka wieczorna. Nie lokujemy produktów w tym programie" – mówił prowadzący, a Braun rzucał porównaniami do Martyki i Goebbelsa. Wówczas prowadzący poprosił realizatorów o zdjęcie obrazu z Braunem. Wist udany, ale precedens niedobry.

Wspomniany Braun o pandemii ma taką oto opinię: „Pod pretekstem walki z mniemaną pandemią totalniacka władza w pełnym porozumieniu z tresowaną opozycją proceduje właśnie ustawowe ramy nowego apartheidu, segregacji – na razie dla niezamaskowanych, jutro dla nieszczepionych". To zapewne krytyka ustawowego obowiązku noszenia maseczek. Ciekawe, jak wyglądałaby Polska pod rządami tych ludzi?

Janusz Korwin-Mikke ma inny pomysł. Złożył poprawkę do ustawy, która zakłada, że „w szkołach podstawowych i liceach wprowadza się podział uczniów na klasy według płci, a w szkołach zawodowych pozostawia to się decyzji dyrektora". „Wprowadzenie podziału na płci zmniejszy interakcję między uczniami, co zmniejszy możliwość zarażenia się koronawirusem" – przekonuje, dodając: „W koedukacyjnych szkołach poziom nauczania jest niższy niż poziom szkół męskich i żeńskich". W tej ostatniej sprawie ma rację: to prawda. Ale błazenada uśmierca nawet słuszne diagnozy.

Aleksandra Rybińska informuje na portalu wPolityce.pl o „postępach wolności" w Niemczech. Renomowane wydawnictwo zakończyło właśnie 40-letnią współpracę z pisarką Moniką Maron. „Autorkę ukształtowało doświadczenie enerdowskiej dyktatury, podczas której najpierw współpracowała ze Stasi, a potem znalazła się na jej celowniku. Jej debiutancka powieść »Flugasche« z 1981 r., o zanieczyszczeniu środowiska w NRD, nie przeszła przez cenzurę i została wydana w Niemczech Zachodnich". Teraz wydawnictwo zerwało współpracę, argumentując, że pisarka stała się „politycznie nieobliczalna". Nawet nowomowa wydaje się znajoma.

Co konkretnie zarzucono pani Maron? „Była zbyt krytyczna wobec polityki migracyjnej rządu, islamu oraz piętnowała polityczną poprawność. Jej przedostatnia powieść, wydana w 2018 r. przez wydawnictwo S.Fischer »Munin, czyli chaos w głowie«, dotyczyła masowej migracji, a jej ostatnia pt. »Artur Lanz« wolności słowa, ideologii gender oraz społeczeństwa, w którym nie ma już mężczyzn oraz męskich bohaterów. (...) Opór wobec panującego porządku i »represyjnego klimatu debaty« w Niemczech oraz feministycznego terroru to główne tematy książki". Niemcy, jak coś budują, to zawsze bez hamulców.

W tym kontekście wyjątkowo zabawnie brzmi komunikat ambasadora Niemiec w Polsce Arndta Freytaga von Loringhovena, który informuje o swoim spotkaniu z ambasador USA w Polsce: „Serdecznie dziękuję Georgette Mosbacher za wspaniałą przyjacielską kolację! Tematy naszych rozmów to stosunki transatlantyckie, Trójmorze i wolność mediów w Polsce". Jak to mówią, diabeł się w ornat ubrał i ogonem na mszę dzwoni.

Panu Loringhovenowi odpowiedział wiceszef MSZ Szymon Szynkowski vel Sęk. „Wolność mediów to fundament demokratycznego państwa prawa i nasza wspólna troska. Przy najbliższej okazji podzielę się z Panem ambasadorem Niemiec swoimi refleksjami i obserwacjami dotyczącymi wolności słowa i pluralizmu mediów w Niemczech". Słusznie. W ogóle od pewnego czasu nasza dyplomacja stała się odważniejsza i pewniejsza siebie. Niech ćwiczą. Czekają nas duże przeciążenia. Trzeba się konsolidować i walczyć.

Dyrektor biura prasowego Kancelarii Prezydenta Marcin Kędryna udzielił wywiadu telewizji Polsat. Głośnego wywiadu. Oto próbka, odpowiedź na uwagę dziennikarza, że mury kancelarii odmieniają: „Niektórych tak. Ale wolałbym o tym nie mówić. No dobra, o jednym opowiem. Już chyba się cała Warszawa nabija z człowieka, któremu kawę muszą przynosić kelnerzy. Co prawda, ma ekspres obok siebie. Ale woli, by kelner niósł ją ze sto metrów. Choć może chodzi o to, że lubi zimne espresso". A więc, po pierwsze, lojalność.

Po drugie, skromność: „Tłumaczyłem im [w biurze prasowym przy Nowogrodzkiej] wiele oczywistych rzeczy. Na przykład to, że jak dzwoni dziennikarz, to przede wszystkim należy odebrać telefon. Powiedzieć: »Tak, oczywiście« i odłożyć słuchawkę, by przemyśleć, o co mu chodziło. W zasadzie wszystko, co im tłumaczyłem, było w kontrze do zasad działania ich biura prasowego. Oni funkcjonowali w pewnym getcie". A więc wygrał wybory nie tylko prezydenckie, ale i parlamentarne.

Po trzecie, wyczucie: „Widziałem Andrzeja w różnych sytuacjach i wiem, że to, co mówi o szacunku do każdego człowieka, to nie są puste słowa. Kiedyś w obecności Andrzeja powiedziałem o kimś »pedał«. Opieprzył mnie za to. I nie chodziło mu o poprawność polityczną, tylko o to, że człowiekowi, o którym mówiłem, mogło się po prostu zrobić przykro". Chyba będzie z tego urlop, a może coś więcej.

Fot. Andrzej Skwarczyński, Andrzej Wiktor x2, Mateusz Zelnik

eprasa.pl 17264ffba3

Końskie zdrowie

Wysoki Sądzie, niech Sąd siądzie... Dobrze, już nie trzeba całować po rękach, zresztą, zaraz wyja-śnię, dlaczego to chwilowo nie są ręce, a kopyta. A więc złapali mnie na lasso i przywiązali do słupa, konkretnie dwóch. Albo powiązali ze słupami, jak zwał, tak zwał. Pomijam już fakt, że poza Teksasem jest to zakazane, ale gdzie my żyjemy? Na Dzikim Zachodzie?

Zresztą zaraz się przekonamy, czy mamy tu jeszcze cywilizację zachodnią, czy może już tylko wszechpolską dzicz. Pragnę bowiem wyjaśnić, iż z przyczyn tożsamościowo-wolnościowych, a także idąc z duchem czasu, który każe nam zredefiniować wytarte jak siodła pojęcia, od chwili obecnej aż do końca tej farsy nie podlegam jurysdykcji miejscowego wymiaru sprawiedliwości, a jedynie Państwowej Inspekcji Weterynaryjnej. I zgodnie z wykładnią Rzecznika Praw Obywatelskiej, przepraszam, Obywatelskich, Wysoki Sąd powinien zwracać się do mnie tak, jak ja sobie tego życzę – w całej rozciągłości mej osobowości. Przykładowo, gdyby eksposłanka Anna Grodzka dowiedziała się, że dany sędzia, nazwijmy go Rozgrzany, daje niższe wyroki mężczyznom niż kobietom, mogłaby przedstawić się jako Bęgowski Krzysztof. Pomijam już fakt, że jeśli przestępstwo popełniła Grodzka, to Bęgowski nie może iść siedzieć. I odwrotnie.

KRZYSZTOF FEUSETTE

Załączam zatem artykuły prasowe oraz wykładnie autorytetów prawniczych Królestwa Wielkiej Brytanii dotyczące pana Jamesa z Anglii, który kilka lat temu oświadczył, że czuje się psem, więc chętnie zrobi siku pod drzewkiem albo zagryzie kurę na podwórku. Mój przypadek, by nie rzec kazus, jest znacznie prostszy: jestem nazywany „Koniem" od dawna. Nie wstydzę się tego, ba, wielokrotnie sam z tego żartowałem. Tym bardziej nie widzę przeszkód – jak rzekł pewien ślepy rumak, gdy zapytano go o przyczynę sukcesów – by Wysoki Sąd uszanował moje prawo do bycia tym, kim chcę. W przeciwnym razie osunę się na ziemię i wstanę dopiero po przybyciu kogoś od Bodnara.

Przypomnę, że zatrzymano mnie, to znaczy wstrzymano, bo konia się wstrzymuje, nieomalże u wejścia do sądu, to znaczy, yyy, cyrku, w którym pracuję. Nie chciałem się wyrywać, bo i tak chodzę w kółko, pomyślałem: co mi szkodzi, spacerniak jest spacerniak. Ale potem zrobiło mi się przykro. Bo stanęły mi przed oczami wszystkie te momenty, gdy człowiek, to znaczy koń, myślał sobie: jeszcze będzie przepięknie, jeszcze ci postawią statuetę większą niż Pomnik Konia w Koninie (jak to strasznie brzmi!), jeszcze docenią cię ci, którzy chcieli za wora i do jeziora. Jeszcze ci w zębach kostkę cukru przyniosą albo suchy chleb dla konia, jak w „Wojnie domowej". Ech, ile człowiek, to znaczy koń, miał wtedy energii, ile planów na gonitwy myśli i pokonywanie przeszkód. A dziś muszę stać, bo przecież jako koń nie dam rady siedzieć, przed Wysokim Sądem i tłumaczyć się z czegoś, czego nie zrobiłem. Jak zwierzę może coś podpisać? Do tego z klapkami na oczach! Koń by się uśmiał, ha ha ha.

Ale mnie do śmiechu nie było, gdy przyszli stajnię przetrzepać. Mówię im, to znaczy rżę, iż muszę na stronę, to jeden poszedł za mną i zrobił coś takiego, że padłem jak kłoda. Nie wiem, spojrzał jakoś albo coś? Był przecież taki film: „Czyż nie dobija się koni?". A pamięta Wysoki Sąd serial „Karino"? Tam był koń, któremu Zdzisław Maklakiewicz wydawał polecenie: „Koń kuleje" i on kulał. To może ten bandyta szepnął „Koń zemdleje"? Obudziłem się w szpitalu, jak przyszła ta histeryczka od Bodnara, sześć razy powtarzała, jak się nazywa, jakbym i tak nie miał za dużo na głowie. A to koń mdleje, a to koń śpi, a to koń otruty leci za granicę, a to koń zdrów jak koń i wraca do domku... Można się pogubić, a władza tylko czeka, żeby konia podkuć, to znaczy zakuć. A potem zapomnieć. Jak to możliwe, że na wzruszającą akcję zorganizowaną przez krewnych i znajomych konika pod hasłem MuremZaRomanem – internauci odpowiedzieli, że bardziej RomanZaMurem? Co oni sobie myślą? Że nie przeskoczę? Kto nie skacze, ten za PiS-em! Nadszedł czas, Wysoki Sądzie, na który czekaliśmy wiele lat, marząc o odebraniu władzy PiS-owi. Potrzebne było już tylko jedno, aby zagranica i ulica wyniosły wreszcie do władzy tych, których to ciemne społeczeństwo nie umiało wybrać! I oto nareszcie jest – pierwszy w kaczystowskim reżimie więzień polityczny! Tadaaam, to znaczy: patataaaj! Czy Wysoki Sąd nie widzi, jak pięknie to się układa w opowieść o nowym wodzu opozycji antypisowskiej, Szalonym Koniu Drugim, który, tak jak jego słynny imiennik z plemienia Siuksów, zjednoczy towarzyszy, by ruszyli na wroga?!

Dlatego zwracam się do Wysokiego Sądu o ponowne rozpatrzenie zwolnienia mnie do stajni. Po pierwsze – właśnie tam zemdlałem. Po drugie – nie chcę nawet sprawdzać, co służby stamtąd zabrały, bo mi się znowu słabo zrobi. Po trzecie – to również tam córce mojej agenci składali niedwuznaczne propozycje, a ona nawet się nie zorientowała. Dopiero żona moja Barbara musiała zwrócić jej uwagę, co jest dwuznaczne, a co nie! Czy Wysoki Sąd wie, że jeden z funkcjonariuszy chciał jej pomóc w sprzątaniu! Moja córka miałaby sprzątać?! Miarka się przebrała, ja pójdę z tą sprawą do Strasburga. Świat musi się dowiedzieć, jak reżim traktuje rodzinę Romano! Bo – umówmy się – to już jest autentyczne zbydlęcenie, żeby koniowi siana żałować.

eprasa.pl 17264ffba3

Nasz Stach

Od niedawna mam nowego towarzysza. Raczej nie powiem, że to mój przyjaciel. Wcześniej go nie znałam. Pojawił się któregoś dnia o świcie wraz z dźwiękiem pędzącej za oknem karetki i nie chce sobie pójść. Zagląda mi w oczy i mówi: „Jestem z tobą i jeszcze chwilę zostanę". To strach. Może, żeby go oswoić, powinnam zacząć mówić o nim: „Stach". Wtedy mogłabym rano się obudzić i zapytać: „Stachu, jesteś jeszcze?".

Najbardziej boję się o rodzinę, o dzieci, o męża. Chyba nie jestem jedyna. Teraz każdy ma swojego Stacha, który jest przy nim. Boimy się, że się zakazimy albo że trafimy na kwarantannę. Ktoś bardziej się boi, że straci miejsce pracy. Ktoś, że padnie jego biznes. Jeszcze ktoś inny, że zachorują najbliżsi.

Napięcie w ludziach czuć na każdym kroku. Jedni się denerwują, że nie mogą pójść na siłownię, innym szkoda basenu, ktoś tęskni za dyskoteką i wyjściem ze znajomymi, a jeszcze ktoś jest zmęczony izolacją, samotnością i zdalną pracą. Ktoś musiał odłożyć wesele, ktoś miał nagły pogrzeb, ktoś nie wyprawił urodzin, a ktoś nie pojechał na wymarzone wakacje. Lekarze, pielęgniarki, ratownicy, cały personel medyczny zmęczony jest nawałem pracy, ekspedientki boją się kichających klientów, a ludzie boją się, gdy ktoś podchodzi zbyt blisko. Humoru raczej nie poprawiają nam krążące wokół karetki na sygnale czy oglądane w mediach obrazki z całego świata rodem z filmu katastroficznego, w którym wcale nie planowaliśmy wystąpić. To wszystko sprawia, że częściej niż wcześniej warczymy na siebie, łatwiej nas zdenerwować, wyprowadzić z równowagi, a nawet doprowadzić do szału.

„Do czasu aż szczepionka nie zostanie wynaleziona, aż odpowiednie lekarstwo nie zostanie wynalezione, proponuję, żebyśmy tę jedną najważniejszą szczepionkę wszyscy zastosowali. Tą szczepionką jest solidarność" – zaapelował premier z mównicy sejmowej. Adresatami tego apelu powinniśmy się poczuć wszyscy. Pierwszy test na solidarność to potraktowanie wszystkich wokół nieco łagodniej: gościa, który wpycha się z drugiego pasa, męża, który krzywo spojrzał, żony, która wstała lewą nogą, czy bezimiennego hejtera, który bluzga na prawo i lewo. Na ulicy czy w sieci nie trzeba się od razu wdawać w pyskówkę, która raczej humoru nam nie poprawi, tylko nas samych rozjuszy, niczym czerwona płachta na byka.

Po drugie, warto się rozejrzeć wokół. Może na naszej klatce, w domu obok lub na osiedlu mieszka starsza, schorowana osoba, która w tych dniach nie powinna sama robić zakupów. Może nie zrujnuje naszego planu dnia, jeśli komuś w tym pomożemy. A może gdzieś potrzeba wolontariuszy, którzy pomagają w bardziej zorganizowany sposób? A jeśli sąsiad na kwarantannie nie może wyprowadzić na spacer psa, to może możemy zrobić to za niego, zachowując oczywiście wszystkie względy bezpieczeństwa. Zresztą i ta akcja ma swoje ramy, nazywa się „Pies w koronie" i ma na celu pomoc w opiece nad zwierzętami osobom, które same tego zrobić nie mogą.

A może jeśli dawno, z powodu sanitarnego rygoru, ze strachu o czyjeś zdrowie nie widzieliśmy seniora z naszej rodziny i dalej go zobaczyć nie możemy, to chociaż zadzwońmy pogadać, wysłuchać, a może podrzućmy mu prezent pod drzwi, mówiąc w ten sposób, że o nim pamiętamy, jest dla nas ważny i się o niego troszczymy. Nawet jeśli obecnie nie możemy się zobaczyć. Samotność w tym trudnym czasie na pewno wielu osobom dała się we znaki.

Może w ten sposób, wspólnymi siłami, uda nam się pokonać pandemię obojętności, znieczulicy, lęku i frustracji. Bo jestem pewna, że „jeszcze będzie przepięknie, jeszcze będzie normalnie", choć nikt z nas, nawet najlepiej wykształceni eksperci, nie wie w tym momencie, kiedy to może nastąpić.

– Stachu, jesteś?

– Jestem. Jeszcze tu sobie posiedzę.

Dorota Łosiewicz

Fot. Gil Cohen Magen/Shutterstock.com

Izrael

Wysoka cena sukcesu

Przewidywane 25 proc. bezrobocia i niepokój właścicieli małych biznesów. Po wprowadzeniu drugiego lockdownu rząd Beniamina Netanjahu ma potężny problem. W Izraelu frustracja wylewa się na ulice.

W ostatnich dniach wyraźnie spada liczba nowych przypadków COVID-19 w Izraelu, choć jeszcze we wrześniu kraj ten był w światowej czołówce zakażeń i zgonów w przeliczeniu na milion mieszkańców. Drugi lockdown wprowadzono, gdy liczba przypadków doszła do 3,5 tys. dziennie. W dziewięciomilionowym kraju oznaczało to 400 zakażeń na milion mieszkańców. Na przełomie września i października liczba ta doszła aż do 700 zarażonych na milion. Jednak kilka tygodni po wprowadzeniu restrykcji, krzywa zakażeń znów zaczęła się wypłaszczać, a liczba zakażonych spadła o 70 proc.

Cena tego sukcesu była jednak wysoka. Od połowy września Izraelczycy mogli się poruszać tylko w promieniu kilometra (poza wyjątkiem dojazdu do pracy i „ważnych życiowych aktywności"). Przestały działać szkoły, sklepy (poza spożywczymi i aptekami), hotele, baseny i kluby fitness. Restauracje prowadziły sprzedaż na wynos. Zamknięto nawet synagogi i ograniczono działalność lotniska Ben Guriona pod Tel Awiwem. Lockdown był równie ostry jak ten w Polsce w marcu tego roku. Było to o tyle dotkliwe, że bezrobocie w Izraelu wzrosło do poziomu nienotowanego od 15 lat. Przed domem premiera Netanjahu pojawiły się niedawno banery z napisem „Rewolucja". Organizatorzy protestów, zwoływanych pomimo obowiązujących obostrzeń dotyczących zgromadzeń, przekonują, że w całym kraju zgromadziły one łącznie 260 tys. osób. Można zrozumieć, dlaczego Izraelczycy wyszli na ulice, jednak ich tłumne demonstracje na pewno nie ułatwiają walki z pandemią.

Podczas manifestacji tradycyjnie pojawiły się hasła nawołujące do rezygnacji Netanjahu. Chodzi nie tylko o zapaść gospodarczą wywołaną pandemią, lecz również o ciągnące się za premierem zarzuty korupcyjne i związany z tym niekończący się kryzys rządowy, który doprowadził do tego, że w ciągu półtora roku aż trzykrotnie organizowano w Izraelu wybory parlamentarne i niewykluczone są kolejne. Nic więc dziwnego, że gorące spory polityczne przenoszą się powoli na ulice. W Hajfie zatrzymano niedawno trzech działaczy skrajnej prawicy, którzy mieli atakować antyrządowych demonstrantów gazem pieprzowym.

Netanjahu broni się przed zarzutami, twierdząc, że każdy rząd w obliczu gwałtownego wzrostu zakażeń zachowałby się tak samo. Pytanie tylko, czy gdzie indziej wywołałoby to równie gwałtowne protesty.

Łukasz Adamski

Białoruś

Opozycja na smyczy

Wiele wskazuje na to, że Aleksander Łukaszenka, który zapowiedział niedawno, że obecna kadencja na stanowisku prezydenta Białorusi będzie jego ostatnią, rozpoczął właśnie nową rozgrywkę służącą umocnieniu jego władzy. Chodzi o rozpoczęty proces budowy „koncesjonowanej" opozycji, czemu równolegle towarzyszy rozpoczęcie debaty nad szykowanymi na listopad propozycjami zmian w konstytucji.

Po sensacyjnym spotkaniu, jakie Łukaszenka odbył w mińskim więzieniu KGB z grupką aresztowanych przedstawicieli opozycji, władze rozpoczęły stopniowy proces zwalniania tych, z którymi Baćka rozmawiał przez ponad cztery godziny na temat – jak informowały oficjalne media – „reformy konstytucyjnej". Areszt opuścili już m.in. członkowie prezydium Komisji Koordynacyjnej Lilia Ułasawa i Maksim Znak oraz szef firmy PandaDoc Dmitrij Rabcewicz i Witalij Szklarow, rosyjski polittechnolog z amerykańskim paszportem, oskarżany przez władze o kierowanie kampanią wyborczą trójki opozycyjnych kandydatów (Cichanouska, Babaryka, Cepkała), z których żaden nie mógł uczestniczyć w wyborach prezydenckich 9 sierpnia.

Z aresztu wyszedł również Jurij Woskriesieński, jeden z lokalnych koordynatorów sztabu Wiktara Babaryki, który od razu stał się bohaterem kontrolowanych przez władze mediów. W udzielanych szeroko wywiadach oskarżył on Komisję Koordynacyjną i Swiatłanę Cichanouską o brak pozytywnego programu politycznego i „destrukcyjne podejście" do problemów kraju. Wezwał też do budowania „odpowiedzialnej opozycji", której przedstawiciele włączą się w prace nad nowelizacją konstytucji. Woskriesieński przyznał, że gotów jest stanąć na czele takiej nowej formacji opozycyjnej i przedstawił uwolnienie grupy aresztowanych opozycjonistów z aresztu jako swoją zasługę.

Wydarzenia te zbiegły się z doniesieniami o podróży Maksima Bogriecowa, ostatniego będącego na wolności członka prezydium Komisji Koordynacyjnej, do Rosji. Przebywał on tam w towarzystwie wyrzuconego z Białorusi Antona Rodnienkowa, sekretarza prasowego Komisji. Obydwaj Białorusini pojechali do Moskwy, aby – jak sami powiedzieli dziennikarzom – porozmawiać z przedstawicielami zbliżonego do władz na Kremlu środowiska eksperckiego i wytłumaczyć, że przeciwnicy Łukaszenki nie chcą zerwania tradycyjnych więzi z Rosją.

W białoruskim kryzysie politycznym rozpoczęła się więc nowa faza. Łukaszenka godzi się na istnienie opozycji, ale chce jej zapiąć smycz na szyi. Jeśli mu się to uda, wyjdzie z opresji wzmocniony.

Marek Budzisz

eprasa.pl 17264ffba3

Ukraina

Turecki sojusznik?

W trakcie ubiegłotygodniowego wystąpienia w Radzie Najwyższej, będącego podsumowaniem półtora roku rządów, prezydent Wołodymyr Zełenski kilkakrotnie ciepło wspominał o Turcji. Mówił o niej przy okazji tworzonej właśnie przez ukraińską dyplomację Platformy Krymskiej, której celem jest doprowadzenie do oswobodzenia półwyspu, podkreślał zasługi Ankary wspierającej wysiłki Kijowa w osiągnięciu skutecznego zawieszenia broni w Donbasie oraz chwalił kooperację wojskową przy budowie okrętów i dronów. To zresztą niejedyny przejaw współpracy militarnej obu państw. Wcześniej w wywiadzie dla tureckiej agencji informacyjnej Demirören prezydent Ukrainy przypomniał, że „duża liczba ukraińskich żołnierzy jest szkolona w tureckich ośrodkach wojskowych, zdobywając tam najnowocześniejszą wiedzę i doświadczenie w pracy z najlepszymi przedstawicielami sił NATO". Zdaniem Zełenskiego „takie podejście okazało się istotne dla uzyskania przez nasz kraj statusu specjalnego partnera Sojuszu".

Nic więc dziwnego, że ranga współpracy z Turcją została porównana przez Zełenskiego do pomocy udzielanej Ukrainie przez Stany Zjednoczone i do niedawno podpisanego porozumienia z Wielką Brytanią przewidującego budowę dwóch czarnomorskich baz wojskowych.

W tym kontekście deklaracje tureckiego prezydenta Recepa Erdoğana, który w trakcie wizyty Zełenskiego potwierdził poparcie dla ukraińskich aspiracji wejścia do NATO i podkreślił, że Ankara nigdy nie pogodzi się z aneksją Krymu oraz separatystycznymi tworami na wschodzie Ukrainy, brzmią, w opinii niektórych komentatorów jak zapowiedź otwarcia przez Turcję nowego pola rywalizacji z Rosją. Komentując przystąpienie Turcji do Platformy Krymskiej, prezydent Zełenski powiedział, że liczy „na poważną rolę Turcji w tej sprawie. W końcu czy można coś rozwiązać bez Turcji w naszym regionie? Oczywiście, że nie".

W trakcie wizyty ukraińskiego prezydenta w Ankarze zapowiedziano też wiele nowych formuł dialogu, w tym tzw. kwadrygę, czyli spotkania ministrów obrony i spraw zagranicznych. Ukraiński minister spraw zagranicznych Dmytro Kuleba napisał, że format ten jest „fundamentem czegoś więcej niż wielkie partnerstwo strategiczne", podkreślając jednocześnie, że Ukraina z żadnym z państw regionu nie uruchomiła dotąd takiego mechanizmu konsultacyjnego. Zdaniem niektórych ukraińskich komentatorów może to świadczyć o tym, że Kijów w swoim dążeniu do ściślejszej integracji ze strukturami NATO postawił na współpracę z Turcją, która jako jedyne państwo w regionie jest w stanie rzucić realne wyzwanie Rosji.

Marek Budzisz

Chile

Kościół w ogniu

Lewackie bojówki postanowiły w osobliwy sposób uczcić pierwszą rocznicę masowych zamieszek w Chile, zwanych „wybuchem społecznym". W tym celu podpaliły jeden z najstarszych budynków w stolicy – neogotycki kościół Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny. Zdjęcia ogarniętej płomieniami i walącej się kopuły świątyni obiegły cały świat. Aktywiści splądrowali też i sprofanowali kościół św. Franciszka Borgii w Santiago de Chile. Poza tym obrabowali kilka sklepów, w tym jeden supermarket, a także ranili 18 osób.

W sumie jubileusz zobowiązywał, ponieważ w ten sposób upamiętniano grabieże i napaści sprzed roku. Od tamtego czasu lewaccy aktywiści poważnie zniszczyli w całym kraju ok. 60 świątyń chrześcijańskich, głównie katolickich i ewangelickich. Organizacja Pomoc Kościołowi w Potrzebie zaklasyfikowała te akty jako „przestępstwa z nienawiści".

Ubiegłoroczne zamieszki zaczęły się niewinnie – od protestów przeciw podwyżce cen biletów za metro o 30 pesos (4 centy USA), by z czasem pociągnąć za sobą 26 ofiar śmiertelnych, 5 tys. rannych i 28 tys. aresztowanych. Z doniesień dochodzących z Chile wynika, że lewaccy bojówkarze wspomagani są finansowo przez międzynarodowe organizacje pozarządowe promujące idee społeczeństwa otwartego.

To symptomatyczne, że wrogiem nr 1 jest dla nich chrześcijaństwo. Mówią, że są przeciw kapitalizmowi i globalizmowi, ale nie niszczą fabryk ani siedzib korporacji, lecz kościoły. Piętnują wyzysk, lecz atakują katolickie ośrodki niosące pomoc najuboższym. Wciąż powtarzają deklaracje o miłości i tolerancji, jednak posługują się gwałtem i przemocą. Ich antyreligijna furia wiele mówi o rzeczywistych motywach kryjących się za wzniosłymi hasłami. Pokazuje zarazem, że mówienie o toczącej się na świecie wojnie kulturowej nie jest publicystyczną przesadą. Chile jest obecnie miejscem, gdzie przebiega jeden z najbardziej zaciekłych frontów tej wojny. Od wyników tego starcia będzie w najbliższych latach wiele zależało w Ameryce Południowej.

Goran Andrijanić

Fot. Siarhei Liudkevich/Shutterstock.com

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Migawki tygodnia

Jan Pietrzak

Manifestanci w Paryżu nieśli transparent „To my jesteśmy Francją". Dobrze, że zdołali sobie przypomnieć.

Ambasadorowie niemiecki i amerykański naradzali się w sprawie wolności mediów w Polsce. Dystrybucja wolności w obecnej cywilizacji odbywa się drogą medialną. Ci, co nadają, są wolni, ci, co słuchają, są zniewoleni. Przy czym niewolnicy muszą płacić kolonizatorom za kłamstwa, których słuchają.

Pewien wyznawca teorii spiskowych uważa, że antycovidowe demonstracje to nie jest walka o wolność, lecz dywersja wrogów, którzy życzą sobie, by jak najwięcej ludzi zmarło. Producenci trumien?

Mamusia prezydentki Gdańska mówi: „Teraz jest gorzej niż za komuny". Córeczka Dulkiewicz natomiast tęskni za III Rzeszą. Ustalcie panie, kogo obstawiacie: Hitlera czy Stalina, bo młodzież gdańska waha się, co zakładać: Hitlerjugend czy Komsomoł?

Jedni uważają, że mec. Giertych w pewnym momencie rozpoczął „symulowanie braku świadomości". Inni przypominają, że wcześniej symulował świadomość, będąc ministrem edukacji w latach 2006–2007. Powołanie Przemysława Czarnka na ministra edukacji i szkolnictwa wyższego to upiorny pomysł – ogłosiła upiorna posłanka Scheuring-Wielgus, z wykształcenia szalejąca histeryczka. Ofiara edukacji III RP.

Zmiana nazwy klubu fitness, do którego nie wolno wchodzić, na Kościół Zdrowego Ciała, w którym można bywać, powinna zostać odnotowana jako przykład popieranej przez rząd innowacyjności i kreatywności.

Hołownia powiedział: „Jedziemy z Kaczyńskim na ścianę. Giertychowi zabrał zdrowie". Powstaje pytanie: kto Hołowni zabrał rozum?

„Szpital na Stadionie Narodowym to element paniki" – oświadczył Schetyna, element paranoi.

Opozycyjne partie, które blokują wszystko, co rząd czyni, walcząc z epidemią, powinny pamiętać, że ich elektorat też choruje, a nawet wymiera.

Miły finał tarapatów

Z Martą Karwowską, reżyserem filmowym, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Po raz kolejny, ale w bardzo pozytywny sposób, wpadła pani w tarapaty?

Marta Karwowska: Przyznaję, zdarzyło się to powtórnie. Miałyśmy z producentką Agnieszką Dziedzic poczucie, że przygody Julki i Olka nie są jeszcze zamknięte. Powstała kontynuacja. Niestety „Tarapaty 2" trafiły do kin w niezbyt fortunnych czasach, trochę więc jesteśmy w tarapatach.

Niezłe „Tarapaty"... Nagradzane za granicą?

To bardzo sympatyczne. Doceniono nas na ważnym Międzynarodowym Festiwalu Filmów dla Dzieci i Młodzieży Schlingel w Niemczech. Jestem niezwykle dumna, bo European Children's Film Prize przyznało nam najważniejsze, dziecięce jury [na tym samym festiwalu Nagrodę Jury Młodzieżowego otrzymał, będący jeszcze przed kinową premierą, „Czarny młyn" w reżyserii Mariusza Paleja – przyp. red.]. Znaczy to, że publiczność, której chcę coś opowiedzieć, docenia i przekaz, i efekt.

Fot. Hubert Komerski

Rodzicielskie gremia donoszą, że na filmie nie nudzą się też dorośli, zafascynowani m.in. świetnymi lokalizacjami.

Dochodzą do nas miłe głosy, że druga część to faktycznie kino familijne. I zdarza się na nim wzruszyć dorosłym.

Podobno „Tarapaty 2" trafiły nie tylko na duży ekran?

Powstała książka „Klątwa Lucyny, czyli Tarapaty 2", którą napisała Kasia Rygiel na podstawie mojego scenariusza. Trochę więcej się w niej dzieje niż w filmie i więcej można się dowiedzieć o bohaterach. Mamy też audiobook. Czyta go „Szef" z pierwszej części „Tarapatów", czyli Piotr Głowacki.

BRONISŁAW WILDSTEIN

Filemon, Baucis i nowoczesność

„Faust" Goethego uważany jest powszechnie za tragedię nowoczesności, a jego bohater – za modelowego reprezentanta naszej epoki. Niezaspokojony uczony odrzuca każdy zastany porządek, poszukując coraz nowszych wyzwań i spełnień, które nigdy nie potrafią sprostać jego oczekiwaniom. Kiedy ostatecznie akceptuje rzeczywistość i swoją w niej rolę, deklarując: „Trwaj chwilo, chwilo jesteś piękna", okazuje się, że pada ofiarą diabelskiego oszustwa. To, co bierze za kierowane przez siebie dobroczynne przedsięwzięcie osuszania chorobotwórczych bagien, jest realnie kopaniem mu grobu przez duchy pod wodzą szatana, który w ten sposób, podstępem, wydobywa wyznanie pozwalające mu zawładnąć duszą Fausta. Na to, że ostatecznie tak się nie dzieje, obaj zainteresowani nie mają żadnego wpływu.

Mefistofeles, chcąc zdobyć duszę człowieka, staje się jego alter ego. Prowadzi ofiarę przez krainy i epoki, zwodząc kolejnymi pragnieniami, aby spełniając je, wywołać u Fausta poczucie szczęścia, co jest równoznaczne z ostatecznym potępieniem jego duszy. Do ostatniego jednak momentu, który nieświadomy i ślepy, również dosłownie, Faust chciałby zatrzymać, a który okazuje się jego śmiercią, diabłu nie udaje się tego osiągnąć. A jednak to on kieruje działaniami bohatera Goethego i zatruwa jego duszę. Nawet w akcie tak, wydawałoby się, podniosłym jak owo (fikcyjne) osuszanie bagien, Faust wzywa Mefistofelesa, aby stosował wszelkie środki dla eksploatacji pracowników, mówi o przemocy, oszustwie czy rozpijaniu ich.

Już od momentu pojawienia się na scenie Faust jest postacią dwuznaczną, prowadzoną głównie przez pychę, która radykalnie przekracza jego realne możliwości – przyzwany przez niego Duch Ziemi ośmiesza go i kompromituje, a podszepty szatana powodują, że coraz dalej brnie w grzechu.

Mefistofeles reprezentuje tradycyjną diabelskość, czyli zło wcielone, które objawia się przez ciągłe przeczenie, a więc nicość stanowiącą rewers naszego świata. Okazało się jednak, że w nowoczesnej kulturze dramat Goethego stał się punktem zwrotnym w procesie zła oswajania. Szybko demon stał się bohaterem pozytywnym. Takim jest Woland (inne imię Mefistofelesa) w „Mistrzu i Małgorzacie" Michaiła Bułhakowa, sprawnie napisanej popularnej powieści, którą w powszechnej recepcji, wbrew jej realnej wartości, wywindowano do roli arcydzieła. Nie miejsce tu, aby się nią zajmować, ale akurat demon przypomina w niej figury wytwornych arystokratów z klasyki melodramatu.

Skoro jednak to szatan jest motorem tragedii Goethego, mechanizmem, który wprawia w ruch nasz świat i poczynania człowieka, nic dziwnego więc, że bezkrytycznie afirmując swoją obecną kondycję, człowiek ów musiał się z diabłem zaprzyjaźnić, a w każdym razie polubić go jako swoją integralną część. Demon, uosobienie zimnej inteligencji, a więc i manipulacji, nie ma z tym problemów, gdyż pozbawiony jest uczuć, a więc i ludzkich lojalności i, jak wskazuje Goethe, realizuje wyłącznie swój plan zła.

Nowoczesny człowiek, Faust, podbija i podporządkowuje sobie świat. Na dzikim wybrzeżu, które otrzymał jako lenno, zbudował wspaniały pałac i port, dzięki któremu i pomocy szatana mnoży swoją potęgę. Zysk i władza splatają się w jedno i usprawiedliwiają wszelkie działania do nich prowadzące. Jak głosi Mefistofeles: „Morze wolne i duch wolny –/ nie ma czasu na myślenie!".

W poczuciu zwycięstwa Faustowi przeszkadza jednak para staruszków, Filemon i Baucis, którzy nie chcą sprzedać mu usytuowanego w środku jego posiadłości kawałka ziemi z lipami, chałupy i kapliczki. Zwłaszcza dzwon tej ostatniej wprawia go w gniew: „Para nie moich drzew się zdarzy,/ A już nie mogę światem władać!", nie może sycić się „Ludzkiego świata arcydziełem".

Wyobraźmy sobie wspaniałą nowoczesną budowlę, z którą sąsiaduje stara chałupa, a dzwon połączonej z nią kapliczki zakłóca obrady zarządu korporacji. Współczujemy z dyskomfortem oraz irytacją Fausta. Rozumiemy, że wysyła on swojego plenipotenta, Mefistofelesa, aby wreszcie przeniósł opornych tubylców na inne, przecież lepsze dla nich miejsce. Pech, że w trakcie awantury, która się wywiązała, starcy i stający w ich obronie gość, którego kiedyś uratowali, giną, a chata i kapliczka płoną. Faust ma wyrzuty sumienia, ale przecież nigdy nie nakazywał swojemu wysłannikowi tak radykalnego działania. Na miejscu chałupy postawiona zostanie potrzebna przecież strażnica morska. Szkoda tych, którzy zginęli, ale ostatecznie stanie się dużo dobrego. Postęp wymaga ofiar. Przy budowlach Fausta zginęło wielu, czy jednak ostatecznie nie przyniosło to więcej korzyści?

Tak toczy się świat.

Cóż jednak z tym Mefistofelesem?

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 17264ffba3

Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock

Walizka Małgorzaty Tomaszewskiej

prezenterki telewizyjnej, dziennikarki

Podróże prywatne mają dla mnie szczególny wymiar, ponieważ najczęściej wyruszam do mojej mamy, która mieszka za granicą. Wyjazdy kojarzą mi się więc z mamą, rodziną, wspólnie spędzonym czasem. Podróżuję również zawodowo i to też bardzo lubię, ponieważ kocham swoją pracę. W tym przypadku często wyjeżdżamy z ekipą realizującą dany projekt i jest to prawdziwa przygoda, a czasem okazja do tego, by nieco lepiej poznać ludzi, z którymi pracuje się na co dzień.

OPASKA NA OCZY

Bardzo lubię spać podczas lotu lub jazdy samochodem. W tym drugim przypadku oczywiście jako pasażer. Pod opaskę zakładam relaksujące płatki na oczy i zasypiam.

PODUSZKA

Bardzo często po realizacji jednego materiału w nocy zmieniamy lokalizację, żeby przygotować program. Podczas jazdy samochodem po prostu muszę się wyspać, a poduszka daje mi ten niezbędny komfort.

BUTY

Szpilki zawsze warto mieć, bo nawet podróżnej stylizacji potrafią nadać elegancki wieczorowy charakter. Beżowe pasują do wszystkiego.

TABLET

Tablet to nie tylko narzędzie pracy, na którym zapisuję scenariusze do moich programów i koncertów. To także możliwość czytania książek. Jedną mogę przeczytać w ciągu dwóch dni, po czym zaciągam z sieci kolejną.

KARBOWNICA DO WŁOSÓW

To urządzenie o tajemniczo brzmiącej nazwie robi to, czego kobieta potrzebuje najbardziej, czyli podnosi włosy u nasady, nadając fryzurze większą objętość.

SUCHY SZAMPON

Ratuje życie, gdy nie ma dostępu do bieżącej wody, a za chwilę trzeba wyjść na scenę. Suchy szampon dodatkowo nadaje efekt świeżości szybko zrobionej stylizacji.

ORZECHY

Są dla mnie bardzo ważne, ponieważ gdy nie mam czasu na normalny posiłek, wystarczy ich garść, żeby na jakiś czas zabić głód. Są tłuste z dobrą podażą energetyczną i z pewnością zdrowsze od fast foodów.

eprasa.pl 17264ffba3

SZCZOTKA ELEKTRYCZNA

Szczotka z ruchomą końcówką pomaga mi samodzielnie bez pomocy fryzjera ułożyć włosy. W dzisiejszych czasach, gdy zapobiegawczo lepiej ograniczać kontakty z innymi ludźmi, takie urządzenie jest bardzo pomocne.

TORBA NA KOSMETYKI

Jej dużą zaletą jest opcja wieszania, co ułatwia dostęp do kosmetyków. Tam trzymam m.in. samoopalacz do nóg. W lecie, gdy są odsłonięte, jest niezbędny, ponieważ kamera nie lubi mieniących się światłem rajstop. Dodatkowo używam podkładu do rąk i ramion, co wyrównuje koloryt.

ODSŁUCH

Jest mi bardzo potrzebny, ponieważ to moje połączenie z główną bazą dowodzenia. To ze słuchawki dowiaduję się od wydawcy lub realizatora, czy mam dłużej mówić, czy nagle nie ma danego gościa. Jest ona dla mnie szczególna, ponieważ jest odlewem do mojego ucha.

BŁYSZCZYKI

Mam ich miliony i używam non stop. Często gubię je w czeluściach różnych toreb, po czym niespodziewanie odnajduję. Część z nich należy do mojej makijażystki Magdy.

RODZINNE ZDJĘCIA

Niedawno rozpoczęliśmy taką tradycję, że co roku ja, Mama i moje dziecko będziemy robić sobie wspólne zdjęcie w fotobudce. Zbierając je, będziemy obserwować, jak zmienia się Syn, no i my:)

Wysłuchał i spisał: Michał Korsun

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Dwa razy spirytus

Dominik Zdort

Ta „społeczna akcja" narodziła się gdzieś w mentalnych okolicach gazety innej niż wszystkie. Ostatnio prowadzona jest pod hasłem „Łatwiej jest zamknąć Giertycha niż kościoły". Ale już w marcu jeden z sędziów najsilniej związanych z opozycją napisał, iż „z konstytucji wynika, że [w czasach epidemii] odpowiednie organy państwa nie tylko mogą, ale wręcz mają obowiązek zakazać wiernym uczestniczenia w nabożeństwach".

A obecnie niemal codziennie we wspomnianej gazecie pojawiają się ironiczne uwagi typu: „Basen i sztanga jeszcze żadnego Polaka nie zbawiły i na ołtarze nikogo nie wyniosły, a Pan Bóg owszem, zbawia i wynosi, główne jego zajęcie przecież, od rozmodlonych Polaków nie może się wprost opędzić".

Sugestia, że religijne przybytki świecą pustkami owocuje zresztą dość zabawnym brakiem konsekwencji: no bo skoro tak jest, to po co zamykać kościoły? Gdyby wierni rzeczywiście nie chcieli odwiedzać świątyń, to zarazić się tam byłoby raczej trudno. A na pewno trudniej niż w sklepie.

Kolejna odsłona tej samej akcji to próba wymuszenia zamknięcia cmentarzy na Wszystkich Świętych. Znany lekarz wezwał: „1 listopada zamknąć cmentarze. Trzeba zrobić wszystko, aby to święto nie odbyło się w tym roku w takiej formie jak dotychczas". Znany publicysta dorzucił: „Jeśli rząd nie zakaże wstępu na cmentarze w dniach 31 października–2 listopada, będzie miał na sumieniu grzech zaniechania, zbrodnię może nie przeciw ludzkości, ale na pewno przeciw ludności".

Na sąsiednich stronach gazety pojawiły się postulaty przywrócenia basenów i siłowni. To nawet śmieszne, że równocześnie żąda się otwarcia siłowni i zamknięcia cmentarzy. Symbolicznie pokazuje, gdzie duchowe centrum świata widzą obecnie niektórzy przedstawiciele elit.

Zawsze mi się wydawało, że – choć to ludzie często niewierzący – to równocześnie wychowani w Polsce, mający polskie korzenie, dziadków i babki, którzy mieszkali nad Wisłą i nawet jeśli wartości tutejszych nie pielęgnowali, to przynajmniej je znali i rozumieli. A dziś ich wnukowie nie potrafią pojąć, że ktoś inny może wiarę, modlitwę i tradycję uważać choćby za równie ważne co medycyna i maseczka.

To już są dwie oddzielne cywilizacje mówiące różnymi językami. Łączy je tylko spirytus. Dla jednych jest ten z odkażaczy, 65-procentowy. Dla drugich Spiritus Sanctus, 100-procentowy.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl 17264ffba3

OGNIEM NA WPROST

I gdzie tu praworządność?

Podstarzały DJ (ten co puszcza muzykę) z byłej radiowej Trójki Wojciech Mann porozmawiał sobie z czołowym propagandystą opozycyjnej żurnalistyki Tomaszem Lisem. I jak na obu przystało, nie zawiedli odbiorców. Najpierw Lis zapytał Manna o jego wypowiedź, w której zarzucił rządowi, że „dokonuje zemsty na narodzie". No to ten drugi odpowiedział: „My jesteśmy, naprawdę, z dnia na dzień spychani na jakieś marginesy. Ludzie się wstydzą tego, że mają polskie obywatelstwo – ja mówię o ludziach rozumnych i takich, którzy kawałek świata widzieli". Wynika z tego, że tylko człowiek głupawy może być zadowolony z tego, że czuje się Polakiem, a elita to ci, którzy „widzieli kawałek świata". Mann na własną prośbę zrezygnował z dobrze płatnej pracy w państwowym radiu. Ubzdurał sobie, że w ten sposób doprowadzi do upadku pisowski reżim, pójdzie na swoje i będzie mu lepiej. Widać coś musiało pójść nie tak, skoro nadal jęczy i narzeka. Och! Przepraszam! Elity III RP nie jęczą, elity kontestują rzeczywistość.

Prezes partii KORWiN i poseł Konfederacji Janusz Korwin-Mikke postanowił oficjalnie zaapelować do wojska, by obaliło rząd: „Ja mogę tylko zaapelować do wojska, by całą tę bandę zapakowało, jak to był zrobił w Chile śp. gen. August Pinochet, do »internatu« – i przywróciło Normalność; nie w imię Większości Obywateli, lecz w imię Zdrowego Rozsądku". Dlaczego? Bo państwo PiS zastępuje jeden socjalizm drugim socjalizmem, a politycy partii rządzącej siedzą „w zaklętym Kredowym Kole, w którym to państwo ma być odpowiedzialne za zdrowie ludzi". Mówią, że na starość wady (o ile się z nimi nie walczy) pogarszają się i mogą się przerodzić nawet w różne obsesje. W przypadku JKM mielibyśmy do czynienia z jakimś rodzajem paranoi o podłożu socjalistycznym, która powoli przyćmiewa wszystko, ze zdrowym rozsądkiem włącznie. Z drugiej strony szkoda, że prawicowe idee reprezentowane są przez polityków, którzy co i raz swoimi wypowiedziami i zachowaniem kompromitują się, szkodząc sprawie.

Michał Szutowicz, czyli facet o ksywie Margot, zwany przez liberalno-lewicowe media kobietą, znów próbował z „towarzystwem" spod znaku LGBT zaatakować furgonetkę fundacji Pro – Prawo do Życia. Tylko dzięki stoickiej, ale zdecydowanej postawie ochroniarza z Marszu Niepodległości nie doszło do dewastacji pojazdu. Zajście miało miejsce w centrum Warszawy przy pl. Konstytucji. Oglądając relację filmową z tego wydarzenia, uderza bezkarność i chamstwo tęczowych aktywistów. Zanim przyjechała policja, mężczyzna blokujący swoim ciałem dojście do samochodu przez dobre kilka minut musiał wysłuchiwać wulgarnych słów pod swoim adresem wypowiadanych przez jednego z napastników. Obok stał Margot, czasem dorzucając kilka słów, a w pewnym momencie nie omieszkując poszarpać chłopaka broniącego dostępu do furgonetki pro-liferów. Po interwencji policji (wyjątkowo delikatnej) Szutowicz rzucił się biegiem, by na pobliskich pasach ponownie zablokować drogę busowi. I znów policja mocuje się z nim, odciągając go na krawężnik. Samochód rusza, a Margot w jakby opętańczym szale goni dalej środkiem Marszałkowskiej furgonetkę, a za nim truchtem policja. Jak w niemym filmie z Charliem Chaplinem. Ludzie! Co tu się wyprawia? Gość ma zarzuty, niedawno opuścił areszt i bryka mając w nosie prawo. Klasyczny przypadek recydywy, a funkcjonariusze, zamiast go zatrzymać i znów postawić przed prokuratorem, a potem sądem, bawią się w kotka i myszkę na środku głównej arterii komunikacyjnej stolicy. Powoli zaczynam się przychylać do zdania Komisji Europejskiej, że z praworządnością w Polsce coś może być nie tak.

W Wielkiej Brytanii genderyzm maszeruje równym krokiem ku ostatecznej przebudowie społeczeństwa. Właśnie wprowadzono nowe zmiany legislacyjne. Kluczową jest brak możliwości wycofania dziecka z zajęć tzw. edukacji seksualnej. Druga zmiana to nacisk na obecność w nauczaniu kwestii LGBT. Wytyczne dotyczące wprowadzenia nowej wersji programu „Sex and relationship education" mówią o tym, że „wszyscy uczniowie powinni otrzymać instruktaż dotyczący związków LGBT podczas lat nauki szkolnej". Powszechne wdrożenie nowego programu seksedukacji zabezpiecza OFSTED, czyli urząd kontrolujący działalność szkół. W następnym etapie planowany jest atak na szkoły katolickie czy prowadzone przez społeczność muzułmańską, które powinny stracić możliwość prowadzenia edukacji z poszanowaniem zasad swojej wiary. „Stary Doktor", czyli Janusz Korczak, wybitny wychowawca i badacz świata dzieci, kiedyś stwierdził: „Najmniejsi z nas są zawsze męczennikami obawy o ich rzekomą pomyślność; najcięższe krzywdy mają w tej obawie swe źródło".

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 17264ffba3

Odzyskane dzieła sztuki

Marta Kaczyńska-Zielińska

W czasie II wojny światowej Polska utraciła około pół miliona dzieł sztuki. Grabież polskich dóbr kultury była zaplanowana i zorganizowana.

Początkowo konfiskata była dokonywana przez specjalnie utworzone w tym celu organy niemieckie działające na podstawie narzuconych przez okupanta przepisów prawnych. Niemieccy żołnierze dopuszczali się również kradzieży, które w ostatnim okresie okupacji były dokonywane na szeroką skalę. Przed zakończeniem wojny i po wyzwoleniu przez Armię Czerwoną masowy wywóz polskich dóbr kultury został przejęty przez tzw. trofiejne brygady, czyli radzieckie jednostki administracji wojennej, oraz przez żołnierzy radzieckich. III Rzesza i ZSRR pozbawiły nas dzieł kultury i sztuki należących zarówno do państwa, jak i pozostających w prywatnych zbiorach.

Tworzenie spisu strat dzieł sztuki doznanych przez Polskę rozpoczęto we wrześniu 1939 r. W 1944 r. specjaliści zaangażowani w struktury Państwa Podziemnego sporządzili wykazy dokumentujące straty państwowe i prywatne, które zostały przekazane Rządowi Rzeczypospolitej Polskiej na uchodźstwie. Na podstawie zgromadzonych danych w 1944 r. w Londynie ukazała się wydana przez prof. Karola Estreichera publikacja „Cultural Losses of Poland". Stratami i szkodami RP w latach 1939–1945 zajmowało się także Biuro Odszkodowań Wojennych przy Prezydium Rady Ministrów, jednak sporządzone przez wskazany podmiot sprawozdanie nie uwzględniało grabieży ani zniszczeń dokonanych przez Armię Czerwoną. Ze wspomnianego wykazu wynika, że w czasie okupacji z polskich zbiorów zniknęło ok. 2,8 tys. obrazów znanych europejskich szkół malarskich, 11 tys. obrazów autorstwa malarzy polskich, 1,4 tys. wartościowych rzeźb, 15 mln książek z różnych okresów, 75 tys. rękopisów, 22 tys. starodruków, 25 tys. map zabytkowych, 300 tys. grafik, 50 tys. rękopisów muzealnych, 22 mln woluminów należących do bibliotek oraz wiele innych cennych eksponatów, np. dzwony kościelne, w liczbie 5 tys. Dewastacji uległo 25 muzeów, 35 teatrów, 665 kin, 323 domów ludowych.

Po 1989 r. przez wiele lat sprawa restytucji dóbr kultury pozostawała nieuporządkowana. Przez ponad 70 lat nie stworzono procedur, które umożliwiłyby skatalogowanie utraconych dóbr kultury i ich skuteczne odzyskiwanie. Brakowało specjalnych przepisów prawnych i wielokrotnie odzyskanie zrabowanych dzieł okazywało się w praktyce niemożliwe, bo ich współcześni właściciele mogli skutecznie powoływać się na dobrą wiarę. Dopiero w 2017 r. uchwalono ustawę o restytucji dóbr kultury, która stanowi pierwszy w historii niepodległej RP instrument prawny służący zarówno odzyskiwaniu zrabowanych dzieł, jak i zapobieganiu ich utracie współcześnie. Przepisy są skuteczne – w ciągu ostatnich czterech lat do Polski powróciło ponad 500 obiektów zrabowanych w czasie II wojny światowej, a w toku jest obecnie ponad 80 postępowań restytucyjnych na całym świecie. Dla porównania w okresie od 2011 r. do końca pierwszego półrocza 2016 r. powróciło do kraju 75 zabytków.

Odzyskane dzieła można obejrzeć na stronie internetowej resortu kultury, a historię niektórych z nich poznać na Instagramie pod hasztagiem #poznajdziełaodzyskane. To m.in. „Przy fortepianie" Jacka Malczewskiego, „Wnętrze Katedry w Mediolanie" Marcina Zaleskiego, „Widok Kapitolu" Bernarda Belotta. Szczególnie interesująca i ukazująca złożoność naszych dziejów jest historia ostatnio przekazanej Muzeum Narodowemu w Warszawie akwareli Stanisława Masłowskiego zatytułowanej „Gryka". Obraz z okresu dwudziestolecia zaginął dwukrotnie. W czasie II wojny światowej został wywieziony do niemieckiej składnicy, by następnie, w 1946 r., po odzyskaniu przez Muzeum Narodowe w Warszawie, zostać wypożyczonym na siedem dni Towarzystwu Przyjaźni Polsko-Radzieckiej i powrócić w prawowite ręce po 74 latach...

REKLAMA

44/0920/F

eprasa.pl 17264ffba3

RZECZY POSPOLITE

Serce Kościuszki

Tomasz Łysiak

Minęło 150 lat od utworzenia Muzeum Polskiego w Rapperswilu. Ze słynną placówką wiążą się losy serca Tadeusza Kościuszki – które niczym „wieczny tułacz", „bezustanny pielgrzym" niosło za sobą tyle ważnych dla nas treści. Październik był zresztą w „kalendarzu patriotycznym" Polaka w dużej mierze kościuszkowski – w kolejne rocznice śmierci Naczelnika, czyli 15 października, organizowano msze św. za jego duszę, odbywały się patriotyczne manifestacje. W dobie przed powstaniem styczniowym Moskale wprowadzili przez to stan wojenny.

Gdy Naczelnik zmarł w Solurze w roku 1817, jego serce włożono do specjalnego pojemnika z płynem konserwującym. Relikwią zaopiekowała się Emilia Zeltner, młoda córka właściciela domu, w którym Kościuszko mieszkał do śmierci. Gdy wyszła za mąż (za mediolańskiego księcia Morosiniego), tę jedną z najcenniejszych polskich pamiątek zabrała z sobą do Italii. I tak serce Naczelnika znalazło się w Varese, pod Mediolanem. Morosini przenieśli się potem do Vezzi pod Lugano, zabierając i „Kościuszkę" z sobą – jego serce zostało złożone w rodzinnym mauzoleum rodu księcia.

Tymczasem w 1870 r. powstało, dzięki wysiłkom hr. Władysława Platera, muzeum w Rapperswilu, które zaczęło starania o pozyskanie urny z sercem Naczelnika. Szczególnie że zbliżała się setna rocznica insurekcji. Aby wszystko dobrze się skończyło, trzeba było jeszcze zaangażowania... Giuseppe Verdiego oraz Arriga Boito. Verdi nawet napisał w liście do rodziny książęcej, iż trzeba, aby „drogocenne relikwie Kościuszki spoczęły w niszy narodowej". Ostatecznie serce trafiło do Rapperswilu w 1895 r. 26 października roku 1927 r. wróciło do ojczyzny ze Szwajcarii. Ale dalej trwała swoista „pielgrzymka" narodowego skarbu – z Zamku Królewskiego serce trafiło do podziemi katedry św. Jana we wrześniu 1939 r. Znaleziono je pośród ruin, po powstaniu warszawskim. Po wojnie najpierw złożono je u karmelitów, potem w Muzeum Narodowym i w Pałacu na Wyspie w Łazienkach. Ostatecznie wróciło do kaplicy na Zamku Królewskim.

Ta jego droga – chociaż tu w wielkim skrócie przedstawiona – ma w sobie coś pięknie symbolicznego. Bo jest jak wędrówka wielu pokoleń Polaków, którzy przez pamięć dawnej świetności, marzyli o wolnej Polsce. I dla niej działali, nie schodząc ze szlaku.

Kiepscy na rozumie

Piotr Cywiński

No, to pogadali sobie: „Ludzie się wstydzą tego, że mają polskie obywatelstwo – ja mówię o ludziach rozumnych i takich, którzy kawałek świata widzieli" – stwierdził Wojciech Mann w rozmowie z Tomaszem Lisem. Z tym, który już wcześniej ocenił, że „ludzie nie są tak głupi, jak nam się wydaje, są dużo głupsi". Z tym Lisem, który za czasów bezrozumnego premiera Jana Olszewskiego błagał płaczliwie „yntelygentnego" Lecha Wałęsę: „Panie prezydencie, niech pan nas ratuje...!", żeby nie dopuścił do rozliczania komuszych zbrodni na polskim narodzie i całej reżimowej kamaryli. Wałęsa uratował, rozpędził rząd w kibinimater i na jakiś czas można było dalej cieszyć się z lekkości bytu. No, ale tym Polokom durakom, tym kiepskim na rozumie, zachciało się prawa i sprawiedliwości i ci, co to „kawałek świata widzieli", muszą się teraz wstydzić. Jak Jerzy Stuhr, który zwierzył się pani z Wirtualnej Polski: „Jak się mnie pani pyta, jak się czuję jako Polak za granicą, to powolutku już mówię żonie na ulicy: Tylko nie za głośno po polsku...".

W rozmowie Manna i Lisa zabrakło mi tylko Kuby Wojewódzkiego, by dla ilustracji powtykał polskie flagi w psie gówna – ma w tym wprawę. Że też ci rozumni nie opanują języka obcego (rosyjski, niemiecki czy angielski) na tyle, aby dowieść zagranicy, że byliby dla niej wartością dodaną, i osiąść gdzieś tam na stałe. No tak, do Rosji jakoś francowato by było teraz jechać, bo ten Putin..., chociaż za jej „wiodącej roli" w Polsce było niektórym całkiem nieźle – „к сожалею, что не вернется", niestety... Do Niemiec? Też raczej nie, bo szprechać również trzeba umieć, żeby móc robić choćby na budowie czy u bauera, poza tym to przecież nie robota dla rozumnej elity, no i już niemiecki noblista Thomas Mann ostrzegał: „Wiem, że emigrant niewiele w Niemczech znaczy". Angielski można opanować jako tako, ale też trzeba by zacząć od pucybuta lub na zmywaku...

Męczą się więc biedaki na tym naszym łez padole, z nami, Polakami kretynami, i cierpią, i wstydzą się, i tęsknią, jeśli nie za PRL, gdy mogli rej wodzić i śpiewać: „La-la-la-la, la-la-la-la...", to chociaż za „państwem z dykty", w skrócie „chdikk", rządzonym przez tych nielicznych rozumnych. A teraz, co? 500+ i „śmierdzące fryty"! Że gadać można? Też mi atrakcja, za komuny taki Mann Wojciech nic nie mówił, i co, źle mu było? Do d... z taką demokracją!

Tylko mnie, bezrozumnemu, za tych wszystkich rozumnych „bezpaństwowców" zwyczajnie bezgranicznie wstyd.

eprasa.pl 17264ffba3

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

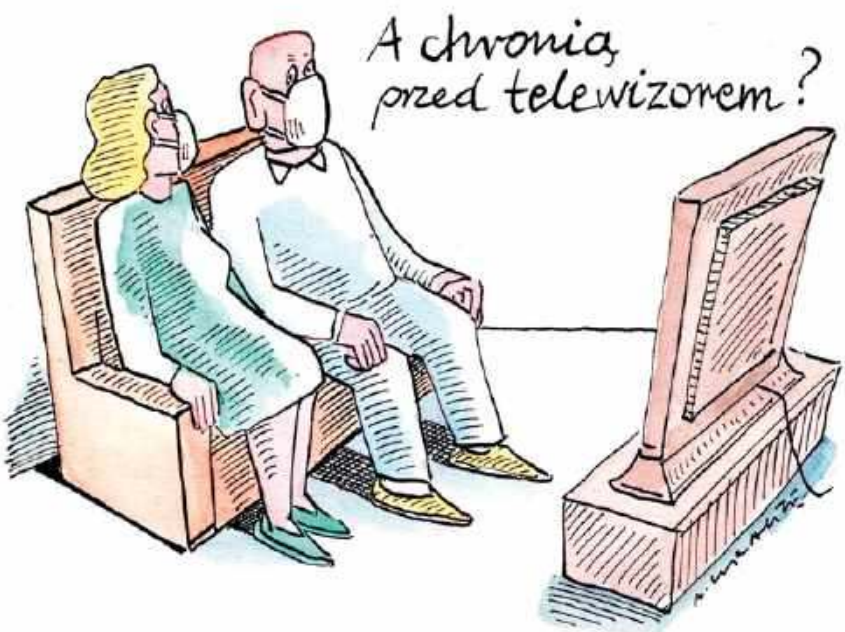

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

FRATRIA grupa mediaina

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO

PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, JANUSZ ŻYCHOWICZ
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL, BARTŁOMIEJ SZYPERSKI, BARTLOMIEJ.SZYPERSKI@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL

WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY

PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR ZX, ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI, VIPHOTO/EAST NEWS, STEFAN MASZEWSKI/REPORTER, KAROLINA MISZTAL/REPORTER, GRZEGORZ CZAPSKI / SHUTTERSTOCK.COM, NAUGHTYNUT / SHUTTERSTOCK.COM, SHUTTERSTOCK 4X

nasz sondaż

pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/ oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

Jaki sposób działania powinien przyjąć polski rząd w walce z epidemią koronawirusa w Polsce?

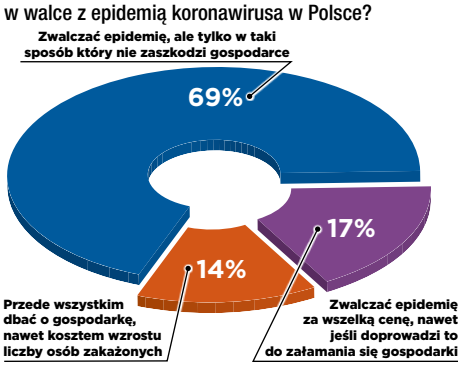

W jaki sposób epidemia koronawirusa wpływa na sposób zarządzania budżetem domowym?

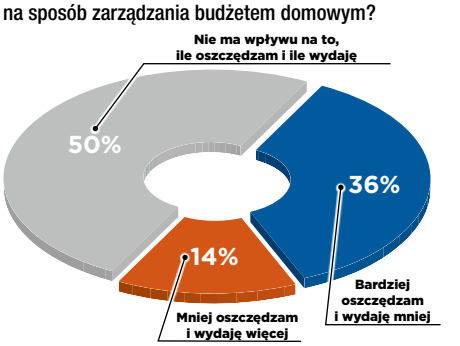

Czy popiera Pani/Pan zamknięcie szkół podstawowych i przejście na zdalne nauczanie w związku z aktualną sytuacją epidemiczną w Polsce?

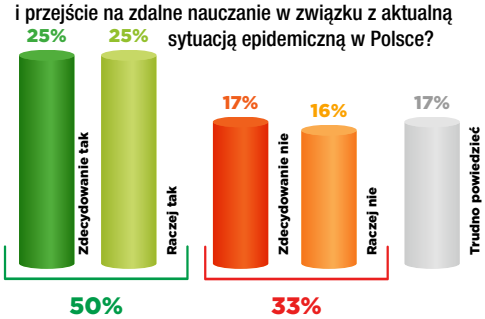

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1069.

Zakres czasowy badania 16–19 października 2020 r.

eprasa.pl 17264ffba3

Fot. Maciej Macierzyński/REPORTER

Bezwzględny kameleon

Lider marginalnej organizacji, który został wicepremierem. Szef najbardziej skrajnego prawicowego ugrupowania w parlamencie, który staje się centralną postacią w środowisku turboliberałów. Zwykły adwokat dochodzący do statusu celebryty. Kim jest Roman Giertych? Jakie naprawdę ma poglądy? W czym tkwi jego siła? Ile w nim talentu, a ile cynizmu? Jak doszło do tego, że dziś broni go cały mainstream III RP?

MAREK PYZA

Zawsze był zdecydowanym przeciwnikiem PiS. Nawet wtedy gdy razem rządziliśmy – wspomina Stanisław Zadora, poseł Ligi Polskich Rodzin w latach 2001–2007 i szef śląskich struktur tej partii, dziś prowadzący schronisko górskie. – O koalicji z PiS zdecydowała rada polityczna pod wpływem presji naszych wyborców. Pamiętam, jak po drugiej turze wyborów prezydenckich Giertych zapytał mnie, na kogo głosowałem. Odpowiedziałem, że oczywiście na Kaczyńskiego. „A ja na Tuska" – wypalił. Myślę, że już wtedy miał bliższe sympatie z niektórymi ważnymi politykami Platformy. Dlatego

eprasa.pl 17264ffba3

później pozwolili mu żyć, gdy odpadł z polityki.

Zadora określa Giertycha jako jednego z głównych winowajców upadku LPR. Rok 2005 przywołuje z jeszcze jednego względu. – Przestaliśmy iść wspólną drogą, kiedy zaczął publicznie kłamać. Głośno było wtedy o skandalu z wekslami w Samoobronie [kandydaci na parlamentarzystów podpisywali je in blanco, by później – pod wysoką sankcją finansową – nie opuścili szeregów partii – przyp. red.]. Giertych zapierał się publicznie, że w LPR takich kwitów nie ma. A prawda jest taka, że w 2005 r. przysłał mi do regionu Piotra Farfała, późniejszego prezesa TVP, który pilnował rejestracji komitetu wyborczego. W ostatniej chwili kazano moim ludziom wypełnić te weksle. Mnie nie miał odwagi podsunąć. Ale wiadomo, że jeśli moi współpracownicy – 12 osób – by nie podpisali, to i ja bym wypadł, bo nie zarejestrowałbym komitetu w województwie. Od razu uprzedzam pana pytanie: mam te weksle do dziś. Zachowałem je.

Jak dodaje, wtedy „duchowo" przestał być członkiem LPR. Pozostał prezesem okręgu śląskiego, ale np. nie płacił już składek. Nie mógł znieść obłudy Giertycha. – On miał inne priorytety od deklarowanych. Wewnątrz Ligi trzymał ekipę najbardziej zaufanych ludzi, których później wynagradzał, a oni przy nim pozostali. Chodziło o urządzenie siebie i tych najbliższych kolesi, a byli to wówczas młodzi chłopcy, których swoimi metodami po prostu deprawował.

O tych relacjach opowiada nam działacz środowisk narodowych w latach 90. Nie chce, by podawać jego nazwisko, dziś pracuje w jednej ze stacji telewizyjnych. – Gdy Giertych zakładał Młodzież Wszechpolską, paradoksalnie nie chciał, by była to organizacja skrajna, ale ideowa, złożona w samym trzonie z bezwzględnie podporządkowanych mu ludzi. Wielu z nich zostało adwokatami, radcami prawnymi: Tomasz Połetek, Piotr Ś., Paweł Sulowski, Rafał Wiechecki. Wtedy te skrajne ONR-owskie fascynacje zwalczano, ale też traktowano raczej jako pewien sznyt młodych facetów. Czytanie przedwojennych publikacji Doboszyńskiego, opisów z walk z Bundem i PPS było bardziej interesujące niż relacje byłych konspiratorów z opozycji, którzy poszli na układy z komunistami i wyprzedawali majątek narodowy. Sebastiana J. też wysyłali na prawo na UKSW, by je zaocznie zaliczył, ale chyba nie miał głowy, by to dokończyć.

Spraw kadrowych w otoczeniu Giertycha miał pilnować Wojciech Wierzejski. I nieźle pilnował, bo ci najbliżsi są przy Giertychu do dziś. Część płaci za to skróconymi w ostatnich dniach nazwiskami po postawieniu prokuratorskich zarzutów. Piotr Ś. – jeden z zatrzymanych ostatnio przez CBA – od początku blisko współpracuje z Giertychem. Kierował Młodzieżą Wszechpolską, w 2005 r. został posłem, a nawet wiceministrem budownictwa i sekretarzem stanu w KPRM. W latach 2008–2009 dowodził biurem zarządu TVP, gdy w wyniku skomplikowanych politycznych rozgrywek telewizją kierował Piotr Farfał. Pełnomocnikiem Ś. jest dziś Rafał Wiechecki, inny członek dawnych rządów (był szefem utworzonego dla LPR resortu gospodarki morskiej).

> Pod bezpośrednim (choć dyskretnym) wpływem politycznym Giertycha, byłego szefa LPR, wciąż jest spora grupa narodowców, byłych wszechpolaków, stojących na czele Konfederacji

Według naszego rozmówcy pod bezpośrednim (choć dyskretnym) wpływem politycznym byłego szefa LPR wciąż jest spora grupa narodowców, byłych wszechpolaków, stojących na czele Konfederacji. – Ich strategia konfrontacji z obozem władzy, zachowanie Krzysztofa Bosaka przed drugą turą wyborów prezydenckich to moim zdaniem realizacja politycznych wytycznych Giertycha. Wystarczy zresztą poczytać, co wciąż publikuje ojciec Romana, Maciej, np. jego szczegółową instrukcję wyborczą sprzed paru miesięcy o konieczności głosowania na „mniejsze zło", czyli Rafała Trzaskowskiego.

KAMELEON

Prof. Maciej Giertych był kandydatem LPR w wyborach prezydenckich w 2005 r. Dendrolog z wykształcenia, narodowiec z przekonań, założyciel Stronnictwa Narodowego w 1989 r. W 1981 r. poparł wprowadzenie stanu wojennego, w latach 1986–1989 zasiadał w Radzie Konsultacyjnej przy przewodniczącym Rady Państwa Wojciechu Jaruzelskim. W 2004 r. został europosłem. Jest endekiem, zwolennikiem kreacjonizmu (przekonywał, że dinozaury żyły z ludźmi). To on kształtował światopogląd syna.

Jakie poglądy ma Roman Giertych? Pytamy jego współpracownika w latach 90.: – Daje dużo powodów, by się nad tym zastanawiać. Na pewno jego profil polityczny jest prawicowy. Ale czy to ma znaczenie? To bardziej pytanie o charakter. Ojciec wychowywał go na polityka, człowieka z grubą skórą, bezwzględnego także wobec współpracowników, grającego bardzo ostro, brutalnie. Najważniejszy jest on sam i władza. Moim zdaniem nie liczy się z nikim oprócz najbliższych. Współpracownicy pozostają na jego łasce. Zawód adwokata, znajomość prawa, umiejętność posługiwania się blefem mają tylko służyć wyostrzeniu gry. Celem nadrzędnym jest jego osobisty sukces.

Przez dwie dekady funkcjonowania w życiu publicznym nauczył się, że aby go osiągnąć, potrzebna jest cierpliwość. Oraz inne metody niż te, które stosował na początku swojej drogi. Dziś nie wydałby już takiej książki jak „Kontrrewolucja młodych" z 1994 r., na okładce której błyszczący szczerbiec wbija się we flagę Unii Europejskiej.

– Mam wśród narodowców wielu kolegów, którzy go znali w czasach, gdy nie trudził się poważną polityką. Nie dowierzają, że człowiek, który miał tak twarde, radykalne poglądy

eprasa.pl 17264ffba3

Fot. Stefan Maszewski/REPORTER

konserwatywne, narodowe, katolickie, nagle przyłączył się do drugiej strony sporu światopoglądowego w Polsce. Solidnie zapracował, by być cenionym w kręgach swoich największych ideowych wrogów. W tym środowisku – wiernym swoim przekonaniom – jest uważany za zdrajcę. Po ostatecznym fiasku swoich formacji całkowicie zmienił polityczne przyjaźnie. Zostawił towarzyszy walki – mówi nam poseł Tomasz Rzymkowski, były działacz Ruchu Narodowego.

Gdy rozleciała się Liga Polskich Rodzin, Giertych szukał jeszcze sukcesu w wyborach europejskich, budując polską odnogę partii Libertas. Oficjalnie temu zaprzeczał – przekonywał, że jest poza polityką. Ale to on i jego ludzie stali za formacją absurdalnie pompowaną w telewizji publicznej rządzonej przez Farfała. Z Libertasem wiązało się wówczas niszowe ugrupowanie Naprzód Polsko stworzone m.in. przez byłych polityków LPR. Pytamy jednego z nich o ocenę drogi Giertycha. – To zastanawiające, że on de facto robi karierę biznesową. Takich dochodów jak on nie zgromadzili niektórzy prezesi banków. A z czasów naszej współpracy nie przypominam sobie, by się tak interesował kwestiami finansowymi i osobistym zyskiem. Władzą – jak najbardziej. Zapamiętałem też jego sposób obcowania z ludźmi. Nawet najbliższych współpracowników traktował niezwykle szorstko, mało elegancko czy wręcz bezwzględnie.

Nasz rozmówca dodaje, że choć wtedy Giertych rozkręcał już kancelarię, to nikt nie przypuszczał, że będzie na niej opierał swoją karierę. – Wciąż był fundamentalny w sferze retorycznej, a praca adwokata wymaga raczej pewnej powściągliwości w ocenach, dyplomacji, elastyczności.

Dziś potrafi sprytnie mieszać role – mecenasa, biznesmena, celebryty, polityka, komentatora politycznego. Trudno powiedzieć, kim jest przede wszystkim. Po 2007 r. zarzekał się wielokrotnie, że skończył z polityką, ale w 2013 r. założył Instytut Myśli Państwowej – razem m.in. z Michałem Kamińskim, Stefanem Niesiołowskim i Kazimierzem Marcinkiewiczem. Mieli budować środowisko, które będzie uczestniczyło w przejęciu władzy po skręcie PO w lewo. Nie udało się. W 2015 r. PiS wzięło wszystko. A Giertych poniósł wówczas bolesną porażkę w wyborach do Senatu (przegrał z Konstantym Radziwiłłem). Formalnie był kandydatem niezależnym, ale błogosławieństwo dostał od Platformy, która w tym okręgu nie wystawiała nikogo, licząc na sukces „przyjaciela Donalda".

– Może to cena, jaką zapłacił za swoją woltę. Ludzie nie wiedzieli, z kim mają do czynienia, co ten człowiek naprawdę myśli. Bo zasadne jest pytanie, czy on w ogóle ma poglądy? Poza tymi nakierowanymi na własny sukces – mówi były działacz Naprzód Polsko.

DISCO POLO PALESTRY

Roman Giertych skończył prawo na poznańskim uniwersytecie. Eksternistycznie. Wcześniej studiował historię. W 1996 r. zdał na aplikację adwokacką, a jego patronem był mecenas Zdzisław Krzemiński, przedwojenny działacz Młodzieży Wszechpolskiej. Szybko po zrobieniu aplikacji dostał się do Sejmu, więc pracę adwokacką rozpoczął na dobre dopiero po przegranych wyborach w 2007 r. Brał się za głośne sprawy (reprezentował m.in. żołnierzy z Nangar Khel, rodzinę ks. Popiełuszki, kobiety zarażone HIV przez Kameruńczyka Simona Mola, byłą żonę Janusza Palikota), z czasem zaczął współpracę z liderami PO i topowymi biznesmenami.

Rozmawiamy z proszącymi o anonimowość warszawskimi prawnikami. – Określiłbym go jako przegranego polityka, który para się adwokaturą. A takie połączenie wcześniej czy później daje kiepski efekt. Osobiście nigdy nie powierzyłbym sprawy adwokatowi, który jest politykiem. Ale wiem, że roztaczany przez niego pewien nimb medialny bywa dla niektórych atutem – słyszymy od naszego rozmówcy, który zwraca uwagę na nadaktywność Giertycha w mediach społecznościowych. – To świadczy o tym, że on żyje polityką. Z jednej strony ma wszystko, co jest w miarę użyteczne w naszym zawodzie: odwagę, a nawet swego rodzaju czasami użyteczną prawniczą bezczelność, ale z drugiej to, co przeszkadza: narcyzm, zaślepienie myśleniem o sobie, o swojej pozycji, a przede wszystkim o władzy. To narkoman polityczny, który swoje nazwisko komercjalizuje w biznesie. Inni wychodzą z polityki, a on w niej został. Odnoszę wrażenie, że jego marzeniem jest, by do niej na dobre wrócić i móc rozliczać wrogów ze swoich porażek.

Kolejny mecenas: – W środowisku adwokackim jest zawsze postrzegany jako polityk i wzbudza emocje charakterystyczne dla naszego podzielonego światka – od uwielbienia po brak jakiejkolwiek akceptacji. Jeśli z przymrużeniem oka palestrę porównać do świata artystycznego, to on jest takim naszym disco polo. Obraz podskakującego mecenasa w rytmie politycznych

eprasa.pl 17264ffba3

haseł wielu ma w pamięci. Uwierzył, że medialność pozwala mu na dużo więcej. Dlatego czasami ze sprawy, którą bierze, próbuje robić politykę. Ale to może zadziałać tylko wtedy, gdy sądy są upolitycznione. W normalnych warunkach tego typu metoda powinna być askuteczna.

ZAŁATWIA KOSZERNIE

Jaki naprawdę jest Roman Giertych jako adwokat? Warto posłuchać słów, których szczerość gwarantuje przekonanie wypowiadających się, że nikt postronny ich nie słyszy. Tak zachwalał go wiosną 2014 r. Leszek Czarnecki, właściciel Getin Banku, na spotkaniu zarządu (taśmę z tego spotkania ujawnił portal tvp.info). Chodziło o uchronienie się przed roszczeniami frankowiczów: „Rozmawiałem z Giertychem w sprawie reprezentowania nas w sporze zbiorowym. Gwarantuje nam, że przez pięć lat nie będzie w tej sprawie rozstrzygnięcia [śmiech], absolutnie może tak umowę podpisać [śmiech]". W tej samej rozmowie bankier rozpływa się nad talentem Giertycha przy reprezentowaniu innego z najbogatszych Polaków: „Tam jest taka sprawa Krauzego, pewnie pamiętacie, że on się zobowiązał o objęcie akcji i dofinansowanie Telewizji Familijnej. Jego reprezentuje Giertych i 16 lat już prowadzi sprawę o egzekucję [...] I tej kobiecie z tej telewizji: »Pani umrze i nie zobaczy ani złotówki« [śmiech]. Szesnaście lat!".

W tym samym roku tygodnik „Wprost" ujawnił stenogram z rozmowy Giertycha z dziennikarzem Piotrem Nisztorem, którego adwokat chciał odwieść od wydawania biografii Jana Kulczyka. Pomysł był prosty: podstawiona przez Giertycha spółka kupi książkę od Nisztora, a następnie za niepublikowanie jej wyciągnie od biznesmena pokaźną sumę. Giertych: „Spółka kupuje anonimowo. Oczywiście przez mojego człowieka, mojego nazwiska nie będzie. Kupuje, płaci podatki, wszystko. Za robotę masz zapłacone pięć razy tyle, co dostaniesz w najlepszym wariancie megabestsellerów. I zabieramy się za następnego gościa, tak? Bo dla mnie to jest biznes. Ja na tym zarobię. Nie ukrywam [...] W tej chwili modus operandi, że se bierzemy następnego gościa, tak? [...] możemy taki »way of life« zrobić. Ty będziesz pisał, a ja będę, słuchaj, sprzedawał to. Dawał ci support prawny". Kto miałby być „następnym gościem"? Pada nazwisko Zygmunta Solorza, ale nie tylko. Giertych: „Czy nie możemy napisać książki o Sołowowie? [...] O Czarneckim można napisać trzecią książkę. [...] No to słuchaj. Ja mam kogoś, kto do nich pójdzie. Rzucisz im pytania? Czy już rzuciłeś? [...] Zadasz mu [Sołowowowi – przyp. red.] pytanie, czy w 1982 r. przewoził biżuterię w odbycie. Delikatnie. Dziewięć takich pytań. [...] Masz materiał na następną książkę, to możemy zrobić firmę, tak? Ja daję opiekę prawną. Wszystko załatwię tak, żeby było koszerne. Ty zbierasz materiały, ty piszesz, zadajesz pytania". Giertych tłumaczył później, że to Nisztor zgłosił się do niego, a on sam blefował, proponując kolejne książki.

> Warszawski prawnik: – Jeśli z przymrużeniem oka palestrę porównać do świata artystycznego, to Giertych jest takim naszym disco polo. Obraz podskakującego mecenasa w rytmie politycznych haseł wielu ma w pamięci

W tej rozmowie uczestniczył też Jan Piński, dziennikarz, z którym Giertych poznał się w czasie obrad komisji śledczej ds. afery Orlenu (lider LPR był jej wiceprzewodniczącym). Później panowie mocno się zaprzyjaźnili. Dziś Piński jest jednym z najgorliwszych obrońców mecenasa podejrzewanego przez prokuraturę o malwersacje finansowe.

Giertych nie boi się trudnych spraw. Ważne, by wiązały się z nimi duże pieniądze. Jego nazwisko pojawia się przy jednej z głośniejszych historii dotyczących mafii tytoniowej. Opisał ją portal kulisy24.com. W marcu 2015 r. uzbrojeni funkcjonariusze Straży Granicznej weszli do siedziby firmy Luxor, gdzie znaleźli największą nielegalną fabrykę papierosów w Europie. Właściciel Bogusław Cz. wezwał na miejsce swojego adwokata Romana Giertycha, który próbował nie dopuścić, by Straż weszła do domu biznesmena. Jak przekonywał, miała nakaz obejmujący tylko zakład produkcyjny. Tyle że adres był ten sam – mecenas próbował więc karkołomnego triku. Gdy strażnicy w końcu weszli, znaleźli w domu 33 mln zł w gotówce. „Pieniądze ukryte były w domowych skrytkach oraz meblach i prawdopodobnie pochodziły z przestępczych transakcji" – czytamy w komunikacie SG. Postępowanie sądowe w sprawie Bogusława Cz. było prawdziwą farsą, przedłużane z byle powodu, z wieloma odwoływanymi rozprawami. Gdy wreszcie zmierzało ku końcowi, sędzia ogłosił, że... odchodzi z zawodu. Proces musiał ruszyć od początku. Takie to wyjątkowe szczęście miał w tej sprawie mecenas Giertych.

KONSULTANT PO

Kwiecień 2020, Giertych publikuje „Plan dla opozycji" na nadchodzące wybory prezydenckie. Jego końcówka była wyjątkowo szczera: „5) W przypadku ogłoszenia zwycięstwa Andrzeja Dudy wspólne zaskarżenie wyników do SN. 6) W przypadku wygrania wyborów przez któregoś z kandydatów opozycji wspólne uznanie tych wyników za wiążące". Plan spodobał się w Platformie. Został wdrożony. Jak się później okazało, już 11 maja (a więc wiele tygodni przed elekcją) PO założyła stronę protestwyborczy2020.pl. I – zgodnie z radami Giertycha – sztab Rafała Trzaskowskiego złożył protest wyborczy. Nic on oczywiście nie dał, ale mecenas nie składał broni. Chciał, by opozycja nie uczestniczyła w zaprzysiężeniu prezydenta, bo bez kworum nie byłoby ono ważne. Problem w tym, że taki przepis

eprasa.pl 17264ffba3

istniał tylko w głowie Giertycha. Dlatego w sieci ukuto prześmiewcze określenie „kworum Romanum".

Wcześniej, w czerwcu 2017 r., to Giertych miał inspirować Mariusza Kozaka-Zagozdę, twórcę i mózg hejterskiego profilu SokzBuraka, do zorganizowania „spaceru z Tuskiem", gdy ten został wezwany na przesłuchanie do prokuratury w sprawie katastrofy smoleńskiej. Według naszych informatorów współpraca mecenasa z Sokiem była bardziej regularna, niż się wszystkim wydaje.

Politykom PO pomaga też w sądach. Reprezentuje Donalda Tuska (oraz jego dzieci), Tomasza Siemoniaka, Sławomira Nowaka, Jana Vincenta Rostowskiego, Jana Krzysztofa Bieleckiego, Stanisława Gawłowskiego czy Radosława Sikorskiego. Z tym ostatnim miał się poznać dzięki Opus Dei. Dzieci Giertycha i Sikorskiego chodziły do Sternika, szkoły prowadzonej przez tę elitarną katolicką organizację. Giertych nigdy nie potwierdził, że do niej należy. Ale to jego nazwisko jako jedynego polskiego polityka wymienia w książce „Opus Dei" watykanista John L. Allen. Piotr Giertych, brat Romana, był zaś wykładowcą Akademii Lidera, prowadzonej przez ten ruch.

Kiedy zaczęła się współpraca byłego szefa Młodzieży Wszechpolskiej z PO? Tak mówił o tym Janusz Palikot we wrześniu 2012 r. w Tok FM: „To jest plan polityczny. [...] Giertych był takim człowiekiem Platformy także w latach 2005–2007. Pamiętam, jak nieraz Schetyna coś z Giertychem uzgadniał niekorzystnego dla PiS, dla koalicji, w której tkwił Roman Giertych". W TVN24 Palikot śmiał się, słysząc o „skuteczności" mecenasa, przekonywał, że adwokat przegrał z nim wszystkie procesy i ostatecznie z racji tej nieskuteczności utracił pełnomocnictwa, jakie otrzymał od byłej żony Palikota. I powtarzał: „To naturalny zasób kadrowy Platformy Obywatelskiej." Jeszcze dalej poszedł w czasie spotkania w Bytomiu: „Od dawna uważam Romana Giertycha za zatrutego psa Platformy Obywatelskiej, którym PO się posługuje, kiedy chce".

Nie ukrywał tego sam Giertych. W 2014 r. w „Newsweeku" w wywiadzie zatytułowanym „Mój przyjaciel Donald" opowiadał: „Przyjaźnię się z czołówką PO już prawie z 10, nawet 13 lat. Współpracowaliśmy bardzo blisko w czwartej kadencji – na przykład z Maćkiem Płażyńskim [...] Planowaliśmy z Donaldem Tuskiem taki manewr, żeby robić spotkania wyborcze wspólnie – przeciwko sobie, żeby zdetronizować PiS. Tylko że ja nie mogłem startować, bo byłem za młody o pięć miesięcy". I dalej: „My się przyjaźniliśmy z Donaldem Tuskiem, Rokitą, Schetyną itd., grywaliśmy z nimi po cichu w piłkę, w koszykówkę. Gdyby wówczas się o tym dowiedział nasz elektorat, toby nas rozszarpał. Ale taka była rzeczywistość. Jestem z Donaldem Tuskiem na »ty« od lat, a w rządzie PiS nie byłem z nikim na »ty«". Twierdził też, że to on „rozwalił" gabinet Jarosława Kaczyńskiego i jest z tego dumny: „A ja z nożem w zębach czekałem na okazję, żeby mu się odwinąć".

> Giertych politykom PO pomaga też w sądach. Reprezentuje Tuska (oraz jego dzieci), Siemoniaka, Nowaka, Rostowskiego, Bieleckiego, Gawłowskiego czy Sikorskiego

POD RĘKĘ Z „WYBORCZĄ"

Podobne zasługi przypisywał sobie w 2012 r. w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej" pod symptomatycznym tytułem „Spowiedź Giertycha". Wtedy dokonał się jego polityczny coming out, po którym obóz III RP wybaczył mu wszystko, czym okładał go przez długie lata i umiejscowił w centralnym punkcie frontu antypisu. W rozmowie tej wyznaje, że jego język z czasów LPR był zbyt cięty, że nie powinni wtedy z kolegami mówić o „zgejeniu" Europy, że wynikało to „ze zbyt dużego zabiegania o środowiska związane z Radiem Maryja". „Właściwie poglądów bardzo nie zmieniłem, przybyło doświadczenia życiowego. Jestem liberałem gospodarczym i konserwatystą, jeśli chodzi o wartości" – podsumowywał swoją sylwetkę.

Przed tym wywiadem w archiwach „GW" znajdziemy całą masę tekstów, z których wyłania się obraz Giertycha jako jednego z głównych wrogów tego środowiska. Czasy koalicji PiS-LPR-Samoobrona i ministrowanie w resorcie edukacji to codzienna wojna „Gazety" z nielubianym, wyszydzanym i odczłowieczanym politykiem. Wtedy temu dziennikowi nie przeszkadzało palenie kukieł osób publicznych – a w ten sposób protestowała przeciw Giertychowi Inicjatywa Uczniowska, wznoszono też okrzyki: „Giertych do wora, wór do jeziora!". „Wyborcza" z lubością to wszystko relacjonowała.

Ale cofnijmy się jeszcze bardziej. Jest rok 2002, Giertych od sześciu miesięcy zasiada w parlamencie. Nosi wtedy równo ciętą krótką grzywkę i dużo tańsze niż dziś garnitury. Dla postępowych „elit" jest synonimem obciachu. Ewa Milewicz w „GW" jednak skreśla o nim wiele ciepłych słów: „Obrady sejmowej komisji europejskiej to kino akcji. Spielbergiem tego filmu jest poseł LPR Roman Giertych. Debiutant w fachu posła, ale debiutant doskonały. Jest prawnikiem (skończył także historię). Prawnicy w Sejmie się bardzo przydają, a ten w dodatku czyta druki sejmowe, co w Sejmie nie jest normą. Czyta też regulamin Sejmu i umie się nim posługiwać. Nie analizuje, kto jest komuchem, a kto nie, nie dekomunizuje przy każdej okazji, nie tropi agentów, czyli nie robi tego wszystkiego, czym tradycyjnie zajmuje się polska prawica". Skąd ten zachwyt? To Giertych pomagał posłom SLD i PO napisać ustawę zgodną z prawem (choć ostatecznie głosował przeciwko niej).

W tamtych czasach, przy okazji afery Orlenu, Giertych mówił, że „skończył się Aleksander Kwaśniewski, a zaczął się Aleksander K.". Historia nie potoczyła się tak, jak by sobie to wymarzył. Były prezydent żadnych zarzutów nie usłyszał. A „Długi" (taką ma ksywę wśród przyjaciół) formalnie – według prokuratury – jest już Romanem G.

Reklama | 24/1020/F

eprasa.pl 17264ffba3

Twój stan zdrowia nie musi wpływać na Twoje codzienne sprawy

ZAPEWNIAMY TRANSPORT

Centrum Medyczne Synexus prowadzi konsultacje dla osób z poniższymi schorzeniami i szuka pacjentów do udziału w badaniach klinicznych:

- ***POChP***
- ***Migrena***
- ***Otyłość, cukrzyca typu 2, wysokie ciśnienie, wysoki poziom cholesterolu***
- ***mogą to być objawy niealkoholowego stłuszczeniowego zapalenia wątroby****

Weź udział w badaniach klinicznych. Pomóż sobie i innym.

Więcej informacji: tel. 327 378 525
lub www.przychodniasynexus.pl/badania/

SYNEXUS

*Niealkoholowe stłuszczeniowe zapalenie wątroby, znane również jako NASH, jest cichą chorobą z bardzo niewielkimi objawami. Jeśli widzisz u siebie objawy takie jak: otyłość, cukrzyca typu 2, wysokie ciśnienie lub wysoki poziom cholesterolu, oznacza to, że Twoja wątroba może być zagrożona. NASH może prowadzić do marskości lub raka wątroby.

eprasa.pl 17264ffba3

Prawnik do zadań specjalnych

Giertych zasłabł w trakcie przeszukania jego domu przez funkcjonariuszy CBA. Trafił do szpitala

Fot. Andrzej Iwanczuk/REPORTER

Roman Giertych uniknął aresztu, podobnie jak inni bohaterowie głośnego zatrzymania przez CBA, które poruszyło polskie media. Czy jednak uniknął problemów? W skomplikowanej sprawie, w której prokuratura mówi o praniu pieniędzy i wyprowadzaniu środków ze spółki giełdowej, a podejrzani przekonują o zwykłej praktyce w tego typu firmach, jedno jest pewne: o owianej tajemnicą działalności adwokata Platformy Obywatelskiej wiemy coraz więcej

WOJCIECH BIEDROŃ

Śledczy nie mają wątpliwości, że operacja finansowa, którą przygotować miał Roman Giertych i jego współpracownicy oraz Ryszard Krauze, miała na celu wydrenowanie spółki Polnord na kwotę ok. 92 mln zł. Jak miało do tego dojść?

Współpracownicy Giertycha związani z jego kancelarią adwokacką zakładają spółki z minimalnym kapitałem o wartości 5 tys. zł. Czy mecenas Giertych wiedział o ich powstaniu? Oficjalnie nie, ale coraz głośniej mówi się, że jest to w praktyce niemożliwe. Spółki te niemal od razu „rzucają się na głęboką wodę". W krótkim czasie przeprowadzają transakcje warte dziesiątki milionów złotych. Śledczy są przekonani, że założone spółki to tzw. krzaki. Fasadowe przedsięwzięcia, które zostały stworzone tylko po to, by pomóc Ryszardowi Krauzemu w wyprowadzeniu pieniędzy.

TAJEMNICZA DZIAŁKA ZA 27 MLN ZŁ

Jedna z tych spółek przeprowadza transakcję życia. Za niemal 7 mln zł kupuje działkę pod Poznaniem. W tej transakcji nie występuje Roman Giertych, ale jego bliscy współpracownicy związani z jego kancelarią. Jak ujawnił portal wPolityce.pl, już osiem dni później działka zostaje odsprzedana Polnordowi, w którym Ryszard Krauze miał większościowy akcjonariat. I tu pojawia się tajemniczy zwrot akcji. Polnord daje ludziom Giertycha 27 mln zł, czyli niemal cztery razy więcej, niż za nią zapłacili.

– To klasyczny przykład wyprowadzania pieniędzy ze spółki akcyjnej. Trzeba zawyżać koszta, przepłacać i przekonywać następnie, że dana działka w rzeczywistości jest doskonałym interesem, na którym spółka kiedyś przecież jeszcze zarobi – mówi nam osoba znająca kulisy postępowania.

WIERZYTELNOŚĆ WARTA MILIONY

Drugim możliwym przekrętem jest zakup zdaniem prokuratury bezwartościowych wierzytelności. Te dotyczyły słynnej już sprawy systemu kanalizacyjnego pod tzw. Miasteczkiem Wilanów. Ekskluzywne osiedla były uzbrojone w kanalizację. Ryszard Krauze pod koniec lat 90. deklarował, że kanalizacja zostanie bezpłatnie przekazana miastu. Inwestorem była firma Krauzego – Prokom. Spółka jednak nie przekazała miastu systemu, ale odsprzedała go Polnordowi (ta sama grupa kapitałowa co Prokom). Teraz więc Polnord domaga się od miasta, by ten odkupił kanalizację Miasteczka Wilanów. Skomplikowany proces cywilny trwa w najlepsze w Warszawie, ale Prokom zarobił na tej sprzedaży 73 mln zł.

eprasa.pl 17264ffba3

ZARZUTY PROKURATURY

O tych wszystkich transakcjach już w 2017 r. nowe władze Polnordu zawiadomiły prokuraturę. Ruszyło śledztwo, którego efektem były niedawne zatrzymania.

„Zarzuty, które zostały postawione, obejmują dwa zasadnicze wątki bardzo złożonego śledztwa – zakup bezwartościowych wierzytelności oraz zakup nieruchomości po znacznie zawyżonej cenie. W pierwszym wątku kluczowym jest to, że pokrzywdzony podmiot, czyli spółka Polnord, jak również spółka, która stała się beneficjentem przestępczego procederu, są związane bezpośrednio bądź pośrednio z Ryszardem K. W transakcji wykorzystano jako pośredników dwie fasadowe spółki, które są związane z Romanem G. W efekcie stworzono mechanizm przestępstwa, w którym podmiot o nazwie Prokom zbył omawiane wierzytelności na rzecz dwóch spółek o minimalnym kapitale 5 tys. zł, niemających żadnego zaplecza finansowego, nieprowadzących jakiejkolwiek rzeczywistej działalności gospodarczej, od których te wierzytelności zostały ze znaczną, kilkumilionową marżą nabyte przez wymienioną pokrzywdzoną spółkę Polnord. Roman G. świadczył obsługę prawną dla wszystkich podmiotów, które brały udział w całej transakcji. Finalnie doszło do wypływu środków z Polnordu do Prokomu w łącznej wysokości niespełna 73 mln zł. Finalnie beneficjentem całej transakcji był Prokom, jak również inne podmioty powiązane kapitałowo z Ryszardem K., w tym spółki cypryjskie. Przy czym sam Roman G., w ramach rzekomych usług adwokackich, uzyskał korzyść z tego przestępstwa w wysokości niespełna 2,5 mln zł" – przekazała Prokuratura Regionalna w Poznaniu.

BURZLIWE ZATRZYMANIE

Roman Giertych został zatrzymany 15 października, gdy wychodził z warszawskiego sądu. Został przewieziony do swojego domu w Józefowie, gdzie śledczy i funkcjonariusze CBA rozpoczęli przeszukanie. W pewnym momencie znany adwokat miał zasłabnąć. Zdaniem wielu komentatorów ten fakt nie pozwalał prokuraturze na złożenie wniosku o jego aresztowanie. Przebieg tego zdarzenia miał osobliwą formę. Zdaniem prokuratury „utratę świadomości" Roman Giertych potraktował wyjątkowo wybiórczo. Jego obrońcy twierdzili, że mecenas ze względu na zły stan zdrowia nie może zostać przesłuchany, a co za tym idzie – nie mogą mu być skutecznie przedstawione zarzuty. Szkopuł w tym, że w podpisanym przez nich protokole przesłuchania potwierdzili jego status jako podejrzanego. To jednak nie koniec.

„Możliwość przesłuchania Romana G. w dniu 16 października 2020 r. została stwierdzona wstępną opinią biegłych – specjalistów w dziedzinie kardiologii, neurologii i medycyny sądowej. Wnioski tej opinii zostały potwierdzone w kolejnej opinii lekarzy po przebadaniu Romana G. Kiedy Roman G. dowiedział się o wnioskach wstępnej opinii biegłych, rozpoczął symulowanie braku świadomości. Wcześniej wielokrotnie rozmawiał ze swoimi dwoma pełnomocnikami, a także lekarzami i funkcjonariuszami CBA, nie wykazując żadnych problemów w tym zakresie" – oświadczyła Prokuratura Regionalna w Poznaniu.

W tej sytuacji prokurator postawił Giertychowi zarzuty, a następnie przesłuchał go w charakterze podejrzanego w obecności zespołu lekarzy. I tu następuje kolejny zwrot akcji. Jak informuje prokuratura, po zakończeniu czynności prokuratorskiej problemy mecenasa ze świadomością się zakończyły. „Jeszcze w dniu ogłoszenia zarzutów podejrzany rozmawiał m.in. z zastępcą Rzecznika Praw Obywatelskich, która następnie cytowała fragmenty tej rozmowy. Rzekomo zły stan zdrowia uniemożliwiający kontakt z prokuratorem nie przeszkadzał podejrzanemu w aktywności w mediach społecznościowych" – podkreślają poznańscy śledczy.

RELACJA NA TWITTERZE

Obraz sytuacji dodatkowo komplikowały wpisy małżonki mecenasa Barbary Giertych oraz jego córki Marii. Nagle się okazało, że funkcjonariusze mieli kierować w stronę córki Giertycha seksistowskie uwagi. „(...) jeden z funkcjonariuszy CBA zaoferował, że zostanie po przeszukaniu, aby mi pomóc posprzątać i że przekonam się, że on jest miły. Chwilę później mój Tata stracił przytomność. Czy tak wygląda działanie Państwa i jego służb?" – pytała na Twitterze Maria Giertych. Jej wpis jest o tyle osobliwy, że w licznych wywiadach udzielanych już po wejściu CBA do jej domu podkreślała, że zachowanie funkcjonariuszy nie budziło jej wątpliwości czy kontrowersji.

Na słowa Marii Giertych zareagował Maciej Wąsik, wiceminister spraw wewnętrznych i administracji. „Jestem pewien, że funkcjonariusze zachowywali się zgodnie z procedurami i że wykonywali czynności w sposób odpowiedni i niezwykle kulturalny. Dała temu wyraz sama córka mecenasa Romana Giertycha, gdy na gorąco udzielała wywiadów. Potem stwierdziła, za pomocą mediów społecznościowych, że stała się ofiarą nieodpowiednich stwierdzeń. Moim zdaniem jest to niemożliwe, ale jeżeli tak uważa, to niech złoży zawiadomienie do prokuratury. Wiem, że ze względu na pewną ostrożność procesową wszystkie czynności były dokumentowane, także w postaci nagrań audio i wideo. Będzie można zweryfikować, kto mówi prawdę" – stwierdził Wąsik w telewizji wPolsce.pl.

WALKA O ARESZT

Sąd nie zgodził się na aresztowanie Ryszarda Krauzego ani współpracowników Romana Giertycha. Z budzącego olbrzymie wątpliwości uzasadnienia dowiedzieliśmy się, że jest duże prawdopodobieństwo, iż do żadnego przestępstwa nie doszło. Takie podejście musi dziwić. Śledczy zebrali w tej sprawie 100 tomów akt. Czy jest możliwe, że sędzia decydująca w kwestii aresztów dla podejrzanych w ciągu zaledwie kilku godzin przeczytała cały materiał dowodowy? A co z przesłuchaniem świadków? Miejmy nadzieję, że sędzia, który kiedyś będzie prowadził proces, rzetelniej wczyta się w przyszły akt oskarżenia. Gdy zamykaliśmy ten numer tygodnika „Sieci", prokuratura jeszcze nie złożyła zażalenia na decyzję sądu dotyczącą braku zgody na aresztowanie głównych bohaterów tej sprawy.

eprasa.pl 17264ffba3

Wirus masowego rażenia

Potrzebujemy dodatkowych rąk do pracy. A gdzie są te ręce? Mamy wojsko, duchowieństwo, harcerzy, wolontariuszy. Te zasoby trzeba wykorzystać. Są też lekarze, którzy starają się od lat o prawo do wykonywania zawodu w Polsce, ale go nie dostawali. Trzeba po nich teraz sięgnąć

Z dr. Pawłem Grzesiowskim, pediatrą, immunologiem, prezesem Fundacji Instytut Profilaktyki Zakażeń, ekspertem Naczelnej Rady Lekarskiej ds. COVID-19, rozmawia Dorota Łosiewicz

Dlaczego wirus SARS-CoV-2 jest groźny? Wciąż słyszę od różnych samozwańczych ekspertów, że to zwykła grypa, a panika jest przesadzona.

Paweł Grzesiowski: Wirus jest groźny, ponieważ bardzo szybko się rozprzestrzenia. Wywołuje zdarzenia masowe, tzn. w krótkim tempie pojawia się bardzo duża liczba chorych. Gdyby zachorowało tysiąc osób, to nikt by go nie zauważył, a nawet gdyby zachorował milion, to wciąż nikt by go nie widział. Kiedy mamy jeden wypadek samochodowy, to nikt się nie przejmuje, ale jeśli jest katastrofa dwóch autobusów czy 50 samochodów, to robi się problem. Jeśli 10 proc. chorych ląduje w szpitalach, część z nich umiera, to jest to problem. Przy takiej masowości wirusa żaden system ochrony zdrowia nie wytrzyma, bo nie ma takich rezerw. Nikt nie buduje tysiącłóżkowych szpitali, które sobie czekają na lepsze czasy. Na pierwsze 50 tys. chorych czekaliśmy pół roku, na drugie – dwa miesiące, na trzecie – dwa tygodnie, a na czwarte – sześć dni.

A czy grypa nie jest masowa? W ubiegłym roku dziennie zapadało na nią ponad kilkaset tysięcy osób.

Jeśli poczekamy do stycznia, to być może się okaże, że będzie więcej przypadków grypy niż COVID-19. Grypa podobnie się przenosi, bo najpierw chorują dzieci, a potem dorośli, a najgroźniejsza jest dla grup ryzyka 65+. Dzieci grypę potrafią przechodzić ciężej niż COVID-19. Tylko statystycznie grypa jest 5–10 razy mniej śmiertelna. Grypa sezonowa jest przede wszystkim chorobą układu oddechowego, nie powoduje zaburzeń krzepnięcia, tak jak wirus SARS-CoV-2, który silnie atakuje układ naczyniowy. Najczęstszym powikłaniem pogrypowym jest zapalenie płuc, a przy COVID-19 zapalenie płuc to dopiero początek. Potem zaczynają się powikłania wielonarządowe, których nie ma przy grypie. Na grypę

eprasa.pl 17264ffba3

nie zachoruje każdy, kto skomunikuje się z tym wirusem, bo część z nas ma już odporność, ktoś chorował, ktoś się zaszczepił. A przeciw COVID-19 nikt z nas nie ma odporności swoistej. Na szczęście 30–40 proc. ludzi ma nieswoiste mechanizmy obronne. To, jako ludzkość, nas ratuje.

Z czego wynikają powikłania wielonarządowe, o których pan mówi?

Ze specyfiki wirusa i choroby. Kiedy zapytamy ludzi, czym jest COVID-19, większość odpowie, że to taka grypa. A to nie jest grypa. Wirus SARS-CoV-2 łączy się z białkiem w naczyniach krwionośnych, następnie dochodzi do mikrozakrzepów w naczyniach, mamy więc chorobę zatorowo-zakrzepową w mikrokrążeniu w wielu narządach. Dlatego wśród pacjentów pocovidowych występuje cała gama objawów. Od bólu stawów po wypadanie włosów. Tego nie ma tak często w grypie, a jej najczęstsze powikłania dotyczą płuc i mięśnia sercowego. Przy koronawirusie mamy do czynienia z uszkodzeniem wielu narządów, w miejscu, w którym rozwiną się mikrozakrzepy i zatory. Dlatego ludzie po COVID-19 mają uszkodzone nie tylko płuca, nerki, mięsień sercowy, lecz także mózg. Widziałem tomografie ludzi z COVID-19, u których mózg wyglądał jak kaszanka. Wirus ma wiele punktów zaczepienia w różnych narządach. Nie wiemy, dlaczego u jednych atakuje mózg, a u innych nerki.

A dlaczego jedni przechodzą chorobę bezobjawowo, lekko, inni ciężko?

To wynika z genów i przeszłości immunologicznej. To moja hipoteza, ale ona zaczyna mieć potwierdzenie w badaniach. Jest grupa ludzi w populacji, która ma tzw. geny wojowników, a one powodują, że rozwija się nadmierna reakcja na wirusa i wtedy organizm od wewnątrz ulega pożarowi i dochodzi do uszkodzenia wielu narządów, które wytwarzają tyle zapalnych białek, że same go niszczą. Poza genami ważne są procesy starzenia, ponieważ dzieci i młodzież tych najgorszych objawów nie mają. U starszych w genach dzieje się coś takiego, że organizm traci zdolność hamowania reakcji na wirusa – może tak jak w starym samochodzie: hamulce działają słabiej. Niepohamowana reakcja na wirusa to tak, jakby złodziej zapukał do drzwi, a pani, widząc go, dla obrony własnej podpaliła całe mieszkanie. Złodziej zginie, ale całe mieszkanie stanie w płomieniach i pani też prawdopodobnie spłonie albo się poparzy. Organizm nie powinien tak reagować. Mamy mnóstwo wewnętrznych hamulców, które powodują, by do przegrzania nie doszło. Jednak u 10 proc. chorych to się dzieje. Tak jakby hamulce zużywały się z wiekiem i giną ludzie z najbardziej agresywną odpowiedzią na wirusa. Ważne jest także to, jak nasz układ odpornościowy jest wytrenowany. W rodzinie pięcioosobowej zdarza się tak, że chorują trzy osoby, a dwie nie. Tak bywa i przy innych infekcjach. Tacy ludzie mają jakąś mutację genową, są odporni nieswoiście. Gdyby to nie istniało, wówczas wskaźnik zachorowalności nie wynosiłby 1,5–2, a 20.

Dziś naukowcy wiedzą o wirusie dużo więcej niż w maju?

Oczywiście. W styczniu znaliśmy tylko sekwencję RNA wirusa, i to dość szybko. Od tego momentu ruszyła lawina badań naukowych i każdy dzień przynosi nowe odkrycia. Na początku sądzono, że atakuje tylko płuca, dziś już wiemy, że nie tylko. Myślano, że przejście choroby daje pełną odporność, dziś już wiemy, że tak nie jest. Myślano, że powstaje coś takiego jak „odporność stadna". Dziś wygląda na to, że tak nie jest, bo skoro organizm może być skolonizowany po raz drugi przez wirusa i pacjent może go ponownie rozprzestrzeniać (przypadki z Hongkongu i Holandii), to ta sytuacja nie spełnia kryteriów samowygasającej epidemii. Mamy też nowe mutacje, ale wirus nie łagodnieje. Pandemia uczy nas pokory wobec nauki, wiedzy i przewidywania oraz modelowania różnych rozwiązań.

Wciąż możemy mówić, że pojawienie się szczepionki wygasi pandemię?

Tu może być kolejna frustracja. Im więcej się dowiadujemy o chorobie, tym bardziej się denerwujemy, że szczepionka może nie przynieść oczekiwanego skutku. Może będzie skuteczna, a może nie przyniesie oczekiwanego efektu. Wirus może mutować, a może osoba po zaszczepieniu i tak będzie go roznosić. Możliwe są więc różne scenariusze. Nie można stawiać wszystkiego na jedną kartę, trzeba być elastycznym. Przecież część naszych poglądów, np. na temat maseczek, uległa zmianie z powodu poszerzenia wiedzy na temat wirusa. Trzeba więc elastycznie reagować na fakty, umieć przyznać się do błędów i to zakomunikować.

Jaki więc widzi pan scenariusz optymistyczny, a jaki negatywny?

Scenariusz optymistyczny jest taki, że powstanie bezpieczna szczepionka i będzie masowo dostępna. Wersja gorsza jest taka, że szczepionki będzie za mało lub że nie będzie dość skuteczna. Wówczas musimy być gotowi na inne warianty. Jedyną metodą walki są maseczki, dezynfekcja i dystans. Czekamy też na lek. Ostatnie dane w sprawie remdesiviru też schładzają optymizm. Okazuje się, że jest on skuteczny, gdy zostanie podany we wczesnej fazie, w pierwszych dobach choroby, przed wystąpieniem zapalenia płuc.

Mówi pan o „chorobie". Tu też jest w debacie publicznej wiele nieścisłości. Czy choroba jest wtedy, gdy wystąpią objawy, czy osoba zakażona, czyli z pozytywnym wynikiem testu, też jest chora?

To od początku pandemii nie jest jasno sformułowane. Ludzkość jest przyzwyczajona, że z chorobą mamy do czynienia, gdy występują objawy chorobowe towarzyszące zakażeniu. Tu mamy wyłom. Mamy ludzi, którzy chorują bez objawów. Wiele osób nie może tego zrozumieć. Jesteś chory, bo masz wirusa, nawet jeśli objawy nie wystąpią. Mamy wiele chorób, które przechodzimy analogicznie, nie wiedząc o tym, np. cytomegalię. 90 proc. ludzi ma przeciwciała, a więc przeszło tę chorobę. Można chorować na ospę, mając trzy krosty i mając 300 krost oraz powikłania w postaci zapalenia mózgu. A osoba bez objawów zaraża, więc kwarantanna jest kluczem do pokonania COVID-19. Sanepid nie jest już w stanie śledzić kontaktów, tymczasem można by opanować pandemię, izolując jak najszybciej bezobjawowych

Fot. Piotr Blawicki /ddtvn/ East News

eprasa.pl 17264ffba3

nosicieli i chorych. Tylko izolacją można odciąć drogę osoby chorej do zdrowej. Tak wygrywają Azjaci. Jeśli jesteśmy bezobjawowi, to zarażamy 7–10 dni, jeśli mamy objawy, zarażamy dwa tygodnie, a jeśli jesteśmy ciężko chorzy, zarażamy trzy tygodnie. To jest potwierdzone naukowo.

Czyli na pewno SARS-CoV-2 nie jest jak wirus opryszczki, czyli że żyje w organizmie i może ujawniać się co jakiś czas?

Na pewno to ja niczego nie mogę powiedzieć w przypadku tego wirusa. Taką wiedzę moglibyśmy uzyskać po zbadaniu materiału sekcyjnego wielu osób, która zmarły z innego powodu, ale kilka miesięcy wcześniej chorowały na COVID-19.

Gdyby stanął pan na czele sztabu kryzysowego, jak rozpisałby pan strategię działania w walce z koronawirusem na najbliższe tygodnie?

Mamy dwa główne kierunki działania: cywilny, czyli wpływ na społeczeństwo i ogólną liczbę zakażeń. I drugi – działanie osłaniające najbardziej zagrożonych, czyli chorych wymagających leczenia w szpitalach. Tu trzeba zapewnić, by wszyscy, którzy potrzebują opieki medycznej, ją dostali. Trzeba więc z jednej strony podjąć działania, które ograniczą liczbę zakażeń, a z drugiej – działania, które ograniczą liczbę zgonów. Czasu niestety nie mamy, bo wirus nas wyprzedza. To jest jak z falą powodziową. Gdy w którymś miejscu wał przeciwpowodziowy zawiedzie, wówczas woda nas zalewa. Jesteśmy w takim momencie, że fala epidemii w wielu miejscach przebiła wały i woda powoli nas zalewa. Mazowsze, Małopolska, Wielkopolska, Pomorskie, Śląskie to są województwa, gdzie mamy realny problem z zapewnieniem łóżek chorym. Jest ryzyko, że ludzie będą umierali, zanim dostaną się do szpitala. W marcu wygraliśmy z pandemią, ponieważ byliśmy przed wirusem, a teraz go gonimy. Wiosenne uderzenie zaczęło się od Włoch i widząc, co tam się dzieje, rząd zdecydowanie reagował. I nie chodzi tylko o lockdown, ale o szybkie włączenie wojska w działania. Tymczasem teraz, kiedy lawinowo rośnie liczba chorych, dopiero od niedawna słyszymy, że wojsko ruszy do pomocy. Ono już od dawna powinno być zaangażowane, bo wszędzie brakuje personelu.

Idźmy więc po kolei. Zacznijmy od tego, co zrobić, by ograniczyć liczbę zakażeń?

Ja nie mam niestety dostępu do danych sanepidu, a ten wie, skąd się biorą chorzy. Gdybym taki dostęp miał, sprawdziłbym, w jakich okolicznościach najczęściej przenosi się wirus. Gdybym zobaczył, że rozproszone zakażenia rodzinne stanowią 50 proc. wszystkich zakażeń, a w większości przypadków są to rodziny, które mają dzieci w szkole, wówczas należałoby jak najszybciej zamknąć szkoły. Przy okazji szkół mamy jeszcze takie dramatyczne zjawisko, że dzieci personelu medycznego chodzą do placówek edukacyjnych, przynoszą infekcje do domu, a personel medyczny trafia na kwarantannę. Dzieci pracowników ochrony zdrowia powinny być objęte specjalną kuratelą i mieć możliwość uczenia się np. zdalnego. Gdyby źródłem zakażeń były DPS-y i szpitale, wówczas należałoby tam wzmocnić kontrolę zakażeń. Jeśli z tych danych wynikałoby, że mamy mnóstwo zakażeń w galeriach handlowych, wówczas należy zamknąć lub ograniczyć działanie galerii. Jeśli do zakażeń dochodzi na siłowniach, wówczas należałoby zamknąć siłownie. Kluczowe jest to, by interwencje były celowane. Wszystkie dane są w systemie, gromadzi je sanepid. Ale nie ma tam już ani sił, ani środków, aby te dane na bieżąco analizować. Konieczne są także inne dane o aktywności placówek medycznych, mobilności ludzi, gęstości zaludnienia – trzeba ich tylko użyć do świadomego zarządzania epidemią. Decyzje trzeba podejmować na podstawie danych, a nie przeczucia. Kolejną sprawą jest szeroko pojęty sektor religijny, duchowy czy rodzinny. Na moment, w którym rozmawiamy (co trzeba podkreślić, bo dynamika zdarzeń jest duża), wciąż mamy dopuszczone uroczystości rodzinne, a w ostatnich tygodniach to było największe źródło zakażeń. Mamy czyjeś urodziny, komunię, chrzciny czy jakieś spotkanie towarzyskie i po takim spotkaniu kilka osób jest chorych, bo jedna z obecnych była zarażona. W tej chwili nawet małe, spotykające się grupy ludzi stwarzają wirusowi okoliczności do namnażania się. Trzeba więc ograniczyć i te spotkania. W Danii zakazano np. organizowania imprez przez osoby prywatne w przestrzeni prywatnej, a władze wystosowały apel o to, by unikać spotkań towarzyskich z osobami spoza swojego najbliższego kręgu przyjaciół.

> Jeśli jesteśmy bezobjawowi, to zarażamy 7–10 dni, jeśli mamy objawy, zarażamy dwa tygodnie, a jeśli jesteśmy ciężko chorzy, zarażamy trzy tygodnie. To jest potwierdzone naukowo

Porozmawiajmy więc o służbie zdrowia. Mamy zapowiedź, że w miastach wojewódzkich powstaną szpitale polowe, jak ten warszawski na Stadionie Narodowym. To chyba dobry kierunek?

Pomijając aspekt PR, Stadion Narodowy to miejsce najlepiej skomunikowane w Warszawie, jest tam przestrzeń na podjazd dla kilkudziesięciu karetek, lądowisko helikopterów, wyposażenie w media, z dobrą klimatyzacją, to świetnie. Jest tam miejsce na postawienie namiotów, w których będzie się odbywał triaż [procedura umożliwiająca służbom medycznym segregację rannych w wypadku masowym w zależności od stopnia obrażeń oraz rokowania – przyp. red.]. W masowym zdarzeniu, a z takim mamy

48/0620/F

eprasa.pl 17264ffba3

do czynienia, coś jakby naraz rozbiło się 30 samolotów, najważniejsza jest logistyka. Triaż jest obowiązkowy, bo jak podjedzie jednocześnie 20 czy 30 karetek, to one nie mogą stać osiem godzin i czekać na przekazanie pacjenta, tylko muszą zostać jak najszybciej opróżnione i opuścić ten obszar. Z punktu widzenia zarządzania kryzysowego masowymi zdarzeniami wybór miejsca wydaje się słuszny. Minusem jest to, że tam trzeba wszystko zrobić od zera. A to potrwa. Szkoda, że tych prac nie rozpoczęto latem, w mniejszej skali. A tak, jak robi się coś po raz pierwszy, jest to improwizacja, a jesteśmy w niedoczasie. No i szkoda, że nie mamy jasnej komunikacji, dlaczego właśnie to miejsce, a nie inne.

No i mamy problem z ludźmi. Skąd ich brać. Pojawił się pomysł, by ułatwić podjęcie pracy lekarzom z zagranicy.

Wszystko jedno, czy przyjedzie do nas lekarz z zagranicy, czy my zawieziemy pacjenta na OIOM do Niemiec. Każdy sposób jest dobry, byle ratować życie. W Polsce nie mamy rezerw lekarzy. Jeśli ich przesuniemy, to gdzieś ich zabraknie. Lekarze rodzinni mogą pracować w szpitalach, tylko wtedy nie będzie ich w POZ. A nie chodzi o to, by leczyć jednych kosztem innych. Potrzebujemy dodatkowych rąk do pracy. A gdzie są te ręce? Mamy wojsko, duchowieństwo, harcerzy, wolontariuszy. Te zasoby trzeba wykorzystać. Są też lekarze, którzy starają się od lat o prawo do wykonywania zawodu w Polsce, ale go nie dostawali. Trzeba po nich teraz sięgnąć. O ile znajomość języka pozwoli wziąć udział w szkoleniu. Ale my po prostu potrzebujemy rąk do pracy. Każdych. Wbrew pozorom opieka nad pacjentem z COVID-19 nie jest bardzo skomplikowana, o ile nie ma on chorób współistniejących. To zwyczajna interna.

> Z punktu widzenia zarządzania kryzysowego masowymi zdarzeniami wybór Stadionu Narodowego na szpital polowy wydaje się słuszny. Minusem jest to, że tam trzeba wszystko zrobić od zera. A to potrwa

Pojawiły się jednak głosy, że budowanie szpitali polowych to niepotrzebne sianie paniki.

Z punktu widzenia tych ludzi nawet mówienie prawdy o koronawirusie będzie sianiem paniki. To absurd. Nawet

REKLAMA

25 SALTUS
LAT UBEZPIECZENIA

Dobre pomysły
WYGRYWAJĄ
NAGRODY!
Jubileuszowy konkurs na 25-lecie SALTUS Ubezpieczenia

ekspres do kawy DeLonghi DINAMICA

Thermomix

iPhone XS 64 GB

Skorzystaj z naszej oferty ubezpieczeń mieszkaniowych, zdrowotnych, NNW, podróżnych oraz na życie Optimum MAX

Odpowiedz na pytanie konkursowe i sięgnij po atrakcyjne nagrody!
Formularz konkursowy znajdziesz w placówkach **SKOK**

Szczegóły i regulamin konkursu dostępne na www.saltus.pl/konkurs
Materiał o charakterze reklamowym i marketingowym

WEŹ UDZIAŁ!

eprasa.pl 17264ffba3

jeśli rząd brał pod uwagę efekt „wow", to pod tym względem wybór miejsca też jest słuszny, bo przywodzi na myśl sceny, które widzieliśmy wiosną w Madrycie, Mediolanie czy Paryżu. To musi uruchomić wyobraźnię i to nic złego, bo tej wyobraźni wielu osobom ostatnio brakuje. Może ktoś sobie uświadomi, że sytuacja jest naprawdę poważna.

A skąd ta niechęć do maseczek, skąd to rozluźnienie w społeczeństwie?

Ludzie dostali przekaz, że świetnie sobie poradziliśmy (co w przypadku wiosny było prawdą), zaczęli się zastanawiać, po co był lockdown, skoro wirus wcale nie był groźny itd. Należało powiedzieć społeczeństwu: „Lockdown kosztował nas tyle i tyle, ale dzięki temu nie umarło przykładowo 50 tys. osób, a więc dziękujemy narodowi za poniesiony trud". Ponieważ takiego komunikatu nie było, ludzie zaczęli podważać sens lockdownu, bo przecież większość poniosła wysokie jego koszty. Pojawiła się frustracja.

A wirus nie osłabł? Tak się nam wszystkim wydawało latem i jeszcze we wrześniu.

Wirusa nie było, bo stłumił go lockdown, a potem były wakacje i szkoły były zamknięte. Od początku mówiliśmy, że ograniczona liczba zakażeń

> Jest grupa ludzi w populacji, która ma tzw. geny wojowników, a one powodują, że rozwija się nadmierna reakcja na wirusa i wtedy organizm od wewnątrz ulega pożarowi i dochodzi do uszkodzenia wielu narządów

była wynikiem skutecznej akcji „zostań w domu". Udało się ograniczyć, wypłaszczyć krzywą zachorowań. Dostaliśmy cztery miesiące spokoju. Jednak jako eksperci ostrzegaliśmy, że jesień będzie trudna, że będzie druga fala. Niestety wygodniej było słuchać tych, którzy zapewniali, że już jest po sprawie. Mówiliśmy, że ludzie zaczęli podróżować, rozjechali się po kraju, ale także po całej Europie. Były ostrzeżenia, że po wakacjach uderzy fala zachorowań na Pomorzu. Ja od pół roku prowadzę cotygodniowe webinaria dla środowiska medycznego. W kwietniu czy maju ostrzegaliśmy przed kumulacją COVID-19 i grypy. Jeśli ktoś chciałby słuchać, toby usłyszał.

Ale Polacy zaczęli się karmić teoriami o „fałszywej epidemii", o tym, że „COVID-19 to lipa". Ludzie rozsyłają sobie linki, które mają dowodzić tego, że wszystko jest wymysłem.

I tu trzeba powiedzieć, że potrzebujemy porządnej polityki informacyjnej rządu. Komunikaty o tym, co rząd zrobi, a czego nie zrobi, to jednak nie to samo. Mamy konferencje, na których podawana jest dzienna liczba zakażeń i zgonów, która wiele nam nie mówi. To nie jest komunikacja. Powinniśmy słyszeć, co się dzieje, jakie są plany. Dlaczego o szpitalu polowym dowiadujemy się z przecieków i wieczornej konferencji, a nie w ramach codziennej informacji o planach walki z epidemią? W ten sposób społeczeństwo dostaje komunikat, że o ważnych sprawach decyduje się gdzieś po cichu. Powinniśmy mieć jasno wytłumaczone, dlaczego wyłącza się jedną branżę, a nie inną. A jak nie ma komunikacji, to brakuje zaufania, rodzą się spiski i ludzie nie chcą chodzić w maseczkach, bo nikt nie wytłumaczył dostatecznie jasno, dlaczego jest to absolutna konieczność. Trzeba pamiętać jeszcze o jednym. Liczba chorych nie rozkłada się równomiernie na cały kraj. O epidemii wciąż trzeba myśleć regionalnie. Nie da się porównać Śląska, Małopolski czy Mazowsza do Opolszczyzny, województw lubuskiego czy warmińsko-mazurskiego. Podawanie liczby łóżek w skali kraju nic nikomu nie mówi, bo to jest uśredniona wielkość, która nigdzie nie jest aktualna. Polska to zbiór konkretnych województw i powiatów, w każdym sytuacja może być inna, i to trzeba widzieć. Trzeba myśleć globalnie, ale działać regionalnie.

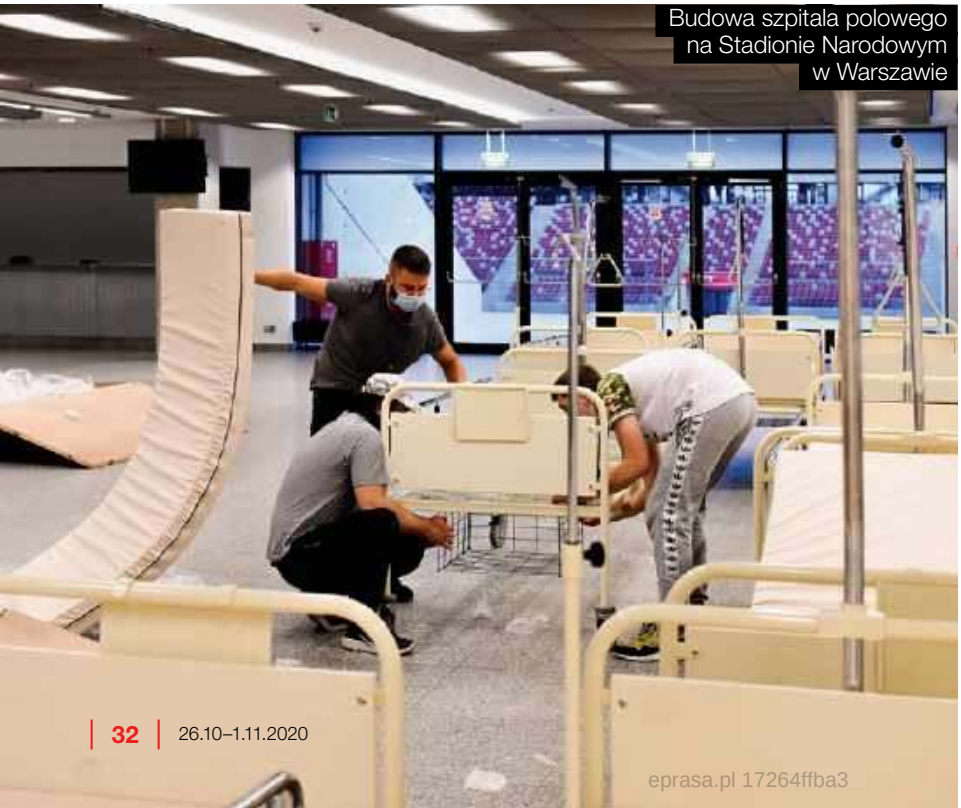

Budowa szpitala polowego na Stadionie Narodowym w Warszawie

Fot. Daniel Grap / KPRM

eprasa.pl 17264ffba3

W pogoni za szczepionką

eprasa.pl 17264ffba3

Choć pojawienie się na horyzoncie szczepionek jest dobrą wiadomością, to nie należy oczekiwać, że sprawią one cud i zatrzymają pandemię. Przynajmniej nie stanie się to od razu. Nie jest bowiem jasne, czy nowe szczepionki będą w stanie zapewnić nam długotrwałą ochronę przed zakażeniem koronawirusem

KONRAD KOŁODZIEJSKI

Amerykański gigant farmaceutyczny Pfizer rozpoczął już w swojej belgijskiej fabryce w Puurs produkcję szczepionki przeciwko koronawirusowi wywołującemu COVID-19. Zdaniem brytyjskiego dziennika „The Daily Telegraph" jeszcze w tym roku może trafić na rynek 100 mln szczepionek. Pozwoli to na zaszczepienie 50 mln osób, każda z nich będzie bowiem musiała przyjąć dwie dawki tego specyfiku.

Przedstawiciele Pfizera zastrzegają jednak, że przed dopuszczeniem szczepionki konieczne jest jeszcze zakończenie trwających testów klinicznych i uzyskanie pozwoleń. Są jednak dobrej myśli, bo obecna faza testów, w których bierze udział 44 tys. osób, zbliża się już do końca. Jedynymi zaobserwowanymi skutkami ubocznymi, które podano do publicznej wiadomości, są występujące u niektórych badanych zaburzenia snu lub bóle ramion. Koncern liczy więc na to, że jeszcze w listopadzie będzie mógł wystąpić do władz amerykańskich o ekspresowe dopuszczenie szczepionki do obrotu. Pfizer, który działa wspólnie z niemiecką firmą BioNTech, zakłada, że – jeżeli wszystko pójdzie dobrze – to do końca 2021 r. uda się wyprodukować 1,3 mld dawek specyfiku.

GENETYCZNE, WEKTOROWE I INNE

Szczepionka Pfizera działa na nieco innej zasadzie niż te tradycyjne, które wprowadzają do organizmu zdezaktywowanego lub osłabionego wirusa. Amerykanie wraz z Niemcami opracowali tzw. szczepionkę genetyczną. Wykorzystuje się w niej jeden lub więcej genów wirusa w celu wywołania odpowiedzi układu odpornościowego.

Nie jest to zresztą jedyny tego typu specyfik, który szykują do walki z koronawirusem koncerny farmaceutyczne. Bliska sukcesu jest również – jak się zdaje – firma biotechnologiczna Moderna z amerykańskiego stanu Massachusetts. Kolejne fazy testów wyprodukowanej przez Modernę szczepionki genetycznej wypadły – zdaniem prof. Anthony'ego Fauciego, dyrektora Narodowego Instytutu Chorób Zakaźnych i Alergii w USA – „nadzwyczaj obiecująco". Własne szczepionki genetyczne testują także inne laboratoria, nie tylko amerykańskie i niemieckie, lecz również brytyjskie, japońskie, indyjskie i koreańskie. Niewykluczone, że te z nich, które wcześniej pozytywnie przejdą testy kliniczne, pojawią się na rynku już w przyszłym roku.

Czy szczepionki genetyczne okażą się przełomem w walce z koronawirusem? Tego nie wiadomo. Dlatego też równolegle prowadzone są intensywne prace nad innymi typami szczepionek. Jednym z nich są szczepionki wektorowe, które do pobudzenia reakcji ludzkiego układu immunologicznego wykorzystują fragmenty innych wirusów. W przypadku szczepionki brytyjsko-szwedzkiej firmy AstraZeneca współpracującej z uniwersytetem w Oksfordzie są to – przykładowo – fragmenty adenowirusa o kryptonimie ChAdOxl występującego u szympansów. Według pisma medycznego „The Lancet" wszystko wskazuje na to, że oksfordzka szczepionka wektorowa, która jest testowana w Wielkiej Brytanii, Brazylii i RPA, zapewnia odporność. Jeżeli testy zakończą się powodzeniem, AstraZeneca gotowa jest wkrótce wypuścić na rynek 2 mld dawek. Szczepionki wektorowe przygotowują również Chińczycy, Izrael oraz takie giganty jak Novartis, Merck oraz Johnson & Johnson.

Producenci z całego świata pracują także nad bardziej „klasycznymi" szczepionkami, w których wykorzystuje się fragmenty białka koronawirusa lub jego zdezaktywowaną lub osłabioną wersję. Wygląda więc na to, że już niebawem świat zostanie zasypany szczepionkami różnych typów. Około 30 z nich jest bowiem w końcowej fazie badań. Pytanie tylko, czy okażą się one skuteczne?

CUDU NIE BĘDZIE

Pewne wątpliwości może budzić tempo testowania nowych szczepionek. W normalnym trybie kolejne fazy testów trwają po kilka lat, odpowiednio długo czeka się również na dopuszczenie nowego specyfiku. Jednak tym razem, z powodu pandemii, posłużono się szybszą ścieżką, która polega na tym, że poszczególne fazy badań oraz procedury dopuszczenia prowadzone są równolegle. Dzięki temu czas wdrożenia nowej szczepionki można skrócić do półtora roku.

Mimo to nie jest wcale jasne, czy szczepionki – nawet przy założeniu, że pomimo błyskawicznego tempa zostały odpowiednio przetestowane– będą w stanie zapewnić nam długotrwałą ochronę przed zakażeniem koronawirusem i tym samym zatrzymać pandemię. Problemem może się okazać brak czasu i skuteczność szczepionki.

Według najnowszych badań amerykańskich naukowców z Yale osiągnięcie odporności stadnej w przypadku koronawirusa SARS-CoV-2 pojawia się dopiero po zakażeniu 60 proc. populacji

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 17264ffba3

(przy współczynniku reprodukcji wynoszącym powyżej 2 – to oznacza, że jeden zakażony zaraża średnio więcej niż dwie inne osoby). Są szacunki, z których wynika, że dojście do takiego poziomu może potrwać co najmniej około dwóch lat i – rzecz jasna – będzie się wiązać z ciągle rosnącą liczbą zgonów. Skuteczna szczepionka mogłaby przyspieszyć proces nabywania powszechnej odporności, zwiększając liczbę osób z przeciwciałami i oszczędzając tym samym życie wielu ludzi, jednak wymagałoby to szybkiego i powszechnego zaszczepienia bardzo dużej części populacji, co jest technicznie bardzo trudne. Jak wylicza „Washington Post", nawet przy jednoczesnym założeniu 70-proc. skuteczności szczepionki i zaszczepieniu 70 proc. populacji, ciągle pozostaje 50 proc. ludzi, którzy nie mają odporności na koronawirusa (niezaszczepieni oraz zaszczepieni, ale nieodporni), co pozwala dalej rozwijać się pandemii.

Trzeba też wziąć pod uwagę to, że nie wszyscy będą się rwali do szczepień. I nie chodzi tu bynajmniej o ruchy antyszczepionkowe, ale o zwykłą reakcję psychiczną wielu ludzi, wynikającą z obawy przed nowym specyfikiem. Upłynie pewnie trochę cennego czasu, zanim większość uzna, że szczepionka jest skuteczna i w pełni bezpieczna. O ile tak – miejmy nadzieję – w ogóle będzie.

Jest jeszcze jeden, gorszy aspekt tej sprawy. Otóż koronawirus, czego dowodzą najnowsze badania, ciągle mutuje. Można się też zarazić nim więcej niż jeden raz. Takich przypadków jest coraz więcej, ponowne zakażenia pojawiły się również w Polsce. Część z tych wtórnych zakażeń przebiega łagodniej niż pierwsze, ale zdarzają się sytuacje odwrotne, gdy drugie zakażenie jest cięższe od poprzedniego. Mechanizmów tych wtórnych zakażeń jeszcze nie znamy.

Oznaczać to może, że zaszczepienie niekoniecznie chroni nas przed zakażeniem. Owszem, nabywamy dzięki szczepionce przeciwciała, jednak nie wiadomo, jak długo nas ona zabezpiecza i na ile skutecznie chroni nas przed nowymi mutacjami koronawirusa. Choć więc pojawienie się na horyzoncie nowych szczepionek jest dobrą wiadomością, to nie należy oczekiwać, że sprawią one cud i zatrzymają pandemię. Przynajmniej nie stanie się to od razu.

NIEBEZPIECZNY EGOIZM

Być może znacznie lepszą wieścią byłoby pojawienie się skutecznego leku na chorobę wywołaną koronawirusem. Dziś dość powszechnie stosuje się silny lek antywirusowy Remdesivir. Jednak – jeśli wierzyć Światowej Organizacji Zdrowia – lek ten nie jest jakoś szczególnie skuteczny w leczeniu COVID-19. Być może to kwestia terapii i właściwego dawkowania w odpowiednim stadium choroby? Specjaliści zwracają bowiem uwagę, że ciągle brakuje leku, który zatrzymałby rozwój choroby, zanim wejdzie ona w ciężką fazę.

> Wygląda na to, że już niebawem świat zostanie zasypany szczepionkami różnych typów. Około 30 z nich jest bowiem w końcowej fazie badań. Pytanie tylko, czy okażą się one skuteczne?

Oczywiście istnieją leki eksperymentalne. Jednym z nich wyleczono jakoby Donalda Trumpa. Ale na razie nie są one dostępne dla przeciętnego pacjenta. Wspomniany wcześniej koncern Pfizer powiadomił niedawno, że w jego brytyjskim laboratorium w Sandwich opracowano środek, który może się okazać potencjalnym lekarstwem na chorobę koronawirusową. Jednak bliższych szczegółów nie ma. Wygląda więc na to, że na razie nie powinniśmy przyzwyczajać się do myśli o tym, że już wkrótce zakażenie koronawirusem będzie można szybko zneutralizować, popijając tabletkę wodą.

Co zatem pozostaje? Niektórzy, nie mogąc się doczekać panaceum, wracają do koncepcji odporności stadnej. Większość lekarzy przestrzega jednak przed takim myśleniem. I nie chodzi tu tylko o to, że służba zdrowia, która już dziś przestaje sobie radzić z nagłym wzrostem liczby pacjentów, po prostu zawaliłaby się, gdyby przyszło jej się zmagać z niczym nieograniczoną falą zarazy. Chodzi o to, że przy obecnym poziomie śmiertelności koronawirusa, osiągnięcie odporności stadnej łączyłoby się z ogromną falą zgonów. Przykładowo Polska liczy 37 mln mieszkańców. Aby osiągnąć odporność stadną (przypomnę – przynajmniej 60 proc. populacji musiałoby przejść zakażenie), musiałoby u nas zarazić się ponad 22 mln osób. Ale stałoby się to kosztem życia – w najczarniejszym scenariuszu – 400 tys. osób. To dlatego Szwedzi zaczęli po cichu się wycofywać z pierwotnego pomysłu nabywania odporności stadnej, a pismo „The Lancet" opublikowało niedawno list podpisany przez kilka tysięcy lekarzy z całego świata, w którym nazywają oni odporność stadną „niebezpiecznym błędem". Ich zdaniem strategia odporności stadnej „nie doprowadzi do zakończenia epidemii, a jedynie do kolejnych jej fal – tak jak w przypadku wszystkich epidemii przed wynalezieniem szczepień".

Prof. Wojciech Szczeklik ze Szpitala Klinicznego w Krakowie nazywa COVID-19 „najbardziej podstępną, powszechną chorobą". Dodaje, że w początkowej fazie pacjenci często sprawiają wrażenie stosunkowo zdrowych, ale już wyniki ich badań „budzą przerażenie". Lepiej więc, póki nie ma jeszcze skutecznego leku na koronawirusa, minimalizować ryzyko zakażeń. Metoda jest prosta i sprawdzona: dystans, higiena i maseczki, Niemcy dorzucają do tego jeszcze – i słusznie – wietrzenie.

Oczywiście można się zżymać na maseczki (nikt nie lubi ich nosić), czytać niestworzone hipotezy i narzekać na brak wolności, ale tu nie idzie tylko o nasz osobisty komfort, ale o bezpieczeństwo ludzi wokół nas. Kiedyś te maseczki przecież zdejmiemy. To, jak szybko się to stanie, zależy także od nas.

eprasa.pl 17264ffba3

Czy procedury zabiją polski lek na COVID-19?

Osocze osób, które miały kontakt z koronawirusem, jest bezcenne. To nie panaceum, ale pomaga chorym na COVID-19 przetrwać i nie dopuścić do najgroźniejszego przebiegu choroby. Polska ma niepowtarzalną szansę stać się producentem leku na bazie osocza. Jednak wszystko wskazuje na to, że wyprzedzi nas Izrael, chociaż dotychczas szanse polskiego Biomedu z Lublina i izraelskiej firmy biotechnologicznej Kamada były wyrównane

Osocze nie musi pochodzić od ozdrowieńców – wystarczy, że ktoś zetknął się z zabójczym wirusem i posiada przeciwciała SARS-CoV-2. Także wówczas, gdy przeszedł zakażenie bezobjawowo.

Czy Polska ma szanse wygrać globalną walkę o lek przeciw COVID-19? Odpowiedź na „tak" jest całkowicie realna, ale pod jednym warunkiem – trzeba przyspieszyć działania. W jaki sposób można to zrobić, pokazuje przykład z Izraela, gdzie właśnie doszło do współpracy pomiędzy tamtejszym ministerstwem zdrowia i firmą biomedyczną.

W Polsce produkcji leku na COVID-19 podjęła się lubelska spółka biotechnologiczna Biomed Lublin. Jej konkurentem na światowym rynku jest wspomniana wyżej izraelska firma Kamada Ltd. I to właśnie ona ogłosiła 19 października, że podpisała umowę z izraelskim resortem zdrowia na dostawy badanego produktu IgG przeciwko COVID-19. Oczekuje, że pierwsze zamówienie przyniesie 3,4 mln dol. przychodu w I kw. 2021 r.

HISTORIA LEKU W POLSCE

Projekt powstania leku na COVID-19 został zainicjowany już w marcu przez senatora Grzegorza Czeleja (PiS) oraz członka Rady Nadzorczej Biomed Lublin Waldemara Sierockiego.

21 maja br. Agencja Badań Medycznych podpisała umowę z Samodzielnym Publicznym Szpitalem Klinicznym nr 1

eprasa.pl 17264ffba3

w Lublinie o dofinansowaniu kwotą 5 mln zł projektu pod nazwą „Badania nad wytworzeniem swoistej immunoglobuliny ludzkiej z osocza dawców po przebytej infekcji wirusowej SARS-CoV-2 i jej zastosowaniem terapeutycznym u pacjentów z COVID-19". Warto zauważyć, że 5 mln zł na badania nad nowym, w dodatku strategicznym w kontekście pandemii, lekiem to nie jest zawrotna kwota. W projekcie uczestniczy też Instytut Hematologii i Transfuzjologii, który m.in. ocenia wdrożenie badań laboratoryjnych dotyczących produkcji immunoglobulin oraz kontroli jakości.

Na zbiórkę osocza do produkcji leku Ministerstwo Zdrowia zezwoliło w czerwcu. Dlaczego nie od razu? Jak mówią nasi informatorzy, w ministerstwie nie było przekonania co do leku z osocza.

Ostatecznie osocze w ilości 150 litrów zostało zebrane przez siedem Regionalnych Centrów Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa (z Raciborza, Radomia, Bydgoszczy, Kalisza, Lublina, Szczecina i Wrocławia). Ogromną rolę w tej akcji odegrali górnicy z Jastrzębskiej Spółki Węglowej. „Ze 150 litrów ponad 100 litrów otrzymaliśmy od górników, którzy tłumnie odpowiedzieli na mój apel" – podkreślił pod koniec września senator Czelej.

18 sierpnia Biomed Lublin SA rozpoczął produkcję leku do badań klinicznych, a 23 września lubelska spółka poinformowała, że z sukcesem zakończyła pierwszy etap powstania polskiego leku na COVID-19 – tempo prac było więc imponujące. Laboratoryjne badania aktywności wyizolowanych przeciwciał w preparacie i ich skuteczności w zwalczaniu wirusa przeprowadzane zostały natomiast w Małopolskim Centrum Biotechnologii Uniwersytetu Jagiellońskiego. „Wyniki, które otrzymaliśmy, wskazują, że ta aktywność jest bardzo wysoka" – powiedział na konferencji prasowej prof. Krzysztof Pyrć z Małopolskiego Centrum Biotechnologii UJ.

> Lek nie trafia jednak zaraz do badań klinicznych, bo najpierw musiał odczekać miesiąc w zamrażarce. Dosłownie i w przenośni. Czy słusznie, czy nie można było i w tym przypadku przyspieszyć działania?

LEK W ZAMRAŻARCE

Lek nie trafia jednak zaraz do badań klinicznych, bo najpierw musiał odczekać miesiąc „w zamrażarce". Dosłownie i w przenośni. Czy słusznie, czy nie można było i w tym przypadku przyspieszyć działania i w pewnym sensie nie przespać tego miesiąca?

Biomed ma wielkie doświadczenie w produkcji immunoglobulin. Od kilkunastu lat sprzedaje na polskim rynku immunoglobulinę anty-RhD produkowaną z osocza krwi ludzkiej, stosowaną w zapobieganiu wystąpienia konfliktu serologicznego pomiędzy matką a dzieckiem, a także immunoglobulinę podawaną z bardzo dużą skutecznością w przypadku wirusowego zapalenia wątroby typu B. Immunoglobulina na COVID-19 jest kolejną.

„JESTEŚMY OPTYMISTAMI"

Badania kliniczne będą prowadzone w czterech ośrodkach: w Lublinie, Bytomiu, Białymstoku i Warszawie. Szef Kliniki Chorób Zakaźnych Samodzielnego Publicznego Szpitala Klinicznego nr 1 w Lublinie prof. Krzysztof Tomasiewicz poinformował, że lek zostanie podany pacjentom zakażonym koronawirusem. – Nie spodziewamy się większych problemów z bezpieczeństwem preparatu, bo my takie preparaty, immunoglobuliny, stosujemy od wielu lat. Jesteśmy do tego optymistycznie nastawieni – podkreśla.

Grażyna Raszkowska

Fot. Shutterstock

Apeluję do ozdrowieńców: oddawajcie osocze

*Rozmowa z **dr. n. med. Grzegorzem Czelejem**, senatorem, pomysłodawcą wykorzystania osocza z przeciwciałami anty-SARS CoV-2 do produkcji leku na COVID-19 w lubelskiej firmie Biomed*

Dlaczego lek produkowany z osocza, a nie bezpośrednio osocze? Na czym polega różnica?

Grzegorz Czelej: Jedno i drugie jest bardzo potrzebne. Już w marcu proponowałem wykorzystanie leczenia osoczem, które zawiera przeciwciała anty-SARS-CoV-2, a w drugim etapie, abyśmy próbowali wyizolować w Biomedzie te przeciwciała i sprowadzili je do postaci leku. Pomysł nie wzbudził wówczas zachwytu w środowisku lekarskim. Sądzono, że inne leki będą bardziej skuteczne. Jednak już w kwietniu pojawiły się w mediach apele o akcje zbierania osocza. Różnica polega m.in. na tym, że osocze możemy podać od razu, po 24 godzinach od pobrania od dawcy – wymaga to tylko krótkiego procesu inaktywacji – zabicia patogenów, natomiast produkcja leku oczywiście musi trwać. Osocze musimy podawać zgodnie z grupą krwi, poza tym serwujemy je z wieloma innymi białkami, co może powodować komplikacje, takie jak po przetoczeniu krwi. A także podajemy choremu jednak trochę nieznaną

eprasa.pl 17264ffba3

dawkę. Do końca nigdy nie wiemy, ile jest tych właściwych neutralizujących przeciwciał w osoczu od danej osoby. To leczenie ma więc swoje ograniczenia. Lek natomiast jest skalibrowany – wiadomo, ile go jest w każdej ampułce, jest również do natychmiastowego podania domięśniowego, niezależnie od grupy krwi.

Biomed ma wieloletnie doświadczenie w produkcji immunoglobulin.

To bardzo istotny kontekst sytuacji w czasach pandemii. Wpadliśmy bowiem w tryby rejestracji nowego leku, a tak do końca to przecież nie jest nowy lek. Wykorzystujemy tę samą technologię, co przy produkcji innych immunoglobulin, a substancja czynna, którą wykorzystujemy, nie jest nowa dla organizmu. Po pierwsze, sam ludzki organizm wyprodukował ją u osoby, która przeszła koronawirusa. Po drugie, od pół roku na całym świecie, z największą skutecznością, leczy się ludzi osoczem z tymi przeciwciałami. Są one już podawane milionom chorych. Ten lek to tak naprawdę ekstrakt z przeciwciał. Nie ma więc problemu z bezpieczeństwem ani pytania, czy jest jakimkolwiek zagrożeniem. Zażądano, aby zbadać trwałość leku – lek musiał odczekać miesiąc. Pojawia się pytanie, czy w czasie szalejącej epidemii jest niezbędne, by lek czekał, a nie był podawany umierającym. Teraz czekają nas badania kliniczne. Prof. Krzysztof Tomasiewicz, szef Kliniki Chorób Zakaźnych Samodzielnego Publicznego Szpitala Klinicznego nr 1 w Lublinie – instytucji wiodącej przy tym badaniu – tonie w dokumentach, które musi przygotować, aby je rozpocząć. Na szczęście dokumentacja jest już w zasadzie ukończona. Teraz trzeba się modlić, żeby urzędnicy nie chcieli ich przetrzymywać, tylko szybko pozwolili podawać lek pacjentom. Inaczej będzie trzeba dokładnie sprawdzić, kto i dlaczego opóźniał ten proces. W grę wchodzi odpowiedzialność za życie ludzi.

Kamada, producent z Izraela, ma taką samą technologię?

Nie identyczną, ale robi to samo. Ścigaliśmy się z nimi od pół roku – kto pierwszy wyprodukuje lek i poda go pacjentom. I teraz mogą nas wyprzedzić. Bo wpadliśmy w skomplikowane i długotrwałe procedury badania leków. Rozumiem przepisy, ale jesteśmy w takiej sytuacji, że należałoby się zastanowić, co urzędnicy muszą mieć w pierwszej kolejności: papiery czy raczej lek, którym na co dzień skutecznie leczyłoby się pacjentów.

A osocza brakuje.

Szpitale alarmują, że osocza nie ma, że nie mają czym realnie leczyć. I nie jest robione nic, by zwiększyć jego zbiórkę. Jest ono w większości sprzedawane za granicę. Najczęściej wyjeżdża do Niemiec. Osocze głównie jest pobierane od honorowych dawców krwi. I w tym roku planowana jest sprzedaż za granicę ok. 200 tys. litrów osocza, co stanowi ok. 65 proc. całego pozyskiwanego osocza w kraju. 35 proc. zostaje na potrzeby własne. Skandaliczne jest to, że osocze sprzedawane za granicę nie jest badane

Grzegorz Czelej

Fot. Materiały prasowe

na obecność przeciwciał anty-SARS-CoV-2. Powinien być wprowadzony zakaz sprzedaży poza kraj takiego osocza z przeciwciałami. Badanie na obecność przeciwciał kosztuje nie więcej niż 30 zł i można je zrobić przy okazji innych analiz na obecność wirusów – a każde pobranie jest pod tym kątem sprawdzane. Poza tym należałoby wprowadzić bardzo szybki przepływ informacji pomiędzy sanepidem a punktami krwiodawstwa, które dzisiaj nie dzwonią do ozdrowieńców natychmiast po zakończeniu ich kwarantanny! A przecież liczy się czas – poziom przeciwciał szybko spada po zakażeniu. Ważne jest więc nie tylko, by ktoś się zgodził i oddał osocze, ale by zrobił to w okresie, gdy jeszcze ma wysoki poziom przeciwciał. Po trzech tygodniach stężenie spada do poziomu nieprzydatności. Tak wynika z badań przy naszym projekcie.

W lipcu przeprowadziliśmy w Lublinie pomiary na obecność tych przeciwciał na grupie kilkuset osób, które się zgłosiły. Mówimy o osobach, które nie były zidentyfikowane jako chore na COVID-19. Okazało się, że już w tym czasie i w tym miejscu 4 proc. miało przeciwciała. Dzisiaj ten procent w różnych częściach kraju może być nawet kilka razy większy. Bardzo ważny jest też kontekst przyszłej szczepionki. Nawet jeśli zostanie wprowadzona, to istotny procent populacji nie będzie mógł być szczepiony (np. część chorych na raka) lub nie nabierze odporności. Dla nich jedynym rozwiązaniem może być osocze lub jeszcze lepiej – lek.

Jako państwo stanęliśmy przed wyzwaniem, jakiego nie mieliśmy od dziesięcioleci. Musimy z całych sił walczyć o zdrowie i życie naszych obywateli. Jedną z najskuteczniejszych obecnie metod leczenia chorych na COVID-19 jest podawanie im osocza z przeciwciałami anty-SARS-CoV-2. Dlatego apeluję i proszę każdego ozdrowieńca o to, żeby zechciał oddać swoje osocze. Bohaterska postawa i poświęcenie każdego dawcy będzie wynagrodzone kolejnym uratowanym życiem. Pokażmy całemu światu, że Polacy potrafią. Bądźmy dumni z tego, że jesteśmy gotowi do poświęcenia na rzecz potrzebujących. Mamy możliwość uratowania setek, a może i tysięcy ludzkich istnień. Pomóżmy zwalczyć koronawirusa tym, którzy są słabsi i potrzebujący. My, jako naród, będziemy zawsze pamiętać o tym akcie poświęcenia w walce o zdrowie i życie innych.

Reklama | 35/0620/F

eprasa.pl 17264ffba3

30 SEKUND do nagród

BŁYSKAWICZNA LOTERIA

8 x TOYOTA
Corolla Hybrid

28 x HULAJNOGA
Mi Electric Scooter

28 x DRON
DJI Mavic Mini

200 000 x **mała kawa** lub **napój Dynamic**

Zagraj na stronie **www.blyskawicznaloteria.lotos.pl**

Loteria dla osób, które ukończyły 18 lat i mieszkają na terenie Polski. Promocja trwa od 20.10.2020 do 14.12.2020. Lista stacji objętych loterią oraz regulamin Błyskawicznej Loterii LOTOS dostępne na blyskawicznaloteria.lotos.pl. Organizator: Grzegrzółka&Ko Sp. z o.o.

LOTOS

eprasa.pl 17264ffba3

Egzamin z pandemii

Kluczowe będzie to, jak obóz rządzący poradzi sobie z tą drugą fazą pierwszej fali pandemii. Nie mówię o „drugiej fali", ponieważ tak naprawdę pierwsza fala nigdy się nie skończyła. Jeśli ludzie zauważą rozziew między słowami polityków a rzeczywistością postrzeganą wokół siebie lub opisywaną przez media, to władza wpadnie w turbulencje

Jacek Karnowski rozmawia z prof. Waldemarem Paruchem, politologiem, nauczycielem akademickim

W jaki sposób pandemia może wpłynąć na preferencje Polaków? Czy to jest coś, co może wysadzić system polityczny w powietrze?

Waldemar Paruch: Systemu politycznego pandemia w powietrze nie wysadzi, ale już wpływa na preferencje wyborcze, ponieważ nakłada się na inne zjawiska. Widzimy to w sondażach z ostatnich dni czy tygodni. Spada poparcie dla obozu rządzącego, minimalnie wzrosło dla Koalicji Obywatelskiej, pozostałe ugrupowania mają stabilny elektorat, zmiany są niewielkie. Oznacza to w sumie, że wzrasta liczba osób niezdecydowanych. Sądzę też, że obniża się ewentualna frekwencja wyborcza. Znaczna część potencjalnych wyborców przechodzi w stan bierności.

Dlaczego?

W takiej sytuacji jak obecna ludzie zaczynają uciekać w bierność, w swoje życie prywatne, domowe. Jest to dość naturalne zjawisko, ponieważ tylko tam można dziś znaleźć azyl i o dom należy zadbać w tych trudnych czasach. Przestrzeń publiczna staje się w oczach wielu ludzi coraz mniej zrozumiała i jednocześnie coraz bardziej niebezpieczna. Własne zacisze, własny dom stają się cenną twierdzą. W ujęciu średniookresowym kluczowe będzie to, jak obóz rządzący poradzi sobie z tą drugą fazą pierwszej fali. Nie mówię o „drugiej fali", ponieważ tak naprawdę pierwsza fala nigdy się nie skończyła.

Co będzie kluczowe?

Za kluczowe uważam odpowiedź na kilka pytań. Po pierwsze, czy decyzje podjęte w ciągu ostatnich dni zdołają zahamować wzrost zarażeń i zachorowań. Po drugie, czy te decyzje sprawią, że uda się zapewnić opiekę ludziom zarażonym i potrzebującym hospitalizacji. Po trzecie, czy rząd zdoła na tyle wzmocnić ochronę zdrowia, że zapewni pomoc ludziom cierpiącym na inne choroby, zwłaszcza przewlekłe oraz takie, które nie mogą czekać, wymagają natychmiastowej interwencji lekarza. I po czwarte, czy w wyniku działań rządu nastąpi odblokowanie medycyny rodzinnej, czyli wyjście poza teleporady. Dziś wiemy, że na poziomie wsi i miasteczek ten sposób niesienia pomocy nie rozwiązuje problemu. Nadciąga jesień, będzie fala infekcji górnych dróg oddechowych, a przez telefon czy Skype'a nie da się zdiagnozować ani grypy, ani zapalenia płuc czy oskrzeli.

Jeżeli dobrze rozumiem, mówi pan, że Polacy wybaczą dużą liczbę zarażeń, bo to zjawisko występujące niemal we wszystkich krajach, wybaczą lockdown i straty gospodarcze, ale nie wybaczą, jeśli karetki z chorymi będą się masowo odbijały od szpitali, godzinami wożąc chorych z miejsca na miejsce?

To jest z pewnością rzecz bardzo groźna, ale jest też istotna kwestia komunikowania politycznego. Jeśli będzie ono prowadzone w stylu, w którym Polacy wyczują brak empatii i zwątpią w wiarygodność władzy, bo nieuczciwie będzie przedstawiała stan rzeczy. Jeśli ludzie zauważą rozziew między słowami polityków a rzeczywistością postrzeganą wokół siebie lub opisywaną przez media, to rząd wpadnie w turbulencje. Błędem jest też uderzanie w ważne grupy społeczne, które zajmują się świadczeniem usług publicznych, a więc w lekarzy, w personel medyczny czy w nauczycieli. Takie wypowiedzi nie tylko są niefortunne, ale też bardzo niebezpieczne w obecnych warunkach.

Nawet jeżeli są to twarde fakty? Nawet jeżeli na wezwanie wojewodów zgłasza się mała część lekarzy, do których wysłano prośbę o stawienie się w szpitalach?

Tak, ponieważ te fakty nie są w tej sprawie najistotniejsze i wielce dyskusyjne. W warunkach pandemii nie można bezkosztowo krytykować grup społecznych, od których zależy życie ludzi. Tego nie można robić. Im należy się poszanowanie ciężkiej pracy i maksymalne wsparcie, a nie

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 17264ffba3

bezrozumna publiczna krytyka. W jej miejsce powinna pojawić się rzeczowa rozmowa. Rząd potrzebuje bowiem wsparcia dla swoich decyzji ze strony i personelu medycznego, i nauczycieli, a także innych środowisk zawodowych.

Wspomniał pan o decyzjach podjętych przez rządzących w ciągu ostatnich dni. Mamy budowę Szpitala Narodowego, nowe obostrzenia, częstsze wystąpienia premiera i ministra zdrowia. Czy to oznacza, że wcześniej popełniono jakieś błędy? Wyhamowanie pandemii w okresie lata uśpiło obóz rządzący?

Mam wrażenie, że zawiodło zaplecze ekspercko-analityczne rządu odpowiedzialne za myślenie strategiczne. Prawdopodobnie nie dostarczono najważniejszym politykom w Polsce rozwiązań odnoszących się do różnych scenariuszy zdarzeń. A wiemy, że znakomici eksperci epidemiologiczni już w lipcu przestrzegali, że istnieje ryzyko skokowego wzrostu zachorowań na jesieni. Wydaje się, że ta sugestia nie była poważnie brana pod uwagę jako scenariusz, który może się stać wariantem podstawowym, a nie fatalistycznym. W ciągu ostatnich dni nastąpiła jednak refleksja, sięgnięto po nowych ekspertów, po nowe zaplecze, które zaczyna inaczej opisywać rzeczywistość pandemiczną w Polsce.

Zabrakło czujności?

Rząd potrzebował nie tyle ekspertów od public relations czy też wizerunku politycznego, ile od zarządzania kryzysowego, medycyny i myślenia politycznego. Mamy w Polsce kilkunastu wybitnych specjalistów od zakaźnictwa, od epidemiologii. Przez wiele tygodni ci ludzie przedstawiali swoje diagnozy w mediach i miało się wrażenie, że nie mają wpływu na procesy decyzyjne. Można było też odnieść inne wrażenie, że wręcz dopominają się publicznie o to, aby ich wreszcie wysłuchano. A przecież powinni mówić o tym wszystkim w kręgach, które przygotowują decyzje dla rządzących.

Władza powinna się zasłonić ekspertami? Trochę tak, jak robił to premier Wielkiej Brytanii Boris Johnson, który powołał SAGE – Scientific Advisory Group for Emergencies?

To na pewno jedna z opcji. Zwracam uwagę, że większość ekspertów apelowała, aby nie uruchamiać od 1 września szkół na masową skalę w Polsce. Można było zacząć od jednego czy dwóch województw i w warunkach laboratoryjnych sprawdzić, jakie będą skutki epidemiczne. Wybrano wariant pełnego otwarcia systemu, mimo ostrzeżeń, że to może się źle skończyć.

eprasa.pl 17264ffba3

Jednak to szkoły decydują, czy mamy faktyczny lockdown, czy też nie. Poza tym, jeżeli teraz zamkniemy szkoły, to pewnie ich już nie otworzymy. Uruchomią się silne mechanizmy oporu ze strony rodziców i nauczycieli. 1 września był dogodnym momentem, aby spróbować.

Nie wiem, czy mechanizmy oporu byłyby tak silne. Wątpię, aby to rzeczywiście nam zagrażało. Za ryzykowne uważam raczej oddanie decyzji w sprawie funkcjonowania szkół w trybie stacjonarnym bądź zdalnym dyrektorom placówek. Bo oni zawsze będą pod naciskiem nauczycieli, którzy też mają swoje obawy, też mają bliskich, którzy mogą mocno ucierpieć w razie zarażenia. Nacisk będzie też wywierał sanepid, złożony głównie z urzędników, zresztą mocno osłabiony, zredukowany, za rządów PO-PSL.

Czy Szpital Narodowy, o którym wspomnieliśmy, to próba wstrząśnięcia Polakami, próba wizualnego zmobilizowania społeczeństwa? To przecież powiedzenie: jeśli nie weźmiecie się w garść, to za chwilę możecie tu leżeć.

Myślę, że to jednak działanie, które ma cele praktyczne. Prof. Andrzej Horban, krajowy konsultant ds. chorób zakaźnych i główny doradca, mówi przecież jasno, że nasz system ochrony zdrowia jest w stanie wytrzymać ok. 10 tys. zakażeń dziennie. Inni eksperci mówią o 15 tys. I to jest czynnik, który zmusza do tworzenia szpitali tymczasowych. Jeżeli wprowadzane obostrzenia nie przyniosą za dwa tygodnie sensownych rezultatów, czyli jeżeli nie zacznie spadać wskaźnik R, a więc liczba osób zarażanych przez osobę zarażoną, to naprawdę możemy wpaść w duże kłopoty. Wtedy kryzys będzie trudny do powstrzymania.

Czy to wszystko nie oznacza jednak, że zmierzamy ku jakiejś wersji odporności stadnej? Skoro celem staje się zapewnienie przepustowości ochrony zdrowia, to w istocie rozkładamy ten proces w czasie. Wyeliminowanie wirusa nie wchodzi w grę.

Sprawa jest chyba bardziej skomplikowana. Z wiedzy, którą mamy, wynika, że po zarażeniu i wyzdrowieniu stajemy się odporni na jakieś dwa–trzy miesiące. To może być więc tak, jak z wirusem grypy, na którego szczepionki uodparniają, ale nie w 100 proc. Wygląda też na to, że szczepionka może nie pojawić się tak szybko, jak część z nas sądziła. Brakuje też dobrych informacji w odniesieniu do leku na koronawirusa. Co nie oznacza, że nie ma dobrych wiadomości.

> Dobrze, że obowiązek noszenia maseczki wpisano do ustawy. Może to sprawi, że sprawa zacznie być traktowana z większą powagą, także dzięki sankcjom

Na przykład?

Medycyna najbogatszego państwa świata, czyli Stanów Zjednoczonych, poradziła sobie z infekcją własnego prezydenta, człowieka zaliczanego do grupy podwyższonego ryzyka, w ciągu kilku dni. Są więc skuteczni w blokowaniu rozwoju tej infekcji.

Jak w pana ocenie wypadają Polacy w sferze dyscypliny, realizowania zaleceń władz, poczucia odpowiedzialności?

Sprawa jest z pewnością skomplikowana. W kodzie kulturowym Polaków od dawna wpisane jest lekkie traktowanie przepisów prawa. Nie mamy mentalności Niemców czy anglosasów. Stąd problemy z niektórymi zaleceniami. Inna sprawa, że pewna część elity politycznej dawała zły przykład, pojawiając się, choćby w Sejmie, bez maseczek czy snując opowieści o światowym spisku. To ma swoje skutki. Gdy kilka razy zwróciłem uwagę młodym ludziom bez maseczek, że zagrażają mojemu życiu, to spotkałem się z reakcją zdziwienia. Dobrze, że obowiązek noszenia maseczki wpisano do ustawy. Może to sprawi, że sprawa zacznie być traktowana z większą powagą, także dzięki sankcjom.

Czy nie grożą nam wybuchy frustracji, agresji na większą skalę? Zmęczenie narasta. Zamknięcie szkół rozbija życie milionów ludzi, dezorganizuje pracę rodziców. Podminowanie bezpieczeństwa ekonomicznego u dużych grup społecznych też będzie miało swoje skutki. To zaczyna być pole minowe.

Obecnie przyrost zakażeń jest tak duży, że w mojej ocenie działa raczej paraliżująco na grupy, które w innych warunkach podjęłyby protesty. Nie mamy też dużego tąpnięcia ekonomicznego, rządowe tarcze stworzyły istotny bufor, ratując wiele miejsc pracy. Oczywiście są branże, które znalazły się w stanie zapaści, załamania, i trudno wyobrazić sobie, aby podniosły się w warunkach pandemii. A jeśli chodzi o szkoły, to młodzi ludzie mający 11, 12 czy więcej lat – a o nich mówimy – mogą funkcjonować samodzielnie. Ich pobyt w domu nie oznacza, że rodzice muszą rezygnować z pracy.

Jednak możemy mieć całe pokolenie uzależnione od internetu, od mediów społecznościowych. Konkretność szkoły jest czymś w obecnym świecie bardzo cennym.

I bez ograniczeń młodzi ludzie są już uzależnieni od internetu. Jednak to szkoła zapewnia socjalizację, uczy życia w społeczeństwie. Rzeczywiście, zniknęło życie z podwórek, różne grupy rówieśnicze są w zaniku, kontakty między młodymi ludźmi przeniosły się do internetu. Wiele lat przed pandemią. Ale teraz upada kultura akademicka, bo uczelnia bez studentów na zajęciach i na

eprasa.pl 17264ffba3

korytarzach staje się niemal martwa. Straty będą więc olbrzymie. Tym bardziej że to będą już w sumie niemal dwa lata edukacji przerywanej, bo przecież mieliśmy wcześniej długi strajk nauczycieli. No i jeszcze jedna sprawa: trzeba pilnie poprawić dostępność do internetu w zasadniczej większości polskich regionów. Są miejsca, w których obecnie z komputera może korzystać tylko jedna osoba w rodzinie, bo sieć jest zbyt słaba.

Mówi pan, że gospodarka jest w dobrej kondycji. Rzeczywiście, skutki pandemii dotknęły nas, na tle innych państw, relatywnie słabo. Ale przecież całe branże – turystyka, gastronomia, rozrywka, przewozy miejskie – znalazły się w dramatycznej sytuacji. Co jednak ciekawe, nie widać, poza rolnictwem, większych protestów. Może to świadczy o tym, że Polacy w ostatnich latach złapali trochę „tłuszczu" i nie mają poczucia, że masowo toną?

Chyba za wcześnie na taki wniosek. Na pewno nadchodzi czas, w którym potrzebna będzie duża racjonalność, np. wciąż czytamy, że w świecie sportu zawierane są kontrakty za ogromne pieniądze. Tak jakby piłka nożna kompletnie nie zauważyła, że zmieniły się warunki, że trzeba te ceny gwałtownie zbić, dokonując masowej przeceny wszystkiego, kosztów, płac i zysków. Tak jakby ten świat oczekiwał, że pandemia szybko zniknie i wszystko wróci do normy. A to jest po prostu niewykonalne. Nawet jeśli powstanie szczepionka, to przecież upłynie dużo czasu, zanim zaszczepimy miliardy ludzi. Pewne branże nie odrodzą się już w starej skali.

Wrócę jeszcze do spraw politycznych. Mówi pan, że nie widać, aby któraś z partii zyskiwała w czasie kryzysu. Jednak notowania Konfederacji, choćby w badaniu Social Changes, rosną. To już 12 proc., najwięcej w historii, więcej niż ma Lewica.

Pytanie, w których grupach zyskuje Konfederacja. Jeśli to wciąż są młodzi ludzie, to nie jest to w mojej ocenie zjawisko trwałe. Nie da się zbudować stabilnego poparcia w tym paśmie pokoleniowym, bo jest ono zmienne w swoich postawach. Bardzo wielu polityków w Polsce już się o tym przekonało w ostatnich dwóch dekadach. Pytanie też, czyim kosztem zyskuje Konfederacja. Wydaje się, że kosztem Koalicji Polskiej. Być może jest to też premia za postawy wątpiące w realność epidemii; ok. 1/4 Polaków jest w tej sprawie, tak wynika z badań, mocno sceptyczna, dopatrując się w tym manipulacji, intryg, spisków. Ta baza istnieje, ale do wyborów jeszcze trzy lata i tych wzrostów nie należy przeceniać.

> Nawet jeśli powstanie szczepionka, to przecież upłynie dużo czasu, zanim zaszczepimy miliardy ludzi. Pewne branże nie odrodzą się już w starej skali

Czy jednak negatywny odbiór piątki dla zwierząt w części środowisk wiejskich nie przyniesie trwałych zmian w politycznych postawach wsi? Czy PiS może odrobić straty związane nawet nie ze skutkami tych przepisów, lecz z przekonaniem, że partia rządząca sięgnęła po język i optykę, których się nie spodziewano?

Skutki tych przepisów dotykają jednak dużych grup. Tą ustawą próbuje się zaingerować w relacje między ludźmi a ich zwierzętami w gospodarstwach domowych. To dotyczy bardzo wielu ludzi. To po pierwsze. Po drugie, opinia publiczna, mieszkańcy wsi i miasteczek nie zostali przygotowani do tych zmian medialnie, to wszystko pojawiło się nagle. To rzeczywiście może mieć dość trwałe skutki. Kluczowe jest pytanie, jaką wersję ustawy ostatecznie przyjmie Sejm i co prezydent z nią zrobi. Czy zostanie poprawka senatora Marka Borowskiego, wprowadzająca obowiązek czipowania psów? Dlaczego rozdzielono ubój rytualny drobiu od uboju rytualnego bydła?

Kto może zyskać na tej sprawie?

No właśnie mało kto. PSL już dawno utraciło wiarygodność, głównie za sprawą bezrefleksyjnego trwania w koalicji z PO oraz wejścia w mocno lewicowy sojusz przed wyborami do Parlamentu Europejskiego. Jest też mało prawdopodobne, aby na kanwie tych protestów powstała druga Samoobrona. Nie ma takiej przestrzeni. Nawet jeśli taki byt się pojawi, to nie będzie trwały, będzie efemerydą. Powtarzam: do wyborów jeszcze trzy lata.

No właśnie, czy Zjednoczona Prawica przetrwa razem te trzy lata? Niedawny kryzys w koalicji pokazał, że konflikty są poważne i głębokie. Pojawiło się pytanie o trwałość tej konstrukcji właśnie w perspektywie wieloletniej.

Myślę, że Zjednoczona Prawica wyszła jednak na prostą. Nie przeceniałbym tych wszystkich nieporozumień. Poważne zagrożenie dla jedności pojawiłoby się wówczas, gdyby rząd zaczął ponosić istotne porażki, choćby w sferze walki z pandemią, w obszarze ochrony zdrowia. Ogólnie uważam, że po serii konfliktów liderzy Zjednoczonej Prawicy wyciągnęli właściwe wnioski.

Na ile realne są scenariusze dotyczące np. wymiany Solidarnej Polski na PSL?

To bardzo mało prawdopodobne. Główni liderzy PSL odrzucają porozumienie z PiS. Bardziej się boją zagrożeń wynikających ze współpracy z partią rządzącą niż ewentualnych zysków. W powiatach czy województwach jest może trochę inaczej, ale generalnie obraz jest jasny.

eprasa.pl 17264ffba3

Radośnie w Przepaść

Borys Budka walczy z Rafałem Trzaskowskim, Trzaskowski z Budką, a obaj biją się z Szymonem Hołownią. Stawką jest pozycja przed wyborami w roku 2023

STANISŁAW JANECKI

„Dlaczego o 13? Bo w PRL o tej porze otwierano sklepy monopolowe. A z tym ruchem jest tak, że można się tylko napić". To jeden z żartów na temat pory zainaugurowanego 17 października 2020 r. przez Rafała Trzaskowskiego Ruchu Wspólna Polska. Za późno, za słabo, za mało – to kolejne określenia. Najważniejsze, że inicjatywa prezydenta Warszawy bodaj z największą obojętnością spotkała się w Platformie Obywatelskiej. A nawet nie z obojętnością, ale wrogością. Bo to pomysł przenoszony o trzy miesiące, kiedy to wyparowały wszystkie jego zalety dla PO. I pomysł w istocie antypartyjny, czego Rafał Trzaskowski nie ukrywa, mówiąc, iż „partie polityczne nie wystarczą". Dlatego w Platformie skrót RWP jest rozszyfrowywany jako: Radośnie w Przepaść. O ile kandydatura Rafała Trzaskowskiego wzmocniła bowiem wyraźnie słabnącą PO, gdy w prezydenckim wyścigu reprezentowała ją Małgorzata Kidawa-Błońska, o tyle RWP powołany tak późno zastał już partię osłabioną i słabnącą. Dostrzega to nawet Borys Budka, dla którego 10 mln głosów oddanych na Trzaskowskiego miało być kapitałem założycielskim PO pod przywództwem nowego lidera.

Borys Budka ratował swoją słabą pozycję w Platformie, przyklejając się do Rafała Trzaskowskiego, ale gdy już w partii nic mu nie zagraża, z prezydentem Warszawy się skonfliktował. A właściwie to Trzaskowski z Budką, skoro RWP jest prywatną inicjatywą tego pierwszego. To zresztą tylko jeden poziom konfliktu. W tle jest bowiem próba odebrania PO jej największego atutu, czyli samorządowców. Trwa też nieuchronna wojna Rafała Trzaskowskiego z Szymonem Hołownią – kosztem PO. A to sprawi, że partia Budki będzie musiała walczyć z jednym i drugim. Wszystkie te inicjatywy zabierają bowiem tlen Platformie. A temu przygląda się odstawiony na boczny tor Grzegorz Schetyna, który nie może się nadziwić, jak można się zapędzić w kozi róg akurat w momencie, gdy wewnętrzny kryzys dotknął Zjednoczoną Prawicę, a osłabia ją jeszcze kryzys związany z pandemią.

BEZIDEOWY BLOK WSPIERANIA RAFAŁA

RWP (przypominam z punktu widzenia PO: Radośnie w Przepaść) jest dla wszystkich kłopotem. Nawet dla Rafała Trzaskowskiego, który wyraźnie chciał „sprywatyzować" swój elektorat z wyborów prezydenckich. Ruch miał pokazać, że Trzaskowski jest ponadpartyjnym liderem, mającym potencjał mobilizowania i łączenia przeciwników PiS, że odnosi sukcesy. Jeśli jednak ruch będzie klapą, a przeciwnicy nałożą to na jego porażkę w wyborach prezydenckich i brak sukcesów w Warszawie, Rafał Trzaskowski pozostanie z niczym.

Nieprzypadkowo jego RWP już jest porównywany do utworzonego w 1927 r. przez Walerego Sławka Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem (BBWR) oraz do zainaugurowanego w 1993 r. Bezpartyjnego Bloku Wspierania Reform (BBWR). Pierwszy miał być zapleczem Józefa Piłsudskiego, drugi – Lecha Wałęsy. Pierwszy odniósł sukces (po śmierci Piłsudskiego został jednak rozwiązany), drugi był klapą. Trzaskowski chce mieć swój BBWR (w tym przypadku skrót jest rozszyfrowywany jako: Bezideowy Blok Wspierania Rafała), gdyż nie ma nic innego, mimo że wciąż jest wiceprzewodniczącym PO.

To, co RWP głosi, idealnie pasuje do Bezideowego Bloku Wspierania Rafała. Oto RWP ma bowiem jednać „podzielonych jak nigdy wcześniej", choć ten podział powstał ponoć 30 lat temu. Skoro jednak „po 30 latach dotarliśmy do ściany", najwyższy „czas przestać oglądać się wstecz". Trzeba „patrzeć w przyszłość", „skończyć z myśleniem o tym, co nas dzieli", „skupić się na tym, co nas łączy i na rozwiązywaniu konkretnych problemów". Aby to zrobić, „musimy oprzeć się na prawdzie, demokracji i [...] wartościach podstawowych – a przede wszystkim na równości i tolerancji". Mowa jest o „dekalogu spraw, na które wszyscy patrzymy tak samo". RWP „chce normalnej Polski", „Polski, w której każdy ma takie same prawa i obowiązki", „Polski, w której władza działa z myślą zarówno o mieszkańcach wsi, jak i mieszkańcach małych i dużych miast", „Polski, w której prawda jest naczelną zasadą działania w życiu publicznym", „Polski, w której politycy skupiają się przede wszystkim na rozwiązywaniu problemów służby zdrowia, nierównościach w edukacji i jakości kształcenia, na walce o każde miejsce pracy i podejmowaniu wyzwań wynikających z katastrofy klimatycznej i innych rzeczywistych spraw Polek i Polaków", „Polski, w której silniejsi pomagają słabszym, pełnosprawni niepełnosprawnym, zdrowi chorym, urzędnicy obywatelom, a bogatsi tym, którzy potrzebują wsparcia". RWP „ma być przestrzenią

eprasa.pl 17264ffba3

dialogu i współpracy samorządowców, NGO, ekspertów, polityków, aktywistów, społeczników i wszystkich ludzi dobrej woli, którzy chcą działać". RWP ma „przeprowadzić wielką analizę priorytetowych potrzeb Polek i Polaków oraz dobrać odpowiednie argumenty i język". Chce „wypracować wizję Polski, w której wszyscy czujemy się dobrze i przygotować program, zawierający szczegółowe rozwiązania na dzień po wyborach".

Nie było chyba w dziejach Polski po 1989 r. bardziej infantylnego manifestu politycznego i jest to ocena pochodząca z wnętrza PO.

ROZBIORY PLATFORMY

Ruch Wspólna Polska oraz plany powołania związku zawodowego Nowa Solidarność dla samozatrudnionych zostały w PO kierowanej przez Borysa Budkę uznane za zagrożenie i działalność rozłamową. Jest to interpretowane tak, że Rafał Trzaskowski najwyraźniej uznał, że z Platformą nic więcej już nie osiągnie, tym bardziej że w 2023 r. nie będzie kandydatem tej partii na premiera, a w 2025 r. na prezydenta (w partii uznano, że nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki). Budka upewnił się, że Trzaskowski jest obecnie na tyle słaby, że jego inicjatywy służą tylko jemu (jako tratwy ratunkowe), a nie partii. Tę słabość potwierdza najnowszy sondaż zaufania do polityków (IBRiS dla Onetu), w którym Szymon Hołownia wyprzedził Rafała Trzaskowskiego (37,9 wobec 34,2 proc.).

Prezydent Warszawy zdecydował się na swój BBWR po tym, jak stwierdził, że nie ma żadnych szans na przywództwo w PO. Rafał Trzaskowski przestał być w swojej partii hołubiony, gdyż uznano, że przez swego pecha i słabe rządy w Warszawie szkodzi PO, a nie pomaga. I nie jest wobec partii lojalny, skoro chce jej zabrać największy atut, czyli samorządowców z wielkich miast. A to był dotychczas największy zasób partii, szczególnie gdy chodzi o dziesiątki tysięcy posad, którymi można było nagradzać swoich ludzi. Tym bardziej że uderza to w stan posiadania Platformy przed pierwszymi wyborami z kolejnego cyklu – samorządowymi w 2023 r. A PO bez bazy samorządowej staje się wydmuszką. Do tego dochodzi rywalizacja z Trzaskowskim o ekspertów i wpływowych zwolenników. A tych już częściowo zagospodarował Szymon Hołownia.

Inicjatywy Rafała Trzaskowskiego są obecnie w PO postrzegane jako konkurencja w kontekście wyborów w 2023 r. i mają być bojkotowane, bo BBWR prezydenta Warszawy wzmacniałby się kosztem partii. Wojna będzie również o niektóre struktury terenowe PO, ich kosztem ruch Trzaskowskiego ma bowiem okrzepnąć, wyciągając najbardziej aktywnych i młodszych działaczy oraz zwolenników. W kręgach decyzyjnych PO przewidują, że za chwilę Rafał Trzaskowski zostanie największym wrogiem wewnętrznym, którego trzeba będzie bezwzględnie zwalczać. I partia powinna zacząć to robić, gdy ma jeszcze więcej atutów niż Trzaskowski. W tych kręgach istnieje też świadomość, że im bardziej PO będzie Trzaskowskiego zbijać, tym bardziej będzie się on odgryzał, walcząc o życie, skoro partia przestanie go popierać. Na to nakłada się osaczanie PO przez ruch, partię i think tank Szymona Hołowni. Jedynym pocieszeniem jest to, że Hołownia nie ma żadnego interesu, żeby się z Trzaskowskim sprzymierzyć. Ale jednak oznacza istnienie dwóch w miarę silnych konkurencyjnych ośrodków, rywalizujących z PO nie tylko o ten sam elektorat, lecz także o media, młodych sympatyków, ekspertów, tzw. autorytety, a nawet celebrytów. A wszystko to w czasie, gdy panuje kryzys związany z pandemią i jedynym politycznym wrogiem powinien być obóz rządzący.

> Nie było chyba w dziejach Polski po 1989 r. bardziej infantylnego manifestu politycznego niż ten przedstawiony przez Ruch Wspólna Polska Rafała Trzaskowskiego. To opinia płynąca z wnętrza Platformy Obywatelskiej

W tej rozgrywce chodzi jednak o to, w jakiej formie i w jakim stanie PO oraz inicjatywy Trzaskowskiego i Hołowni znajdą się w roku wyborczym 2023. I Hołownia, i Trzaskowski liczą na wzmocnienie się kosztem PO, co oznacza, że partia Borysa Budki byłaby w jakimś sensie przed wyborami obiektem rozbiorów. Przeprowadzanych etapami, żeby opór był mniejszy. Analogia do rozbiorów I Rzeczypospolitej jest tu całkiem zasadna. Tym bardziej że Borys Budka chce na to zareagować swoją wersją reform w Platformie Obywatelskiej, mających te rozbiory uniemożliwić. Pytanie, czy zdąży.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl 17264ffba3

Matka Polka à rebours

Polacy powinni być jej wdzięczni za „walkę z antypolonizmem", jej męża docenić jako wybitnego dyplomatę, a na Donalda Tuska trzeba patrzeć jako na „historyczne zadośćuczynienie" za tragedie historii XX w. Anne Applebaum wydała książkę, która szokuje kolejnym poziomem pychy i oderwania od polskości. Już sam tytuł – „Matka Polka" – jest rażąco niestosowny

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Jeśli ktoś angloamerykańską pisarkę postrzega jako wybitną dziennikarkę – w końcu jest laureatką Nagrody Pulitzera za ważną książkę o sowieckich gułagach – jego prawo. Ale nic chyba nie usprawiedliwia prymitywnych wyzwisk wobec oponentów politycznych. Tymczasem Applebaum nazywa Donalda Trumpa w jednym miejscu „idiotą", w innym „debilem". To ma być język publicystyki światowej klasy? Książka została opublikowana w formie wywiadu rzeki, przeprowadzonego przez Pawła Potoroczyna, zresztą wtórującego rozmówczyni w obrażaniu ludzi o innych poglądach.

OSTRZAŁ INWEKTYWAMI

Tak oto zdobywczyni Pulitzera pisze o demokratycznie wybranych głowach państw: „Trump, który jest ewidentnie debilem, [...] mówi sloganami"; w innym miejscu sugeruje, że jego poglądy są takie, jak Ku Klux Klanu, prezydenta USA nazywa też tchórzem. Dla żony Radosława Sikorskiego „Duda bredzi o Unii Europejskiej", cały PiS to karierowicze, z wyjątkami, choć „ideologów, którzy naprawdę w to wszystko wierzą, prawie nie ma, a ci, którzy są, reprezentują dość niskie IQ". Applebaum nie wskazuje, kogo widzi jako ideologa Zjednoczonej Prawicy, natomiast paradoksalnie jej książka ukazała się równocześnie z dziesiątą edycją Kongresu Polska Wielki Projekt, na którym dziesiątki profesorów, szefowie think tanków i fundacji społecznych, a także eksperci zagraniczni, zarysowują kierunki strategii rozwoju Polski i ruchu konserwatywnego w naszym kraju. Na takie przedsięwzięcie polscy liberałowie nie zdobyli się nigdy, prawica zaś działa tu od dekady w zinstytucjonalizowanej formie.

Chodzi jednak nie tyle o krytykę, jaką dziennikarka wystosowuje wobec konserwatystów, ile o knajacki język, wyzwiska spotykane w tanich barach, gdy piwo podczas wieczornej rozmowy wejdzie za mocno do głowy.

MIĘDZY WNIKLIWOŚCIĄ A OBSESJĄ

Jest więc kontrast pomiędzy historycznymi dziełami żony Radosława Sikorskiego a jej komentarzami bieżącymi. Kontrast to mało powiedziane – wręcz przepaść. Przecież nad „Gułagiem" autorka pracowała dziesięć lat, korzystając z otwartych w czasach Borysa Jelcyna rosyjskich archiwów, a sama książka pomogła otworzyć oczy wielu zachodnim intelektualistom na sowieckie zbrodnie. Za książkę „Czerwony głód" Applebaum została wyróżniona m.in. ukraińskim Orderem Księżnej Olgi, bo pokazała światu rosyjskie ludobójstwo na Ukraińcach, „Za żelazną kurtyną" zaś to solidna monografia o mechanizmach zaprowadzania w Europie Wschodniej stalinowskiej władzy po II wojnie światowej.

To jest właśnie rys intelektualny Anne Applebaum – komentując komunizm czy dzieje Związku Sowieckiego, autorka pokazuje publicystyczne zacięcie, wnikliwość, troskę o prawdę. Gdy zaś przechodzi do politycznej bieżączki, w którą tak bardzo zaangażowany jest jej mąż, popada w chorobliwe skrajności.

TUSK POLSKIM MESJASZEM

Skoro było o antypatiach Anne Applebaum, to dodajmy słowo o jej politycznych sympatiach, choć uwielbienie i nieomal mesjanistyczny podziw dla

eprasa.pl 17264ffba3

Donalda Tuska przybiera w książce „Matka Polka" ramy albo groteskowe, albo dla Polaków obraźliwe.

„Mam wrażenie, że Polacy nie byli w stanie zauważyć i być wdzięcznymi za ten moment, kiedy Polska została naprawdę zaakceptowana na Zachodzie i traktowana jak równa wśród równych. To było wtedy, gdy Tusk został przewodniczącym Rady Europejskiej" – stwierdza Applebaum. To chyba najbardziej kuriozalna wypowiedź z całej książki, bo wywiad rzeka zawiera szersze refleksje historyczno-polityczne na temat Zachodu, Stanów Zjednoczonych i Polski i awans Tuska jest tu przedstawiony jako nagroda dla Polski za trudną historię XX w. „Mam wrażenie, że tylko nieliczni naprawdę głęboko zrozumieli historyczne, przełomowe znaczenie tego faktu". Gdy Applebaum widziała Tuska na politycznych szczytach świata, uznała, że „to było coś w rodzaju historycznego zadośćuczynienia". Doprecyzujmy kontekst – oto Polska po traumie II wojny światowej czy niewoli komunistycznej doczekała się wynagrodzenia, czyli wyboru Tuska na przewodniczącego Rady Europejskiej. Ostatnie tego typu porównanie w polskiej dyskusji o historii najnowszej padało wobec Jana Pawła II. „Matka Polka", jak mianuje się anglo-amerykańska autorka, o papieżu Polaku nie wspomina, wystarcza założyciel Platformy Obywatelskiej. Czy są gdzieś granice tego szaleństwa?

Wdzięczność Polacy powinni okazywać nie tylko wobec Tuska, lecz i wobec samej Applebaum. Państwa Sikorskich zabolała okładka tygodnika „Sieci". W czerwcu 2016 r. tematem numeru naszej gazety byli właśnie Anne i Radosław Sikorscy, którzy w zachodnich mediach kreowali skrajnie negatywny wizerunek Polski i świeżo wybranej władzy. Aleksandra Rybińska i Bronisław Wildstein obnażyli mechanizm szkalowania naszego kraju w środowisku liberalnej prasy, zwłaszcza w „Washington Post". W książce Applebaum odpowiada na to nazwaniem tygodnika „szmatławcem" i domaga się uznania swojej roli w... obronie Polski. „Byłam zaangażowanym rzecznikiem przeciwko antypolonizmowi [...] – zaczyna wywód dziennikarka, kontynuując z nutą groźby. – Może się myliłam? Może ten upiór [antysemityzmu – przyp. red.] nie został do końca zakopany, tylko polakierowany cienką warstwą europejskiego obycia? Może nie miałam racji, może fakt, że zrobili ze mnie anty-Polkę, antybohaterkę na okładkach ich obrzydliwych szmatławców, sprawia, że teraz musiałabym to jeszcze raz przemyśleć? Nie wiedzą, co dla nich zrobiłam? Teraz atakują, że jestem anty-Polish? Co oni wiedzą?".

Ten paternalizm u państwa Sikorskich jest uderzający – oni, oświeceni, mądrzy, postępowi i ta polska czerń głosująca na ludzi z „niskim IQ", nierozumiejąca błogosławieństw, jakie historia zsyła na Polskę w postaci Donalda Tuska czy Anne Applebaum

Ten paternalizm u państwa Sikorskich jest uderzający – oni, oświeceni, mądrzy, postępowi i ta polska czerń głosująca na ludzi z „niskim IQ", nierozumiejąca błogosławieństw, jakie historia zsyła na Polskę w postaci Donalda Tuska czy Anne Applebaum.

SPARTACZONA OPOWIEŚĆ

A przecież ta opowieść mogłaby być ciekawa i strawna – autorka powtarza drogę innych anglosaskich historyków, którzy w taki sam sposób zapoznawali się z Polską: Timothy Garton Ash czy Norman Davies także odwiedzili PRL, wyłuskali z szarości komunizmu niesforną i buntowniczą polskość, zarazili się naszą kulturą i zaczęli o niej pisać.

W „Matce Polce" Applebaum opowiada też o swoich żydowskich korzeniach: „[...] ta część rodziny, która przybyła z Francji, nazywała się Bonart, zanim osiedlili się w Alzacji, żyli w Krakowie [...]. Przypuszczam, że wyjechali z Polski po rozbiorach, czyli wyprowadzili się już z Austrii. [...] Są różne gałęzie rodziny ojca, ale ci moi Applebaumowie pochodzą z Kobrynia koło Brześcia, dzisiaj to jest Białoruś. Uciekli z carskiej Rosji pod koniec XIX wieku [...] Prawdopodobnie nie mówili ani po polsku, ani po rosyjsku, tylko w jidysz".

Dziennikarka przyznaje, że jako amerykańscy Żydzi jej dziadkowie nie mieli tożsamości europejskiej, nie utożsamiali się w żaden sposób ze Starym Kontynentem. I choć znamy antypolskie wystąpienia Applebaum, to jednak razi tutaj wulgarność i nachalność wypowiedzi, coś mało stosownego dla mistrza dziennikarskiego pióra.

NA OPAK

Jest też pewien zgrzyt kulturowy – bo jak tu tłumaczyć wybór tytułu książki „Matka Polka"? W naszej kulturze słynny Mickiewiczowski wiersz „Do Matki Polki" wyrażał romantyczną, nieco irracjonalną nawet, miłość do kraju, za który oddaje się życie i idzie na Sybir, gorliwy patriotyzm oznacza cierpienie, jeśli staje się przeciwko silniejszemu wrogowi. Tymczasem zarówno książka, jak i życiorys Anne Applebaum są dowodem na coś przeciwnego – na liberalne kunktatorstwo, poczucie wyższości, wreszcie nie wiem czy polskość, na którą ludzie Zachodu wielokrotnie się nawracali, ale na pewno obywatelstwo polskie otrzymane w 2013 r. Cudzoziemcy zazwyczaj darzyli nabywaną polskość szacunkiem, nie domagali się wdzięczności, nie wystawiali nowej ojczyźnie rachunku za bycie Polakiem. Pani Applebaum wyszło więc z tytułem książki na opak, jak zresztą z całą treścią wywiadu, który bardziej pasowałby do kolonizatora patrzącego na nasz kraj jak na dzikie safari niż patrioty z Mickiewiczowskich strof.

eprasa.pl 17264ffba3

Lawendowa mafia

Lobby gejowskie wśród duchowieństwa staje się coraz większym zagrożeniem dla misji Kościoła. Czy obudzimy się w pustych świątyniach jak w Irlandii?

GRZEGORZ GÓRNY

Symbolicznego znaczenia nabiera fakt, że premiera książki ks. Dariusza Oki pt. „Lawendowa mafia" zbiegła się w czasie z dymisją jednego z bohaterów tej publikacji – bp. Edwarda Janiaka. Autor zalicza byłego ordynariusza kaliskiego do homoseksualnego lobby, które uważa za jedno z głównych źródeł zgnilizny moralnej w Kościele.

SPRAWA BISKUPA JANIAKA

Nie ma wątpliwości, że rezygnacja hierarchy nie była dobrowolna, lecz została na nim wymuszona, tym bardziej że towarzyszyły jej inne decyzje Stolicy Apostolskiej, np. podtrzymanie zakazu przebywania biskupa na terenie swej niedawnej diecezji. To, że dymisja nastąpiła przed zakończeniem watykańskiego postępowania w sprawie tuszowania afer pedofilskich, świadczy o tym, iż zarzuty wobec bp. Janiaka musiano uznać za niezwykle poważne. Znacznie poważniejsze wydaje się jednak postanowienie o zamknięciu kaliskiego seminarium duchownego oraz przeniesieniu jego alumnów (zarówno obecnych, jak i przyjętych w przyszłości) do Poznania. Decyzja podjęta została po wizytacji apostolskiej we wspomnianej placówce.

Przypomnijmy, że w lutym 2018 r. ówczesny rektor kaliskiego seminarium duchownego ks. Piotr Górski złożył w nuncjaturze w Warszawie skargę na bp. Janiaka, zarzucając mu tolerowanie aktywnego homoseksualizmu oraz wykorzystywania seksualnego osób małoletnich wśród podległych mu księży. Biskup miał nalegać m.in. na dopuszczenie do święceń kleryka (Krzysztofa S.), który był właścicielem całej kolekcji pedofilskich zdjęć i filmów pornograficznych. Rektor stanowczo się sprzeciwił: uznał, że nie może wziąć takiej decyzji na swoje sumienie. Udało mu się postawić na swoim, co ocaliło diecezję od kolejnego skandalu, ponieważ wkrótce potem wspomnianym klerykiem zainteresowała się policja. We wrześniu 2018 r. skonfliktowany z biskupem ks. Górski został zmuszony do odejścia z seminarium.

Sprawa nabrała przyspieszenia w maju 2020 r. po emisji filmu braci Sekielskich pt. „Zabawa w chowanego". Jednym z głównych bohaterów tego obrazu był właśnie bp Edward Janiak, któremu zarzucono, iż nie zgłosił do Watykanu przypadku molestowania seksualnego nieletnich przez podległego mu księdza (Arkadiusza H.), mimo że zobowiązywało go do tego prawo kościelne wprowadzone w 2001 r. przez Jana Pawła II.

To spowodowało, że po emisji filmu prymas Wojciech Polak, jako delegat Konferencji Episkopatu Polski ds. ochrony dzieci i młodzieży, zgłosił sprawę bp. Janiaka do Watykanu. Uzasadnił to później następująco: „Zgodnie z motu proprio papieża Franciszka »Vos estis lux mundi«, po otrzymaniu wiarygodnej informacji o »działaniach

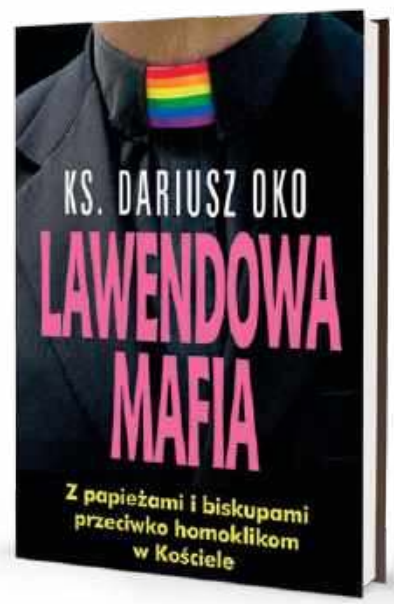

lub zaniechaniach mających na celu zakłócenie lub uniknięcie dochodzeń cywilnych lub kanonicznych« dotyczących wykorzystania seksualnego osoby małoletniej przez duchownego, każdy ksiądz jest zobowiązany do poinformowania o sprawie władzę kościelną". Watykan zareagował szybko: Kongregacja ds. Biskupów zleciła abp. Stanisławowi Gądeckiemu przeprowadzenie wstępnego dochodzenia.

Bp Janiak odpowiedział listem do pozostałych biskupów polskich, w którym nazwał abp. Wojciecha Polaka „sprawcą ogromnego zamieszania", jego działanie zaś określił jako „uderzenie w wizerunek Kościoła". Stwierdził też, że podczas posiedzenia episkopatu prymas został wybrany na delegata ds. ochrony dzieci i młodzieży w sposób bezprawny, a Fundację św. Józefa (mającą wspierać ofiary pedofilii przez duchownych) powołano bez aprobaty większości biskupów. W odpowiedzi sekretarz episkopatu bp Artur Miziński wydał oświadczenie, w którym stanowczo odrzucił zarzuty bp. Janiaka, pisząc, że zarówno wybór abp. Polaka, jak i powstanie Fundacji dokonały się głosami większości hierarchów.

Fot. MAREK BARCZYŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 17264ffba3

Komentując w wywiadzie radiowym skandal w diecezji kaliskiej, bp Mirosław Milewski z Płocka powiedział: „Mówię to z pełną świadomością i z bólem serca, że to, co tam się działo, to jest przykład tak klasyczny działania »lawendowej mafii« w Kościele [...]. Homoseksualiści kryją homoseksualistów, tuszują afery i udają, że nic się nie dzieje. Żyją w innym świecie i nie jest to świat Kościoła [...] My – biskupi – musimy zrobić jak najwięcej, żeby to po prostu zmienić. I koniec, kropka, bo inaczej obudzimy się w pewną niedzielę, pójdziemy do kościoła i będą puste ławki jak w Irlandii".

HOMOSEKSUALNE KLIKI

Bp Mirosław Milewski jako pierwszy hierarcha w Polsce publicznie użył słów „lawendowa mafia" na określenie zjawiska występującego także w naszym kraju. Jest to pojęcie, które pierwszy wprowadził do obiegu publicznego w 1989 r. amerykański duchowny i socjolog Andrew Greeley, opisując środowiska aktywnych homoseksualistów wśród księży w USA, tworzących niejawne grupy wpływu i nacisku. W następnych latach problem został bogato udokumentowany i doczekał się w Stanach Zjednoczonych pokaźnej literatury przedmiotu, by wspomnieć tylko prace Paula Camerona, Thomasa Crangle'a, Richarda Sipe'a czy Jamesa G. Wolfa.

W Polsce ukazał się w tym roku przekład bestsellerowej książki katolickiego dziennikarza Michaela Rose'a z 2002 r. pt. „Żegnajcie, dobrzy ludzie. Jak ateiści i homoseksualiści opanowali amerykańskie seminaria". Autor przeprowadził 150 pogłębionych wywiadów z byłymi klerykami, z których część została wyświęcona na księży, część zaś porzuciła seminarium. Z ich opowieści wyłania się przerażający obraz czegoś w rodzaju wrogiego przejęcia tych katolickich uczelni przez osoby sprzeciwiające się nauczaniu Kościoła oraz prowadzące niemoralny tryb życia.

Powyższą diagnozę potwierdził w dużej mierze Benedykt XVI w swym głośnym „Liście o przyczynach kryzysu Kościoła" z 2019 r. Pisał w nim m.in. o przeniknięciu postulatów rewolucji seksualnej do wnętrza Kościoła, przedstawiając proces mentalnej i obyczajowej kolonizacji duchowieństwa. W kontekście skandali pedofilskich wspomniał o lobby gejowskim, stwierdzając, że w wielu seminariach powstały homoseksualne kliki, które – działając mniej lub bardziej otwarcie – znacząco zmieniły klimat w tych placówkach. Wizytacje apostolskie, które tam przeprowadzono, nie przynosiły rezultatów, ponieważ – jak pisze Benedykt XVI – „różne siły połączyły się, by ukryć prawdziwą sytuację".

Problem jest o tyle poważny, że – jak wykazały oficjalne raporty kościelne lub państwowe w Stanach Zjednoczonych, Australii, Niemczech czy Belgii – sprawcami przytłaczającej większości przypadków pedofilii wśród duchownych (od 62 do 90 proc.) są homoseksualiści. Biorąc pod uwagę, że stanowią oni zaledwie 1–2 proc. w skali społecznej, oznacza to olbrzymią nadreprezentację mężczyzn o tych preferencjach wśród sprawców wykorzystywania dzieci.

Premiera książki ks. Dariusza Oki pt. „Lawendowa mafia" zbiegła się w czasie z dymisją jednego z bohaterów tej publikacji – bp. Edwarda Janiaka (na zdj.)

eprasa.pl 172264ffbac

W 2005 r. Benedykt XVI wydał instrukcję, w której zakazywał przyjmowania do seminariów i wyświęcania na księży „osób, które praktykują homoseksualizm, wykazują głęboko zakorzenione tendencje homoseksualne lub wspierają tzw. kulturę gejowską". Kilka lat później w książce „Światłość świata" stwierdził: „Homoseksualizm jest nie do pogodzenia z powołaniem kapłańskim. Wtedy bowiem także celibat traci sens jako wyrzeczenie. Byłoby wielkim niebezpieczeństwem, gdyby celibat stawał się powodem wchodzenia w stan kapłański ludzi, którzy i tak nie chcą się ożenić, gdyż w końcu ich stosunek do mężczyzny i kobiety jest zniekształcony, zakłócony, a w każdym razie nie odnajdują się w tym kierunku stworzenia, o którym wcześniej mówiliśmy. Kongregacja do spraw Wychowania Katolickiego przed kilkoma laty wydała postanowienie, że homoseksualni kandydaci nie mogą zostać księżmi, bo ich orientacja płciowa dystansuje ich od prawdziwego ojcostwa, czyli także od istoty bycia kapłanem. Dobór kandydatów na księży musi być dlatego bardzo staranny. Musi panować tu najwyższa uwaga, aby nie doszło do pomyłki i w końcu bezżenność kapłanów nie była utożsamiana z tendencjami do homoseksualizmu".

Mimo tak jednoznacznego stanowiska Stolicy Apostolskiej, wielu biskupów na świecie sabotuje prawo kościelne w tym względzie. Najczęściej wynika to z faktu, że sami należą do „lawendowej mafii" i popierają osoby ze swojego kręgu. O tym właśnie m.in. pisze w swej książce ks. Dariusz Oko.

PERWERSYJNA STRUKTURA ZŁA

Jest to praca pionierska na polskim rynku wydawniczym, ponieważ żaden autor w naszym kraju nie opublikował do tej pory książki na ten temat. Została ona opatrzona aż trzema wstępami, które napisali ks. Marek Dziewiecki, ks. Robert Skrzypczak i Paweł Lisicki. Skalę opisywanego problemu oddają zwłaszcza słowa ks. Dziewieckiego, cenionego rekolekcjonisty i duszpasterza rodzin: „Przez ostatnich kilkadziesiąt lat dokonał się diaboliczny marsz gejowskiej mafii przez instytucje Kościoła. To marsz podobny do genderowego marszu neomarksistów przez instytucje państwowe i społeczne: przez uniwersytety, samorządy, media, teatry, kina i wszystko to, co wiąże się ze współczesną (anty)kulturą. Zdominowanie przez »lawendową« mafię księży homoseksualistów wielu instytucji i diecezji to czarna i wyjątkowo haniebna karta współczesnego Kościoła. Homoseksualne mafie i kliki, funkcjonujące w Kościele, to coś znacznie gorszego i groźniejszego niż istnienie pojedynczych kapłanów-gejów, którzy żyją rozwiązle i którzy w tę swoją gejowską rozwiązłość brutalnie wciągają kolejne ofiary – kleryków, księży i świeckich. To perwersyjna struktura zła, zorganizowana w sposób przemyślany i niemal perfekcyjny w swej przewrotności. To struktura zła, dysponująca ogromną władzą, wielkimi pieniędzmi, potężnymi wpływami w środowiskach duchownych i świeckich. To układ, który sam się odtwarza i multiplikuje poprzez wciąganie kolejnych osób w swoje macki. To układ, który dąży do ciągłego poszerzania swojej władzy i terenów swojego panowania. To ludzie bezwzględnie solidarni w złu, którzy gotowi są na każde kłamstwo, na każdą podłość, na każdą formę szantażu, byle tylko zastraszyć, pognębić, uciszyć każdego, kto ośmieli się ich demaskować czy im się sprzeciwiać".

> Praktyka pokazuje, że homoseksualiści w sutannach to najczęściej ludzie prowadzący podwójne życie, czyli żyjący w ciągłym zakłamaniu, a często także w nieczystości, a więc w stanie permanentnego grzechu

Praktyka pokazuje, że homoseksualiści w sutannach to najczęściej ludzie prowadzący podwójne życie, czyli żyjący w ciągłym zakłamaniu, a często także w nieczystości, a więc w stanie permanentnego grzechu. Jak uczą mistrzowie życia duchowego, ktoś taki nie jest w stanie rozeznawać woli Bożej ani być przewodnikiem życiowym dla innych. Może być za to dla drugich antyświadectwem i zgorszeniem.

W ten sposób złamano wiele powołań kapłańskich mężczyzn, którzy odeszli z seminariów, bo nie byli w stanie wytrzymać nacisku ze strony homoseksualnych przełożonych. Wielu młodych chłopców zerwało też z Kościołem, ponieważ byli molestowani przez księży. Problem dotyczy więc spraw ostatecznych, czyli życia wiecznego. Oto ci, którzy powołani są, by prowadzić innych do zbawienia, mogą bowiem sami stać się przyczyną zatracenia. Wspieranie bądź tolerowanie tego zjawiska to nie tylko zaprzeczanie misji Kościoła, to jej odwracanie w drugą stronę.

Problem dotyczy także Polski, o czym wspomina ks. Marek Dziewiecki: „Nadal regularnie prowadzę rekolekcje w seminariach duchownych w Polsce. W ostatnich latach wyjątkami są takie seminaria, w których bym się nie zetknął z problemem homoseksualizmu. Nie tylko dostrzegam coraz więcej takich przypadków, lecz także zauważam, że w niektórych seminariach istnieją już kliki homoseksualnych duchownych, obejmujące niektórych wykładowców, innych księży, a także kleryków. Zdarza się, że w takich seminariach wręcz zastraszani i prześladowani są ci alumni, którzy nie dają się uwieść i wciągnąć w rozwiązłość, czy też demaskują istnienie homoseksualnych mafii w danym seminarium. Są takie seminaria, w których, według wszelkich przesłanek, kliki czy mafie homoseksualne sięgają przełożonych seminaryjnych i biskupów. W niektórych z tych seminariów uczciwi rektorzy podali się do dymisji".

Ks. Robert Skrzypczak swój wstęp do książki ks. Dariusza Oki zatytułował „Spojrzeć bestii w oczy". Czas spoglądania chyba się już jednak skończył. Może pora, by stawić bestii czoło.

eprasa.pl 17264ffba3

Kiedyś kochaliśmy Czeczenów

Gdyby wszystko potoczyło się zgodnie z planem, rodzina 18-letniego Czeczena, który obciął głowę nauczycielowi z podparyskiego liceum, mogłaby mieszkać w Polsce. Czy oznacza to, że i u nas mogłoby dojść do podobnie makabrycznego zamachu? Eksperci zastanawiają się nad prawdopodobieństwem takiego scenariusza

MAJA NARBUTT

Najprostsza odpowiedź brzmi: taka historia nie mogłaby się wydarzyć, bo inaczej rozumiemy wolność słowa i nauczyciel raczej nie pokazywałby na lekcji karykatur Mahometa. Ale to odpowiedź za prosta.

– Nie musiałoby być żadnego nauczyciela, który pokazuje karykatury Mahometa. Młody Czeczen obejrzałby na przykład film dokumentalny o więzieniach CIA w Polsce. Poczułby gniew. Właśnie ten olbrzymi gniew, który czują sprawcy zamachów terrorystycznych – mówi mi specjalizująca się w problematyce terroryzmu prof. dr hab. Aleksandra Gasztold z Wydziału Nauk Politycznych i Studiów Międzynarodowych UW.

Jak podkreśla, zradykalizowani islamiści nie zawsze są gotowi na szerzenie terroru. Większość pozostaje na etapie głoszenia radykalnych poglądów i realizuje swą misję głównie w internecie. Służby specjalne wszystkich krajów dałyby dużo, by wiedzieć, kto przejdzie od słów do czynów. To jednak trudne. Terroryści nie tylko są szczególnie sfrustrowani, lecz mają też pewne specyficzne cechy osobowości, predyspozycje, które mogą umknąć obserwatorom.

18-letni Abdullah Nawzorow takie predyspozycje miał i je zrealizował. Był jak tykająca bomba, która w końcu wybuchła. I mogłaby wybuchnąć także w innych warunkach i otoczeniu.

Jednak nie wszyscy eksperci, z którymi rozmawiam, uważają, że gdyby rodzina Abdullaha, która starała się w 2005 r. o azyl w Polsce, rzeczywiście go dostała, to dzisiaj Polacy, a nie Francuzi, przeżywaliby traumę związaną z zamachem terrorystycznym.

– Moja teza jest taka: w Polsce Nawzorow nie przeprowadziłby zamachu. Przede wszystkim dlatego, że jego rodzina szybko by z Polski wyjechała, podobnie jak wielu Czeczenów, którzy dostali azyl lub tzw. ochronę międzynarodową i ruszyli dalej na Zachód. Z całą pewnością ta rodzina, najwyraźniej

Fot. Anne-Christine POUJOULAT/AFP/East News

eprasa.pl 17264ffba3

zradykalizowana, lepiej czułaby się tam, w środowiskach salafickich, czyli muzułmańskich radykałów. A jeśli jakimś cudem zostaliby u nas, to 18-latek uprawiałby teraz MMA i w ten sposób realizowałby czeczeński ideał wojownika – twierdzi prof. dr hab. Daniel Boćkowski z uniwersytetu w Białymstoku, który prowadził badania na temat społeczności czeczeńskiej w Polsce.

To jednak tylko hipoteza, jedna z wielu. Rozważania, czy 18-letni Czeczen, który obciął nożem głowę nauczycielowi Samuelowi Paty'emu z liceum w podparyskim Conflans-Sainte-Honorine, dokonałby aktu terroru w Polsce, przypominają wróżenie z fusów. Zbyt wiele jest niewiadomych. A jednak ta historia jest przestrogą i lekcją, którą powinniśmy odrobić.

– Na Zachodzie mleko się już rozlało, u nas na szczęście jeszcze nie. Wielkie skupiska muzułmanów, całe dzielnice zachodnich miast całkowicie przez nich zdominowane, sprzyjają radykalizacji. Jeśli dodamy do tego radykalnych imamów pochwalających dżihad, to obraz jest kompletny. U nas nie ma takich dużych społeczności i oczywiście nikt nie nawołuje do wyrzynania niewiernych, ale zdarzało się, na przykład w warszawskim meczecie na Wiertniczej, że imamowie z Bliskiego Wschodu zapraszali na pogawędki osoby, które uznali za podatne na indoktrynację – mówi mi socjolog prof. dr hab. Ryszard Machnikowski z uniwersytetu w Łodzi, członek francuskiego zespołu badawczego zajmującego się problemem zagrożeń terrorystycznych.

Kiedy patrzy się na ciąg zdarzeń, które doprowadziły do zbrodni popełnionej przez nastoletniego Czeczena, wyraźnie widać, jak bardzo inspirowało go otoczenie. Wsparcie w działalności terrorystycznej otrzymywał najwyraźniej od rodziny – w kręgu zainteresowań francuskiej policji znaleźli się teraz rodzice, dziadkowie i brat zabójcy. Bezpośrednią inspiracją do bestialskiego zabójstwa była kampania prowadzona w mediach społecznościowych przez ojca jednej z uczennic, który zachęcał do „ukarania" nauczyciela, wspierana też przez znanego francuskim służbom islamistę związanego z palestyńskim ugrupowaniem Hamas. Można się zastanawiać, czy bez tego wsparcia lub – jak uważają niektórzy – wręcz programowania do zabójstwa przez otoczenie 18-latek dokonałby tej zbrodni. Ale zależność między masowym napływem islamskich uchodźców i imigrantów a aktami terroru jest oczywista.

– Emocjonalne wywody i akty strzeliste publicystów, którzy się oburzają, że Polska uszczelnia granice i niechętnie wpuszcza przybyszów z Czeczenii oraz nie bardzo chce przyznawać im azyl czy prawo pobytu, to w dużej mierze zaklinanie rzeczywistości. Znaczna część Polaków, niezależnie od tego, na jaką partię głosuje, wykazuje się dalece posuniętą wstrzemięźliwością, gdy chodzi o akceptację masowej imigracji z krajów muzułmańskich – mówi prof. Ryszard Machnikowski.

Może budzić to zastrzeżenia natury humanitarnej, ale to skuteczna forma prewencji. Powyżej pewnej liczby krytycznej islamskich uchodźców i imigrantów nie da się po prostu kontrolować.

– ABW musi się koncentrować na walce ze szpiegostwem i wojną hybrydową ze strony Rosji. Powinna się zajmować ochroną infrastruktury krytycznej, czyli tego, co ma podstawowe znaczenie dla funkcjonowania społeczeństwa. Powiedzmy szczerze: jeśli liczba funkcjonariuszy ABW jest taka sama jak pracowników IPN, to dla 38-milionowego kraju oznacza, że trzeba wybierać, co najbardziej musimy monitorować. Na szczęście zagrożenie terroryzmem islamskim jest w naszym kraju dość niskie – mówi prof. Aleksandra Gasztold, która jest doradcą społecznym Rządowego Centrum Bezpieczeństwa.

OD ŚCIANY DO ŚCIANY

Zdążyliśmy już zapomnieć, jak witano Czeczenów przyjeżdżających do Polski w latach 90. ubiegłego wieku. Dzisiaj wręcz trudno to sobie wyobrazić. Powstawały społeczne komitety zajmujące się opieką nad uchodźcami, uważano, że powinniśmy szeroko otworzyć dla nich granice.

– Polacy traktowali Czeczenów z ogromną sympatią, uważając, że zryw niepodległościowy wymierzony w Rosję zasługuje na wsparcie. Co ciekawe, właśnie z powodu Czeczenów społeczeństwo polskie w ogóle pozytywnie patrzyło na zjawisko imigracji do naszego kraju. Prześledziłem sondaże Centrum Badania Opinii Społecznych (CBOS) i wynika z nich, że akceptacja imigrantów była w Polsce znacznie większa niż w innych krajach europejskich – opowiada prof. Boćkowski.

Teraz jednak zmieniło się to o 180 stopni. Czeczeni w Polsce spadli do kategorii określanej przez socjologów jako „społeczność podejrzana".

– Zmieniało się to dość gwałtownie. Pierwszy moment, w którym na Czeczenów spojrzano u nas inaczej, to był oczywiście zamach na World Trade Center. To po nim zobaczono w nich część muzułmańskiej wspólnoty, stanowiącej terrorystyczne zagrożenie. Sprawę ostatecznie przypieczętowały zamach Czeczenów na cywilów w moskiewskim teatrze na Dubrowce, a przede wszystkim terrorystyczny atak na szkołę w Biesłanie – mówi prof. Boćkowski.

Świadomość, że zginęło tam sto kilkadziesięcioro dzieci, które odświętnie ubrane przyszły do szkoły na rozpoczęcie roku szkolnego, była takim szokiem dla opinii publicznej, że drastycznie odbiła się na stosunku Polaków do czeczeńskich uchodźców. Nie było już odwrotu: wszystkie sondaże pokazują, że to był ostateczny koniec powszechnej kiedyś akceptacji przyjmowania Czeczenów do Polski.

– Miotaliśmy się od ściany do ściany. Najpierw był szczeniacki zachwyt nad tym, że Czeczeni tak wspaniale walczą z Rosjanami. A potem, tak jak Amerykanie, którzy zachwycali się mudżahedinami, by potem ze zgrozą odkryć, że mają do czynienia z talibami, zrozumieliśmy, że bojownik może być terrorystą – mówił mi kiedyś jeden z najwybitniejszych znawców Kaukazu.

Kiedy prawie 10 lat temu ABW razem z psychologami z Polskiej Akademii Nauk przeprowadzała badania mające wskazać, które grupy muzułmanów przebywających na terenie Polski mogą stanowić zagrożenie dla bezpieczeństwa, wyniki dawały do myślenia.

eprasa.pl 17264ffba3

– Polscy Tatarzy mieli skłonność do przemocy na poziomie zerowym, niewiele większą muzułmańscy studenci przebywający na programie Erasmus. Ale Czeczeni, którzy znajdowali się w ośrodku dla uchodźców, uważali, że akty przemocy są usprawiedliwione, jeśli chodzi na przykład o obronę tożsamości czy ważnych dla nich wartości – relacjonuje prof. Aleksandra Gasztold.

Być może wynika to z ich historii, a może zapisane jest w genach i tradycyjnym systemie wartości. To jednak fakt, z którym należy się liczyć. Podobnie jak z tym, że Czeczenów obowiązuje przede wszystkim solidarność wobec własnego klanu i nie ma większego znaczenia, czy członek wspólnoty jest dżihadystą, czy nie. Udzielenie pomocy członkowi klanu – nawet jeśli popełnił akt terroru czy dopuścił się pospolitego przestępstwa i się ukrywa – jest obowiązkiem, od którego nie można się uchylić.

PRZYSTANEK W DRODZE

– Można tylko powiedzieć, że mieliśmy duże szczęście, że rodzina tego 18-latka nie dostała azylu w Polsce. Mój stosunek do imigracji z Czeczenii jest zresztą teraz inny niż kiedyś, zdecydowanie negatywny – mówi Adam Borowski, przewodniczący Komitetu Polska–Czeczenia.

W jego ustach to mocne słowa. Bo to właśnie Borowski, dawny działacz opozycji antykomunistycznej w Polsce, przez lata najbardziej angażował się w pomoc Czeczenom uciekającym przed wojną. Kiedy pytam, ilu z nich ułatwił wjazd do Polski, odpowiada, że co najmniej 200. Często była to skomplikowana logistycznie operacja, wyciąganie rannych bojowników ukrywających się na Kaukazie, organizowanie przerzutu i pilotowanie ich na terenie Polski. – To byli jednak inni ludzie niż ci, którzy chcą przyjechać teraz. Obecnie w najlepszym wypadku jest to imigracja ekonomiczna. W najgorszym zaś prowokatorzy Kadyrowa czy pospolity element kryminalny – uważa Borowski.

Przyzwyczaił się już, że niektórzy ciskają na niego gromy, uważając, że zdradził sprawę czeczeńską. Nawet nie są to sami Czeczeni, ale przedstawiciele organizacji humanitarnych, którzy uważają, że powinien protestować przeciw zamykaniu polskiej granicy przed Czeczenami.

Polska rzeczywiście przestała już być dla Czeczenów pierwszym krajem, do którego przyjeżdżają. Uważa się, że przez nasze terytorium przewinęło się nawet 90 tys. Czeczenów. Dla większości był to jednak tylko przystanek w drodze na Zachód. Pojechali dalej w poszukiwaniu lepszych warunków życia i zasiłków. W Polsce jest ich najwyżej 3 tys., mieszkają zazwyczaj na Podlasiu i w okolicach Warszawy.

Abdullah Nawzorow był jak tykająca bomba, która w końcu eksplodowała. Czy mogła wybuchnąć także w innych warunkach i otoczeniu?

Fot. Twitter

Jak wynika z informacji mediów francuskich, rodzina Abdullaha Nawzorowa przyjechała do Polski w sierpniu 2005 r. Polskie władze nie uwierzyły w opowieści ojca rodziny, że był prześladowany za pomoc czeczeńskim partyzantom i przez kilka dni więziony i torturowany przez zamaskowanych mężczyzn w wojskowych mundurach.

Choć jest to dziwne, nie udało mi się potwierdzić tej historii w Urzędzie ds. Cudzoziemców, bo – jak oświadczył rzecznik – indywidualne przypadki uchodźców są okryte tajemnicą.

Chronienie prywatności, zwłaszcza w Polsce, to zapewne w tej chwili najmniejszy problem rodziny zabójcy. W każdym razie po odmowie azylu w Polsce czeczeńska rodzina wyjechała do Rosji, a po dwóch latach spróbowała szczęścia we Francji.

I teraz możemy się tylko zastanawiać, co by było, gdyby jednak zostali w Polsce.

HIDŻABY I BRÓDKI

– Przypadki wrastania Czeczenów w społeczeństwo polskie są rzadkie. Dotyczą głównie kobiet, które przyjechały do nas z dziećmi. Czasem wręcz zerwały więzi z innymi Czeczenami, uważając, że nic dobrego nie wynikłoby z tych kontaktów dla ich synów – opowiada Adam Borowski.

Sposób na życie społeczności czeczeńskiej w Polsce jest dość prosty: rodziny zazwyczaj są wielodzietne, kobiety zajmują się dziećmi, mężczyźni starają się utrzymać dom. Wielu z nich jest ochroniarzami, to częsty wybór ich drogi życiowej.

Chyba jest tak zresztą nie tylko w Polsce, bo 18-letni zabójca francuskiego nauczyciela także zamierzał zostać ochroniarzem. Jest jeszcze jedna zbieżność z modelem życia polskich Czeczenów – co prawda nie uprawiał jak oni MMA, ale trenował boks.

Jeszcze do niedawna życie czeczeńskiej diaspory w Polsce regulowały tzw. adaty, czyli tamtejsze prawo zwyczajowe. Teraz widać jednak coraz większe wpływy islamu – opowiadali mi o tym członkowie organizacji pozarządowych, zajmujący się pomocą Czeczenom. Młode kobiety coraz częściej zakładają hidżaby, a mężczyźni zapuszczają salafickie bródki i biorą drugie żony. To coraz bardziej zamknięty i hermetyczny świat.

– Coraz więcej jest patologii. Nie da się ukryć, że sporo Czeczenów dostaje oferty od świata przestępczego i je przyjmuje. A młode pokolenie niebezpiecznie fascynuje się dżihadem. Niektórzy, wbrew rodzicom, wyjechali na wojnę w Syrii. Wcale nie kieruje nimi religijny fanatyzm. Widzą w tym karierę życiową najemnika, męską przygodę, adrenalinę i spore pieniądze – mówi jeden z moich rozmówców.

eprasa.pl 17264ffba3

Miękki totalitaryzm groźniejszy niż gułag

Rod Dreher, amerykański chrześcijański publicysta, autor „Opcji Benedykta", bestsellera „NYT", swoją nową książkę „Live not by lies" poświęcił organizacjom ruchu oporu walczącym z komunistycznym reżimem we wschodniej Europie. Ale nie tylko

z ***Rodem Dreherem***
rozmawia Goran Andrijanić

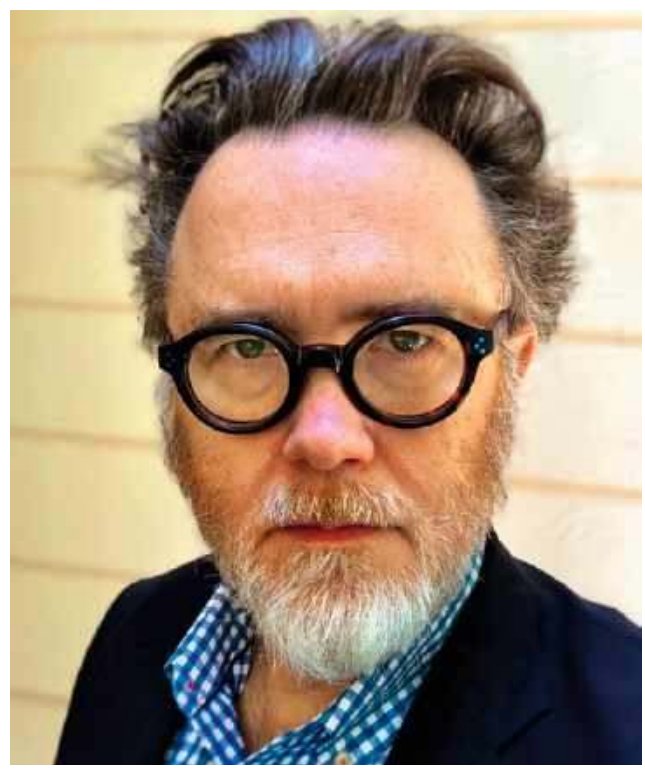

Fot. Archiwum prywatne

Jedną z głównych tez pana książki jest istnienie podobieństwa między walką, którą kiedyś prowadziła opozycja w krajach Europy Środkowej, z walką intelektualną, która toczy się obecnie w czasach systemu, jak go pan nazywa, „miękkiego totalitaryzmu". Co to za podobieństwa?

Rod Dreher: Ryszard Legutko wiele wyjaśnił w książce „Triumf człowieka pospolitego", która była dla mnie inspiracją. Pokazał, że zarówno komunizm, jak i liberalna demokracja są ideologiami materialistycznymi, w części napędzanymi przez pewną ideę utopii – raju, w którym samostanowiona jednostka, która nie jest już zdeformowana przez siły społeczne, żyje w doskonałej harmonii ze sobą i innymi. Obie ideologie kierują się egalitaryzmem i wierzą, że państwo nie powinno wahać się zostać despotą, aby zapewnić swoich mieszkańców, iż równość jest najwyższą wartością społeczną.

Ogromna różnica między nimi polega na tym, że nowy liberalny totalitaryzm nie jest narzucany nam przez sowieckie czołgi, ale swobodnie akceptowany przez ludzi. Tak, można spierać się o to, czy ci ludzie naprawdę mają wybór, ale nie możemy zaprzeczyć – przykro mi to mówić – że wiele osób lubi ten nowy porządek. Na Zachodzie, dzięki zimnej wojnie i powieści „Rok 1984" Orwella, mamy taką koncepcję, że totalitaryzm dotyczy więzień, gułagów, tajnej policji i narzucania ludziom swoich racji przez terror. To, co nas teraz spotyka, bardziej przypomina totalitaryzm z powieści Aldousa Huxleya „Nowy wspaniały świat", gdzie ludność jest kontrolowana nie poprzez terror, ale poprzez manipulowanie jej przyjemnością i rozrywką. Celem jest terapeutyczny totalitaryzm, w którym ludzie dobrowolnie oddadzą swe polityczne wolności w zamian za osobistą wolność uprawiania seksu, robienia zakupów i konstruowania swojej tożsamości tak, jak chcą. Chcą pigułki Murti-Binga, jak powiedział Czesław Miłosz, używając koncepcji Witkiewicza, bo wierzą, że uwolni ich to od niepokoju.

Ten miękki totalitaryzm nie będzie używał gułagów, bo nie będzie musiał. Zakładam, że nasze rządy mogą, współpracując z korporacjami, uniwersytetami i innymi instytucjami, stworzyć swoją wersję chińskiego systemu zaufania społecznego. A jest to system, który pozwala chińskiemu rządowi gromadzić ogromne ilości danych na temat każdego obywatela. Wykorzystuje algorytmy do sortowania danych i tworzenia profili politycznych każdego obywatela. Państwo przypisuje każdemu obywatelowi coś na kształt „kredytu społecznego" na podstawie jego zachowania. Jeśli zrobi coś społecznie pozytywnego, np. ściągnie na komputerze przemówienia Xi Jinpinga, jego ocena wiarygodności społecznej wzrośnie i dostanie więcej przywilejów. Jeśli zrobi coś społecznie negatywnego, np. pójdzie do kościoła lub spędzi czas z ludźmi o niskich wynikach w ocenie społecznej, jego ocena spadnie. Z tego powodu nie będzie mógł znaleźć dobrej pracy, daleko podróżować ani chodzić do dobrych restauracji. To bardzo skuteczny system.

eprasa.pl 17264ffba3

Który może zagrozić także Zachodowi?

To będzie katastrofalne dla USA, bo wielu Amerykanów jest uzależnionych od wygody klasy średniej. Nasze korporacje już teraz zbierają dane, które do tego prowadzą, a my im na to pozwalamy. Dziesiątki milionów Amerykanów mają w domu „inteligentny głośnik" Amazon Alexa, który ma uczynić ich życie wygodniejszym. To urządzenie słucha tego, co ludzie mówią w domu, i wysyła kluczowe słowa z powrotem do Amazona. Aż trudno uwierzyć, że ludzie to zaakceptowali. Sądzą zapewne, że technologia, która poprawia jakość życia, jest zawsze dobra. Gdyby rząd nakazał umieszczenie urządzenia podsłuchowego w ich domach, byliby oburzeni i odmówili. Ale jeśli Amazon mówi: „To fajna technologia, która ułatwi ci życie", cóż, ludzie nie tylko akceptują urządzenie podsłuchowe w swoim domu, ale płacą za ten przywilej dużo pieniędzy.

Jest wiele firm, które wydają wielkie sumy na badania neurologiczne, aby nauczyć się manipulować wolą mas. Stalin mógł tylko marzyć o takim systemie, jaki dzisiaj mamy.

W jaki sposób nowa książka odwołuje się do „Opcji Benedykta"?

„Live Not By Lies" to książka mroczniejsza i bardziej konkretna. Ale tak, jak „Opcja Benedykta", także mówi o tym, co chrześcijanie powinni robić w świecie postchrześcijańskim i oferuje praktyczne porady. Jest to jednak książka bardziej niepokojąca. W ciągu trzech lat od opublikowania „Opcji Benedykta" te same siły, o których mówiłem w książce, stały się bardziej agresywne. Dowiedziałem się więcej o świecie, w którym żyjemy, a zwłaszcza o tym, jak bardzo duże korporacje monitorują każdego z nas za pośrednictwem naszych smartfonów i internetu. W czasie, kiedy wokeness – tzn. lewicowa ideologiczna bojowniczość – przemaszerowała przez nasze instytucje, a pokolenie przywódców z 1968 r. upadło w obliczu tej wojowniczości, uświadomiłem sobie, że stoimy w obliczu stanu wyjątkowego.

Kiedy na początku tego roku skończyłem ostateczną wersję „Live Not By Lies", wysłałem ją do mojego wydawcy i pomyślałem: „Jak mam przekonać Amerykanów, że naprawdę jest tak źle, jak mówię?". Potem pojawił się COVID-19, który radykalnie zmienił amerykańskie życie. Chwilę później przyszło zabójstwo George'a Floyda i zamieszki, które doprowadziły większość amerykańskich instytucji i kultury korporacyjnej do szaleństwa pod hasłem „świadomości rasowej". W następstwie tego szaleństwa przeprowadzono udane próby zmiany amerykańskiej historii.

Teraz nie mam żadnych problemów z przekonywaniem ludzi, że przeżywamy poważny kryzys, a lewica wychodzi z tego kulturowego upadku, głosząc miękką formę totalitaryzmu. Wiele spraw ukrytych wyszło na jaw, a to, co się dzieje, pokazuje prawdziwy stan amerykańskiego społeczeństwa. Jeśli Donald Trump przegra nadchodzące wybory, konserwatyści nie będą mieli za kim się schować.

Przygotowując książkę, dużo pan podróżował po Europie Środkowej i Wschodniej. Jak wrażenia?

Przyjechałem z przychylnymi oczekiwaniami i się nie zawiodłem. Dla Amerykanów mojego pokolenia Polska była krajem bohaterów: Jana Pawła II, Lecha Wałęsy i Solidarności. W 1988 r. chodziłem po kampusie uniwersyteckim w południowej Luizjanie w koszulce z napisem „SOLIDARNOŚĆ". Muszę przyznać, że zawsze spotykałem romantyczne spojrzenia.

Poza tym, jako amerykańskiemu konserwatyście, dużo nadziei daje Grupa Wyszehradzka (GW). Możliwość istnienia alternatywnego bloku w Europie, tworzącego inny przykład tego, jak być nowoczesnym demokratycznym narodem, daje mi wielką satysfakcję. To są kraje pewne swojej tożsamości, nie chcą zamienić wolności, którą zdobyły na gruzach jednej hegemonicznej władzy, na podporządkowanie się władzy bardziej miękkiej. Ja po prostu znacznie lepiej czuję się w konserwatywniejszych społeczeństwach krajów GW. Pod wieloma względami byłem zadowolony z tego, co zobaczyłem w waszej części świata. A jeśli chodzi o rozmowy z chrześcijanami, którzy przetrwali komunizm – mój Boże, co za zaszczyt.

> Modlitwa przy grobie ks. Jerzego Popiełuszki była momentem, w którym poczułem wielką solidarność z moimi chrześcijańskimi braćmi i siostrami w Polsce oraz wdzięczność za to, co wszyscy uczyniliście dla wolności i wiary

Siedzenie z Zofią Romaszewską w jej salonie. Słuchanie, jak wzywa dziś do walki młodych ludzi i prosi, aby się nie poddawali – bardzo mnie wzruszyło, bo wiem, co zrobiła dla swojego kraju. Szczerze mówiąc, dało mi to nadzieję. Modlitwa przy grobie ks. Jerzego Popiełuszki była kolejnym momentem, w którym poczułem taką solidarność, jeśli mogę użyć tego słowa, z moimi chrześcijańskimi braćmi i siostrami w Polsce i wdzięczność za to, co wszyscy uczyniliście dla wolności i wiary.

Ale byłem naprawdę zaskoczony i zasmucony, słysząc w każdym z krajów, które odwiedziłem, że młodsze pokolenie nie jest zainteresowane przeszłością. Wielu nie interesuje się wiarą chrześcijańską. Pewien młody katolik w Budapeszcie powiedział: „Większość moich przyjaciół nie chodzi na mszę i chce tylko, aby nasz kraj stał się węgierską wersją Szwecji". Przypominam sobie Jana Pawła II, który podczas wizyty w ojczyźnie powiedział, że to byłaby tragedia, gdyby Polska wyzwoliła się z jednej materialistycznej

eprasa.pl 17264ffba3

ideologii tylko po to, by poddać się innej, czyli zachodniemu hedonizmowi i konsumpcjonizmowi. Nie spodziewałem się, że tak może się stać w Polsce i innych krajach regionu, ale wydaje się, że tak się dzieje.

Kiedy dwa lata temu byłem w Czechach na promocji „Opcji Benedykta", na widowni zawsze znalazł się ktoś, kto pytał mnie o ideologię gender. Byli tym tematem całkowicie zaskoczeni – w ogóle nie mogli go zrozumieć. Ostrzegałem ich, że zaledwie dziesięć lat temu większość Amerykanów myślała tak samo. Teraz gender jest wszędzie i podbił nasze instytucje – a nawet został zapisany w prawie. Ostrzegałem ich, że wszystko zaczyna się od kampanii medialnej, aby to zaprogramować, a potem znormalizować. Ostatniego dnia mojego pobytu w Pradze czeska gazeta opublikowała obszerną historię o cudownym życiu transpłciowego dziecka. Mój tłumacz powiedział mi: „Po raz pierwszy taka historia pojawiła się w naszych mediach". „Zaczęło się" – pomyślałem.

Rządy w Polsce i na Węgrzech są atakowane przez Brukselę. Jak pan to widzi z perspektywy „miękkiego totalitaryzmu"?

Globaliści naprawdę wierzą, że ich droga jest jedyną możliwą do zarządzania społeczeństwem. Posługują się językiem liberalizmu, ale w rzeczywistości są nietolerancyjni. W Ameryce liberałowie uwielbiają mówić o „różnorodności" i będą się interesować czarnoskórymi, latynosami, gejami, kobietami, muzułmanami, mniejszościami – ale tylko tak długo, jak wszyscy ci ludzie będą myśleć dokładnie tak samo. To powierzchowna różnorodność. Jeśli rzucisz wyzwanie takiej różnorodności myśli, idei i praktyk, oskarżą cię o bycie bigotem ze skłonnościami do autorytaryzmu i użyją przeciwko tobie dźwigni biurokratycznej władzy.

Dobrze o tym wiedzą Polacy i Węgrzy, ale Amerykanie w ogóle tego nie rozumieją, bo nasze media nigdy o tym nie donoszą. Nie mogę tego wystarczająco mocno podkreślić: naprawdę nie rozumiemy, co dzieje się w Europie.

Kiedyś myślałem, że George Soros jest w zasadzie dobrym człowiekiem, a niesprawiedliwie traktowany przez tego łobuza Viktora Orbána. Tylko taką opowieść przeczytałeś w amerykańskich i brytyjskich mediach. Musiałem ciężko pracować, aby znaleźć drugą stronę tej narracji. Kiedy w końcu pierwszy raz odwiedziłem Budapeszt i rozmawiałem z Węgrami – nie rzecznikami rządu, ale zwykłymi ludźmi – poznałem drugą stronę tej historii. Nie mówię tego oczywiście po to, by bronić wszystkiego, co robi Orbán, ale on i polski rząd są demonizowani w amerykańskich mediach, podobnie jak wszystkie populistyczne partie Europy.

To, co robią media – i to w porozumieniu z rządzącą elitą globalistów – to tworzenie historii, które delegalizują populistyczne rządy na arenie międzynarodowej w oczach ich własnych obywateli. Jeśli robią to całkowicie jawnie, to nie jest spisek. Może jestem naiwny, ale szczerze mówiąc, nie sądzę, aby większość tych politruków naprawdę rozumiała rolę, jaką odgrywają w tej ideologicznej sieci. Są stworzeniami tego samego systemu – chodzili na te same uniwersytety, spędzają wakacje w tych samych miejscach, czytają te same rzeczy itd. Pracują także na czele międzynarodowych firm.

„Woke kapitalizm", jak go nazywamy w USA, jest czymś bardzo trudnym do zrozumienia dla konserwatywnych Amerykanów. Mamy zwyczajowe przekonanie, że wrogiem jest państwo, a biznes jest po właściwej stronie. Ronald Reagan był uosobieniem tej ludowej wiary amerykańskiej prawicy. Dlatego wielu z nas bardzo trudno było pojąć, jak daleko biznes posunął się w lewo i jak potężny stał się w rozwijaniu lewicowych interesów, zwłaszcza w odniesieniu do rasy i LGBT.

> Anne Applebaum postrzega George'a Sorosa jako wyzwoliciela, ja jako liberalnego tyrana

Kiedy w zeszłym roku odwiedziłem Polskę, rozmawiałem z polskimi katolikami, którzy pracowali dla polskich oddziałów czołowych firm z USA i Europy Zachodniej. Byli zmuszani do udziału w obchodach LGBT Pride w biurze, mimo że naruszało to ich sumienie. Nie chcieli stracić pracy. Nie wiedzieli, co robić. To jest kulturowy imperializm i mam nadzieję, że polski rząd zrobi coś, by chronić tych pracowników.

Co ciekawe, ten „miękki totalitaryzm" nie ma korzeni ani w Armii Czerwonej, ani w rewolucji, wynika raczej z nietolerancyjnej ideologii neoliberalizmu i jego sług w międzynarodowych sieciach politycznych, medialnych, korporacyjnych i pozarządowych. Możesz zakryć pięść silnego mężczyzny aksamitną rękawiczką, ale słabego uderzy równie mocno.

Niedawno polemizował pan z Anne Applebaum. Chodziło o tezy z jej książki „Zmierzch demokracji"...

Szanuję Applebaum. Wiele się nauczyłem z jej książek o bloku sowieckim. Mieszka w Polsce i jest żoną wybitnego polskiego polityka, więc waham się, czy ją ostro krytykować.

Oboje widzimy fenomen, jakim jest upadek liberalnej demokracji, polaryzacja demokratycznych społeczeństw i wzrost autorytaryzmu. Ale ona widzi to jako problem prawicy. Ja przede wszystkim (ale nie wyłącznie) jako problem lewicy. Ona widzi zagrożenie ze strony Trumpa, Fideszu, PiS, Voxa i innych partii prawicy. Ja natomiast widzę niebezpieczeństwo ze strony globalistów i postępowców, którzy kontrolują korporacje, uniwersytety, media i większość instytucji obywatelskich. Zasadniczo cała dyskusja sprowadza się do fundamentalnego pytania: czym jest dobro wspólne?

Dla Applebaum jest to świat, w którym handel jest wolny, granice są otwarte, a społeczeństwo jest liberalne i permisyjne. Dla mnie i dla ludzi takich jak ja dobru wspólnemu

eprasa.pl 17264ffba3

lepiej służą silne granice, rynki z ograniczeniami i społeczeństwo, które jest wolne, ale bardziej tradycyjne i religijne. Ona postrzega Sorosa jako wyzwoliciela, a ja jako liberalnego tyrana.

Aby być dla niej sprawiedliwym, muszę powiedzieć, że nie jestem gotowy bronić wszystkiego, co robią populistyczne, prawicowe rządy. Ale kiedy Applebaum skarży się na kumoterstwo w niektórych środkowoeuropejskich rządach i instytucjach oraz na to, jak lojalność do partii zastąpiła kompetencje, myślę o tym, jak tutaj, w Ameryce, lojalność wobec tej szalonej ideologii „różnorodności", która nie ma nic wspólnego z kompetencjami, jest w wielu miejscach warunkiem zatrudnienia. W USA ludzie, którzy mniej więcej zgadzają się z Applebaum, mają wszelkie kulturowe i instytucjonalne przywileje. To jeden z powodów, dla których prezydentura Trumpa nie miała prawie wpływu na powstrzymanie popłochu amerykańskich elit kulturalnych i wszystkich lewicowych, zmierzających w kierunku większego autorytaryzmu i ekstremizmu.

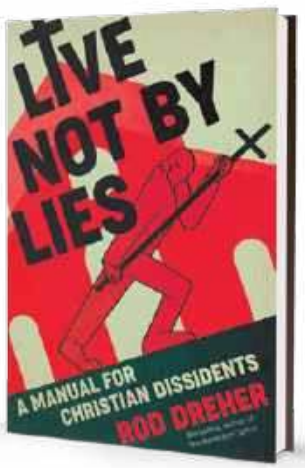

Jeśli mówimy o Trumpie, jak pan ocenia jego prezydenturę?

Zacznijmy od dobrych rzeczy, które zrobił. Mianował trzech sędziów Sądu Najwyższego. Dwóch zostało potwierdzonych i jest prawdopodobne, że Amy Coney Barrett również zostanie zaakceptowana. Dodatkowo Trump wyznaczył ponad 200 sędziów federalnych. To bardzo ważne, bo w systemie amerykańskim są to funkcje dożywotnie.

Uważam, że skoro USA przesuwają się w lewo w kwestiach społecznych i kulturowych – Amerykanie poniżej 45. roku życia są znacznie bardziej liberalni – federalne sądownictwo będzie prawdopodobnie ostatnią linią obrony religijnych i społecznych konserwatystów. Możemy więc podziękować za to Trumpowi. Możemy mu też być wdzięczni za to, że nie wszczyna nowych wojen. Możemy mu podziękować za przyjęcie bardziej realistycznego stanowiska wobec Chin. I możemy mu podziękować za złamanie władzy republikańskiego establishmentu nad partią. W GOP nie będzie powrotu do status quo sprzed Trumpa, i to jest dobre.

Ale ogólnie Trump nie był dobrym prezydentem. Jego administracja to przeważnie seria straconych okazji. Został wybrany jako populista, ale rządził głównie jako normalny republikanin. Nie zrobił wiele, aby zrestrukturyzować amerykańską gospodarkę, aby uczynić rzeczy bardziej sprawiedliwymi dla ludzi z klasy robotniczej. Nie zrobił nic, aby poprawić system opieki zdrowotnej. Jest przeciwny reformom służby zdrowia Obamy, ale nie zaproponował żadnych znaczących rozwiązań. Został wybrany przez ludzi, którzy mają dość tyranii poprawności politycznej, ale nie zrobił wiele, aby z nią walczyć. Nie jesteśmy bliżej znalezienia prawdziwego rozwiązania problemów imigracyjnych w Ameryce niż przed objęciem urzędu przez Trumpa. Problem polega na tym, że Trumpowi dano historyczną szansę przekształcenia amerykańskiej polityki oraz zbudowania i wzmocnienia nowej koalicji prawicy, tzn. sprawienia, by Partia Republikańska (PR) bardziej kojarzyła się z troskami zwykłych ludzi niż Wall Street i korporacji Ameryki. Objął urząd z obiema izbami Kongresu kontrolowanymi przez jego partię. Co zrobił? Zniszczył tę szansę, ponieważ jest wyjątkowo egocentryczny i całkowicie brakuje mu dyscypliny. Okazuje się, że Grecy mieli rację: charakter to naprawdę przeznaczenie.

Uważam, że przegra listopadowe wybory. Myślę, że po tym strasznym roku z covidem i zamieszkami na tle rasowym Amerykanie chcą spokoju. Sposób, w jaki Trump zachowywał się w pierwszej debacie, przypomniał im o wszystkim, czego nienawidzą w tym roku. Mam tylko nadzieję, że republikanie utrzymają Senat, bo jeśli Biden wygra, to demokraci będą mieli zarówno Kongres, jak i Biały Dom. Przyjdą radykalne przepisy dotyczące aborcji, LGBT i rasy. Wszystko przesunie się jeszcze bardziej w lewo.

Ale porażka Trumpa może mieć pozytywne strony. Da szanse republikanom zmienić się w silną, kompetentną siłę narodu. Dwa z najbardziej dynamicznych głosów dzisiejszej prawicy – prowadzący talk-show Foxa Tucker Carlson i senator Josh Hawley – są młodzi i dość krytycznie odnoszą się do „woke kapitalizmu".

Ale moją wielką obawą o Amerykę jest to, że nadchodzące lata będą się toczyły w rytmie wojny plemiennej między lewicą a prawicą. Lewica mocno naciska na politykę tożsamości i przez cały czas sprawia, że wszyscy są niezwykle świadomi swojej przynależności rasowej. Nie mogą pojąć, dlaczego każdemu działaniu przypisana jest przeciwna reakcja. To zepchnie republikanów bardziej w prawo. Centrum nie wytrzyma.

Dzisiejsza Ameryka bardzo przypomina Hiszpanię z początku lat 30. XX w., kiedy polaryzacja i wrogość między lewicą a prawicą zapoczątkowały dynamikę, która ostatecznie przekształciła się w wojnę domową. Nie mogę sobie wyobrazić, jak wyglądałaby wojna domowa we współczesnej Ameryce, ale w nadchodzących latach możemy być bliscy tego odkrycia. Zapewne zobaczymy tyranię lewicy i elit korporacyjnych, napędzanych przez amerykańską wersję chińskiego systemu zaufania społecznego.

Żałuję, że nie mogę być optymistą, ale patrząc na to, gdzie jesteśmy teraz, trudno zobaczyć przed nami lepsze dni.

eprasa.pl 17264ffba3

Popychanie Bidena

JAN ROKITA

Tyle tylko, że jak dobrze wiadomo, polityczny rozgardiasz na wewnętrznej scenie Ameryki osiągnął już takie rozmiary, że każdy sondaż jest podejrzany o tendencyjność, a roznamiętnieni wyborcy – o oszukiwanie ankieterów. Na to zaś nakładają się jeszcze XVIII-wieczne i obowiązujące do dzisiaj procedury przeliczania głosów, które prezydenturę dają wcale niekoniecznie temu, kto nominalnie wygrał głosowanie. A także dość szerokie – zarówno w świecie, jak i w samej Ameryce – przekonanie (częste zwłaszcza wśród zapiekłych wrogów obecnego prezydenta), że Donald Trump ma talent magika zdolnego nawet w ostatniej chwili porwać za sobą zwykłych ludzi rozglądających się za silnym przywództwem.

Krótko mówiąc – nikt nie wie, co stanie się za tydzień w najstarszej i najsilniejszej demokracji świata. W Polsce jednak z pewnością warto dziś intensywnie myśleć o tym, co by było, jeśliby stało się to, co jest możliwe. Czyli jeśliby nie tylko Biden został następnym prezydentem, lecz nadto demokraci przez najbliższe dwa lata kontrolowali obie izby amerykańskiego Kongresu.

Z PRĄDEM

Ani w Ameryce, ani poza nią nie żywi się jakichś szczególnych iluzji co do samej osoby kandydata demokratów. Biden to jedna z tych niemal literackich figur pospolitości, jakie czasem wyniesione zostają na sam szczyt polityki przez demokrację. Zwłaszcza przez demokrację amerykańską, w której – co z przenikliwością zauważył dwa wieki

Fot. StratosBril / Shutterstock.com

eprasa.pl 17264ffba3

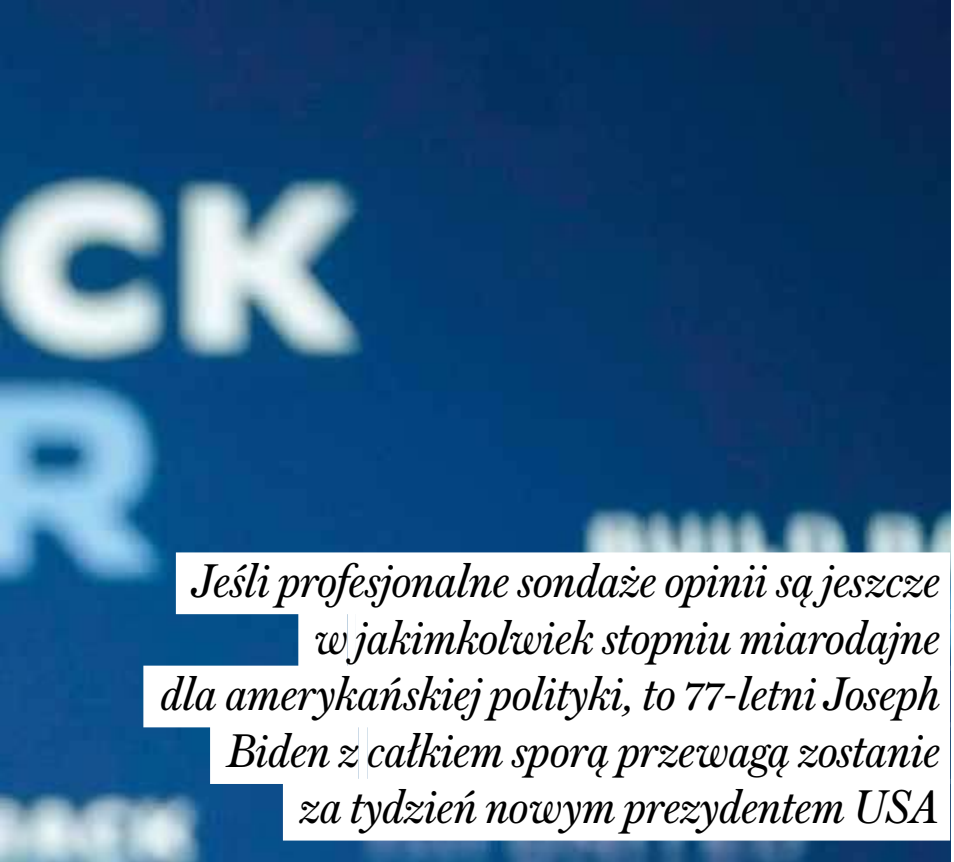

Jeśli profesjonalne sondaże opinii są jeszcze w jakimkolwiek stopniu miarodajne dla amerykańskiej polityki, to 77-letni Joseph Biden z całkiem sporą przewagą zostanie za tydzień nowym prezydentem USA

temu Alexis de Tocqueville – „prawie wszystko, co niezwykłe, ustępuje temu, co przeciętne".

Jako polityk Biden jest typowym produktem swojego czasu, nie zaś przywódcą, który czas, w jakim przychodzi mu żyć, chciałby ukształtować na swoją modłę. Kiedy w 90. latach ub.w. w Ameryce modne były idee law & order, Biden inicjował rygorystyczne ustawodawstwo, obliczone na wytępienie murzyńskiej przestępczości i współpracował z tzw. segregacjonistami. Gdy moda się zmieniła i zaczęły się rozruchy przeciw policji i rygorom karnym – Biden stał się patronem i obrońcą uczestników tych rozruchów. Kiedy w Ameryce była moda na ochronę tradycyjnej rodziny, Biden prowadził kampanię na rzecz obcięcia funduszów szkołom, w których nauczano akceptacji dla seksualnych atypii. A gdy klimat kulturowy się odmienił, Biden stał się (jeszcze w rządzie Obamy) rzecznikiem sprawy małżeństw osób tej samej płci, przekonując ponoć do niej ówczesnego prezydenta. To przykłady najbardziej znane i przywoływane przez krytyków Bidena jako świadectwa jego oportunizmu. Ale w gruncie rzeczy Biden całą swoją karierę zrobił na płynięciu z prądem. To jego oczywista wada jako człowieka, ale w demokratycznej polityce ta wada daje czasem napęd wielkim karierom.

NADZIEJE LEWICY

To wszystko w żadnym razie nie znaczy, że z hipotetycznym wyborem Bidena nie są wiązane wielkie nadzieje. Wiąże je przede wszystkim amerykańska, lecz nie tylko amerykańska, lewica, dla której pozbawienie Trumpa władzy jest celem niemal religijnym – czymś na kształt strącenia z tronu demona. Złośliwi konserwatyści spekulują, że stary Biden, który już kilkakrotnie w kampanii mówił, iż czuje dumę ze swego ubiegania się o urząd... senatora, zostanie za jakiś czas odsunięty przez skręcającą w lewo Partię Demokratyczną, na mocy 25. poprawki do Konstytucji (tej o stetryczałej prezydenturze), po to by władzę mogła jak najprędzej objąć feministka Kamala Harris, ubiegająca się dziś o wiceprezydenturę. To zapewne tylko szyderstwo z jawnej sklerozy Bidena, najzupełniej naturalnej zresztą w jego wieku.

Prawdziwe nadzieje lewicy wiążą się jednak z dwoma realnymi celami, jakie zapewne przyświecałyby hipotetycznemu rządowi Bidena: po pierwsze – politycznej „detrumpizacji" Ameryki, a po drugie – przyspieszeniu postępowej przebudowy amerykańskiego społeczeństwa. Wiadomo, że oportunistyczny Biden nie będzie zapewne liderem w żadnym z tych przedsięwzięć. Nadzieją amerykańskiej lewicy jest więc raczej to, iż będzie ulegał trendowi, który po wielkich rozruchach Antify i Black Lives Matter wyraźnie wzmógł się w Ameryce, zwłaszcza w kręgu aktywistów Partii Demokratycznej.

Z POLSKIEJ PERSPEKTYWY

Jednak wbrew temu, co się dość powszechnie sądzi w kręgu polskiej prawicy, ta hipotetyczna, nawet mocna zmiana orientacji ideologicznej Białego Domu, jest drugorzędna z perspektywy polskich interesów. Owszem, to zapewne spory szkopuł dla konserwatystów w globalnym sporze o religię i kulturę, w którym Ameryka antycypowała dotąd trendy pojawiające się potem na całym Zachodzie. Tyle tylko, że realny wpływ biegu amerykańskiej „wojny kulturowej" na polską politykę jest znikomy. A jeśli w ogóle istnieje, to pojawia się wówczas, gdy za Atlantykiem ożywia się rewolucyjna „akcja bezpośrednia", dająca podnietę do naśladownictwa polskim lewicowym radykałom. To zjawisko przybrało nie tak dawno nad Wisłą kształt groteski, gdy w ślad za kampanią niszczenia pomników w USA w Warszawie jacyś aktywiści zabrali się m.in. do Kościuszki. Nie ma wątpliwości, że te wszystkie rewolucyjne akcje i rozruchy w USA osłabną, jeśli Biden okazałby się zwycięzcą.

Raz dlatego, że dotąd wzniecane były one głównie z intencją przyczynienia się do obalenia Trumpa; dwa – bo biali republikanie (czyli wyborcy Trumpa), nawet ci ze sławetnej alt-right, to w warunkach amerykańskich mimo wszystko bardziej „państwotwórcza" część społeczeństwa. I choć wraz z upadkiem Trumpa PiS utraciłby niewątpliwie „ideowego sojusznika" w Białym Domu, to w realnej polityce znaczyłoby to najprawdopodobniej tyle, że Departament Stanu dwa albo trzy razy częściej wydawałby oświadczenia na temat „troski o prawa gejów i wolność mediów" w Polsce, jakie i tak przecież rutynowo wydawał za rządów Trumpa. To samo dotyczy obrony interesów amerykańskich firm w Polsce (np. koncernu Discovery), która w ciągu ostatnich czterech lat była priorytetem dla pryncypialnego rzecznika doktryny „America First", ale nawet bez takiej

eprasa.pl 17264ffba3

doktryny i tak zapewne pozostałaby priorytetem dla ekipy Bidena. Warto być świadomym tego, że kontekst sporów ideologicznych przekłada się mocno na realne polskie interesy (gospodarcze, polityczne, finansowe) wewnątrz Unii Europejskiej, ale takiego silnego związku nie było i nadal nie będzie w relacjach transatlantyckich.

Pytanie z polskiej perspektywy kluczowe to: na czym mogłaby polegać „detrumpizacja" amerykańskiej polityki zagranicznej, wokół której koncentrują się prawdziwe nasze narodowe interesy? Jeśli sprawdzić by się miały przypuszczenia amerykańskich mediów, to dwie kluczowe dla polityki zagranicznej posady w rządzie Bidena miałyby objąć wysokie funkcjonariuszki dawnej ekipy Obamy – Susan Rice (jako sekretarz stanu) oraz Michele Flournoy (jako sekretarz obrony). Ta pierwsza była do końca rządów Obamy jego doradczynią ds. bezpieczeństwa, druga – wiceministrem obrony.

56-letnia Rice jest świetnie wykształconą (Stanford i Oxford) i mocno zeuropeizowaną entuzjastką wielostronnej dyplomacji, krytykującą ostro Trumpa za jego imperialny „unilateralizm", zerwanie azjatyckiego paktu handlowego i nieliczenie się z europejskimi sojusznikami. Z kolei 60-letnia Flournoy (po Harvardzie i Oxfordzie), kobieta, która zaszła najwyżej w hierarchii Pentagonu w całej historii tego resortu, jest zwolenniczką rozbudowy amerykańskiej potęgi wojskowej w Azji, gdyż, jak kiedyś przyznała, Ameryka „miałaby kłopot z obronieniem Tajwanu" w razie konfliktu nuklearnego z Chinami. Nie ma wątpliwości, że zarówno dla nich obu, jak i dla Bidena, „detrumpizacja" oznacza próbę powrotu do takiego modelu polityki, jaki obowiązywał za prezydentury Obamy. A więc ostrzejszy kurs wobec Izraela, podważenie sojuszu z Arabią Saudyjską, próbę ponownego porozumienia z Iranem, powrót do wielostronnych umów handlowych i globalnego paktu klimatycznego.

Czy to wszystko ma znaczenie dla polskich narodowych interesów? Nie bezpośrednie ani nie pierwszorzędne. Nie tak dawno sztab demokratów uznał za stosowne przekazać polskim mediom ekstraoświadczenie, wedle którego Biden w razie wygranej „zakończy schlebianie administracji Trumpa wobec Władimira Putina", a także utrzyma obecność US Army oraz sankcje nałożone na gazociąg bałtycki. Takie specjalne „polskie" gwarancje ze strony sztabu świadczą o tym, że w ekipie Bidena wyczuwany jest pewien niepokój w Warszawie, towarzyszący jego rosnącym szansom na zwycięstwo.

Trump nie był wystarczająco konsekwentny, gdy idzie o strategię powstrzymywania wpływów rosyjskich w Europie Środkowo-Wschodniej.

> Dla amerykańskiej, i nie tylko amerykańskiej, lewicy pozbawienie Trumpa władzy jest celem niemal religijnym – czymś na kształt strącenia z tronu demona

I w tej materii nie należy spodziewać się twardej „detrumpizacji", sygnalizowanej w oświadczeniu sztabu. Podobnie rzeczy się mają, gdy idzie o obecność US Army w naszej części Europy. Oczekiwana przez Warszawę jakościowa zmiana podejścia Waszyngtonu nie nastąpiła i nadal jest to obecność „rotacyjna", w sensie militarnym ciągle bardziej symboliczna niźli realna. I zapewne tak też pozostałoby po hipotetycznej zmianie w Białym Domu. Trudno wreszcie wykluczyć, że w ramach odbudowy przyjaźni z Berlinem Biden miękko wycofałby sankcje na gazociąg bałtycki.

UTWARDZANIE PRZYMIERZA

Ameryka jest politycznie i wojskowo zaangażowana w Polskę i Europę Środkową i to stanowi już oswojony przez świat konstans globalnej polityki. Ani Trump, ani Biden tego faktu nie stworzyli, ale też żaden z nich nie ma planu, aby go odwracać. Jednak nadal owo zaangażowanie jest dość płytkie, a to, co długofalowo najważniejsze dla polskiego narodowego interesu, to systematyczna praca nad powolnym, ale stałym jego pogłębianiem. Prezydent Duda wraz ze swoim ministrem Krzysztofem Szczerskim niemal perfekcyjnie prowadzili tę pracę w ciągu ostatniego czterolecia (co nawiasem mówiąc, jest główną polityczną zasługą Dudy, dziwnie lekceważoną podczas ostatniej kampanii wyborczej). Najmniejszego sensu nie mają więc medialne wycieczki przeciw Bidenowi w wydaniu polityków polskiej prawicy, sfrustrowanych tym, że PiS może stracić ideologicznego sojusznika w Białym Domu. Jeśli sam Biden i członkowie jego ekipy tysiąckrotnie powtórzyli zarzut „schlebiania" Rosji przez Trumpa, to polska dyplomacja winna to teraz wykorzystać, domagając się, aby „detrumpizacja" polegała również na utwardzeniu amerykańskiego przymierza z Europą Środkowo-Wschodnią i lojalnym wzmacnianiu, a nie lekceważeniu naszych interesów.

Najgorszym z możliwych pomysłów byłaby konfrontacja z Bidenem na tle sporów ideologicznych, w co – jak się zdaje – zamierzają pójść Węgrzy, jeśli sądzić po niesłychanie ostrej ripoście ministra Szijjártó na wywody Bidena o tym, co „dzieje się na Białorusi, w Polsce i Węgrzech". Budapeszt zawsze miał własną, inną od polskiej, wizję swoich nadrzędnych geopolitycznych interesów. Tymczasem warto pamiętać, że to demokrata, a zarazem sławny libertyn Clinton, wprowadził Europę Środkową do NATO, wbrew niechęci licznych „starych" członków paktu. Inny zaś demokrata i postępowiec Obama pod koniec rządów połapał się w swej naiwności wobec Kremla i podjął przełomową decyzję o dyslokacji US Army na tzw. flance wschodniej. Dlaczego więc ich tropem nie miałby podążyć również Joseph Biden? Oczywiście, o ile rzeczy potoczyłyby się tak, że 3 listopada to on zostałby następnym prezydentem USA. Polska dyplomacja potrafiłaby zaś go umiejętnie popychać w tę stronę, podobnie jak Duda ze Szczerskim delikatnie, acz zręcznie popychali dotąd Trumpa.

Reklama | 17/1020/F

eprasa.pl 17264ffba3

RMF FM

Numer 1

wśród opiniotwórczych stacji radiowych w 2020 roku

wg Instytutu Monitorowania Mediów

Najważniejsze słowa padają o 8:02 w RMF FM

Robert Mazurek zapraszam o 8:02

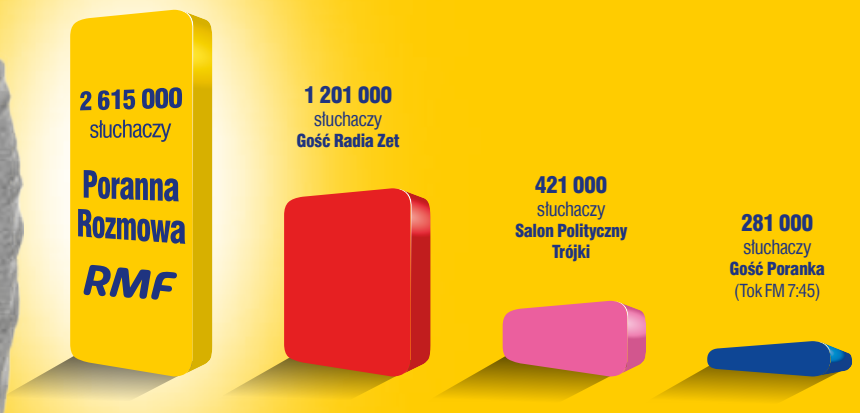

Źródło: Radio Track, Kantar Polska, 01-06.2020, audytorium średniego kwadransa (kwadrans z audycją), dni powszednie, wszyscy 15-75 lat

eprasa.pl 17264ffba3

Bezpłatna książka dla każdego pierwszaka

Każdy uczeń pierwszej klasy szkoły podstawowej otrzyma w tym roku prezent od Instytutu Książki. 370 tysięcy książek zostało właśnie rozesłanych do wszystkich szkół w Polsce. To największy tego typu projekt w Europie.

MAŁA KSIĄŻKA WIELKI CZŁOWIEK

Instytut Książki od 2017 roku zachęca do czytania dziecku już od pierwszych miesięcy jego życia. Tegoroczna kampania została przygotowana z myślą o pierwszoklasistach oraz dzieciach rozpoczynających naukę samodzielnego czytania. Specjalne przygotowane wyprawki czytelnicze zawierające m.in. książkę „Pierwsze abecadło" będą rozdawane w szkołach podstawowych w całej Polsce. Kampanii towarzyszy szeroka promocja w mediach – telewizji, radiu i internecie.

Akcja ta od samego początku wspierana jest chętnie przez znanych artystów, którzy zachęcają wszystkich rodziców do czytania swoim dzieciom. Tym razem do grona ambasadorów kampanii dołączyło kolejne aktorskie małżeństwo: Marta Żmuda Trzebiatowska i Kamil Kula.

Artyści, którzy w życiu prywatnym są rodzicami trzyletniego syna i kilkumiesięcznej córki, z wielką radością wzięli udział w kampanii. Jak sami bowiem uważają, wspólne czytanie książek odgrywa bardzo ważną rolę w wychowaniu ich dzieci.

– W naszym domu jest tak, że bardzo dużo czytamy dzieciom. Jak patrzę na naszego syna, który zafascynowany słucha, kiedy mu czytamy, to bardzo się cieszę. Wiem, że książki będą w jego życiu niezwykle ważne – mówi Marta Żmuda Trzebiatowska.

– Czytanie sprawia, że najmłodsi poznają nowe słownictwo, rozwijają swoją wyobraźnię. Buduje też bliskość rodzicielską. Kiedy obejmujemy dziecko czytając mu książkę przed zaśnięciem, dajemy mu tym samym poczucie miłości i bezpieczeństwa – dodaje Kamil Kula.

W tym roku kampania realizowana jest pod hasłem „Książka rośnie razem z dzieckiem". Słowa te znakomicie oddają główną ideę największego w Europie projektu promującego czytelnictwo wśród dzieci i ich rodziców. Prawidłowo dobrane książki rozwijają umysł i emocje dziecka już od najmłodszych lat życia. Dlatego warto zacząć czytać im jak najwcześniej.

– Najlepiej zacząć już od „brzucha"! – uważa Marta Żmuda Trzebiatowska.

– Jak Marta była w ciąży, to już wtedy czytaliśmy i śpiewaliśmy naszemu dziecku. Naprawdę widać, że dziecko uspokaja się słuchając piosenek i książek. Kiedy już przychodzi na świat, kojarzy i pamięta je – twierdzi Kamil Kula.

– Nasz syn nie potrafi jeszcze czytać, ale zna na pamięć wszystkie książki, wierszyki i bajki, a mamy ich w domu naprawdę dużo. Jestem pod ogromnym wrażeniem jego umiejętności. Czasami, kiedy czytamy mu wieczorem i chcemy sprawdzić czy już zasnął, zmieniamy na przykład słowo w treści bajki. Jak nas poprawia to znaczy, że nadal jest czujny i jeszcze to trochę potrwa – dodaje Marta Żmuda Trzebiatowska.

Organizatorzy kampanii społecznej już od 2017 roku uświadamiają rodzicom jak wielką wartość ma wspólne czytanie. Wielu z nich nie znajduje czasu na czytanie książek swoim pociechom. Warto jednak poświęcić chociaż chwilę na tę czynność.

– Ważne jest, aby nie traktować wspólnego czytania jako obowiązku, tylko jako źródło przyjemności. Możemy poświęcić na to nawet pięć minut przed snem, wystarczy. Nie liczy się bowiem ilość, tylko jakość. Traktujmy to jako świetną zabawę! Nie bójmy się wygłupiać, zmieniać głosy i śpiewać podczas czytania – uważa Marta Żmuda Trzebiatowska.

– Czytanie może być początkiem świetnej wspólnej zabawy. Książki uruchamiają wyobraźnię oraz nakłaniają nasze dzieci do wymyślania i opowiadania własnych historii czy zabaw – dodaje Kamil Kula. Kampania kierowana jest nietylko do dzieci i ich rodziców, ale również do całego środowiska kształtującego młodego człowieka m.in. nauczycieli i bibliotekarzy. W poprzednich edycjach projekt obejmował szpitale położnicze i biblioteki publiczne, w których młodzi czytelnicy otrzymywali specjalne „wyprawki czytelnicze". W tym roku adresatami kampanii są pierwszoklasiści, do których rąk trafi „Pierwsze abecadło", wyjątkowa książka, która zachęci młodych uczniów do nauki samodzielnego czytania.

– Bardzo się cieszymy, że nasza kampania od czterech lat może się rozwijać. Przekonujemy w niej, że warto czytać razem z dziećmi od początku, warto odwiedzać z nimi biblioteki, a w domu wspólnie spędzać czas z książką w ręku. Tym razem udamy się do szkół podstawowych. Pamiętajmy o tym, że mała książka buduje przyszłość wielkiego człowieka – mówi Dariusz Jaworski, Dyrektor Instytutu Książki.

www.wielki-czlowiek.pl

INSTYTUT KSIĄŻKI

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Projekt „Mała książka – wielki człowiek" realizowany jest ze środków Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego, pod honorowym patronatem Ministerstwa Edukacji Narodowej oraz Rzecznika Praw Dziecka.

eprasa.pl 17264ffba3

20 lat z „M jak miłość”

Kiedy jesienią 2000 r. widzowie TVP2 po raz pierwszy trafili do serialowej Grabiny, nie przypuszczali, że rozpoczęła się właśnie emisja największego wieloodcinkowego rodzimego hitu. Do dziś „M jak miłość” nie daje się prześcignąć konkurencji

Fot. MTL Maxfilm

Reklama | 28/1020/F

eprasa.pl 17264ffba3

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

To się zdarzy za parę dni. 4 listopada miną dwie dekady od emisji premierowego odcinka serialu, który dla producenta, widzów i większości aktorów mógłby nosić tytuł „M jak marzenie". Marzenie o uczuciach, sile rodziny, sukcesie... ale też o namiętnościach, zawirowaniach losu... Słowem o życiu, w którym od lat chce uczestniczyć tak wielu widzów.

ZASKAKUJĄCO, JAK W ŻYCIU

W czasach największej popularności losy rodziny Mostowiaków śledziło nawet 12,6 mln osób (to dane z marca 2005 r.). Dziś, gdy widz ma do wyboru wiele możliwości, do oglądania kolejnego odcinka emitowanego w TVP2 potrafi zasiąść nawet 3,9 mln fanów. Taki wynik pozostawia konkurencję daleko w tyle.

Pierwszy klaps na planie „M jak miłość" padł 25 sierpnia 2000 r. Od tamtego czasu przed kamerami produkcji przewinęły się setki osób i postaci. Rosła popularność głównych aktorów i dorastały serialowe dzieci. Rozwijały się kariery i pojawiały zawodowe frustracje, prowadzące do spektakularnych rozstań z produkcją. Jak najgłośniejsza, „kartonowa" śmierć, ostatecznie potwierdzająca rozstanie z serialem Małgorzaty Kożuchowskiej (nadany 7 listopada 2011 r. odcinek, obejrzało ponad 8,4 mln widzów).

Ze Stanów Zjednoczonych, które przyciągnęły ją na początku 2013 r., nie wróciła do Grabiny Małgosia. W ten sposób pożegnała się z produkcją Joanna Koroniewska. Za to Małgorzata Pieńkowska, która odeszła z serialu w 2012 r., zawitała ponownie na planie po dwóch latach. Przewidujący scenarzyści wysłali Marysię na długi kontrakt do Norwegii. W odpowiednim momencie mogli ją stamtąd ściągnąć.

SCENARIUSZE W MASCE

Nawet jednak tak przetrenowanemu – przez dwie dekady, mnogość wątków i postaci – zespołowi scenarzystów (w sumie, z nazwiska, wymienionych jest 25 osób) oraz imponującej (także z powodu nazwisk) grupie reżyserów (są wśród nich m.in. Ryszard Zatorski, Natalia Koryncka-Gruz, Maciej Dejczer, Piotr Wereśniak, Waldemar Szarek, Kinga Dębska, Marcin Krzyształowicz, Anna Wieczur-Bluszcz, Anna Jadowska czy Michał Węgrzyn) nie przyszło pewnie do głowy, co przyniesie rok 2020.

Hucznych obchodów 20-lecia „M jak miłość" ani relacji z okolicznościowej fety w TVP2 nie będzie. Życie pisze dziś nieprzewidywalny własny scenariusz (wiadomość z ostatniej chwili: po wykryciu przypadku koronawirusa w ekipie wstrzymano produkcję, jednocześnie uspokajając fanów, że zdjęcia w sanitarnym reżimie trwały na tyle długo, iż postój nie wpłynie na ciągłość emisji).

Ponieważ serial nadawany jest obecnie w dwa pierwsze dni tygodnia, więc

Fot. materiały prasowe (x2)

eprasa.pl 17264ffba3

Fot. materiały prasowe (x2)

we wtorek, 3 listopada, pokazany zostanie kolejny, 1539. odcinek. Świętowanie 20-lecia i jego rejestrację przełożono na bezpieczniejszy okres.

SERIALOWE KOŁA

Jednak i w sanitarnym reżimie okrągła rocznica powstania „M jak miłość" to dobra okazja, by przypomnieć sobie, jak kiedyś wyglądali bohaterowie; jakie sprawy były ważne dla Lucjana Mostowiaka (Witold Pyrkosz) i jego żony Barbary (Teresa Lipowska) oraz ich dzieci: Marii (Małgorzata Pieńkowska), Marty (Dominika Ostałowska), Marka (Kacper Kuszewski) i Małgosi (Joanna Koroniewska). Co wnieśli do serialu: Hanka (Małgorzata Kożuchowska), bliźniacy Piotr i Paweł (Rafał i Marcin Mroczkowie) czy Kinga (Katarzyna Cichopek)... I od czego zaczęła się ta historia?

– Oczywiście, że pamiętam – mówi Rafał Mroczek. – To była rocznica ślubu dziadków, granych przez Teresę Lipowską i Witolda Pyrkosza.

Równie mocno zapadło mu w pamięć pierwsze wejście przed kamerę. Wspomina „wyjątkowo nieudolną próbę poderwania dziewczyny ekranowego brata Piotrka". – Kinga (Kasia Cichopek) jest dziś jego żoną, a ja mam wrażenia, jakby scenarzyści zatoczyli krąg w historii Pawła Zduńskiego. Pod koniec tamtego sezonu, po 20 latach od pierwszej sceny z jego udziałem, Paweł znowu dobrze poczuł się przy Kindze – dodaje.

W STRONĘ SŁOŃCA

Na żadnym etapie jej powstawania nie sposób wyobrazić sobie „Emki" – jak nazywają tę produkcję członkowie ekipy – bez wcielającej się w postać Barbary Mostowiak Teresy Lipowskiej.

– Gdy w sierpniu 2000 r. zaczynaliśmy zdjęcia, nikt z nas nawet w najśmielszych oczekiwaniach nie przewidywał, że doczekamy takiego jubileuszu! Myśleliśmy, że ta przygoda skończy się na kilku czy co najwyżej kilkunastu odcinkach. Nie będzie cienia przesady w stwierdzeniu, że z chwilą podpisania umowy na ten serial moje życie odwróciło się w stronę słońca – mówi aktorka.

Co jej zdaniem zadecydowało o spektakularnym sukcesie serialu? Przede wszystkim to, że Polacy pokochali rodzinę Mostowiaków, która z jednej strony przeżywa zarówno radości, jak i smutki, a z drugiej – zawsze trzyma się razem.

– O ile w prawdziwej rzeczywistości dorosłe dzieci nie mają czasu na spotkania z rodzicami i często ograniczają się tylko do rozmów z nimi przez telefon, o tyle w naszym serialu wszystkie drogi prowadzą do Grabiny. Nic nie zastąpi bliskich kontaktów rodzinnych. Koniec, kropka – dodaje pani Teresa.

A „EMKA" TRWA

Jak ważna jest rodzina, doskonale wie serialowa Natalka, którą w 2004 r. adoptowali Hanka i Marek Mostowiakowie. Grająca ją Marcjanna Lelek trafiła do Grabiny, mając dziewięć lat.

– Na planie „Emki" spędziłam całe swoje dzieciństwo. Dorastałam, ba, wychowałam się tam! Z pełną świadomością mogę stwierdzić, że ten serial mnie ukształtował – zapewnia Marcjanna. – To, jaka jestem i kim jestem, w dużym stopniu zawdzięczam wspaniałym ludziom, których spotkałam przy pracy w „M jak miłość" – dodaje.

Mikołaj Roznerski dołączył do obsady osiem lat temu: – Świat się zmienia, pędzimy do przodu, a „M jak miłość" trwa i cały czas jest bezkonkurencyjne na rynku telewizyjnym w Polsce – komentuje. – Serial powstaje dłużej niż pół mojego życia. Oglądałem go, gdy byłem młodym chłopakiem, a teraz w nim gram. To pobudza wyobraźnię i robi na mnie duże wrażenie.

Na planie „rozwinął skrzydła i poznał idoli z dzieciństwa": Teresę Lipowską, Małgorzatę Rożniatowską, śp. Witolda Pyrkosza i wielu innych wspaniałych aktorów. – Rola Marcina Chodakowskiego przyniosła mi ogromną popularność. Nigdy nie zapomnę, że dostałem tę szansę i zawsze będę za to wdzięczny producentom – podkreśla.

Serialowi, z którym ma „same dobre skojarzenia" i jest pełen podziwu dla całej jego ekipy, że tyle lat utrzymuje produkcję na szczycie, bo przecież „za tym sukcesem stoi praca setek ludzi", życzy, aby powstawał jeszcze przynajmniej przez kolejne 20 lat!

eprasa.pl 17264ffba3

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Marian Hemar o miłosierdziu – rewelacyjnie!

Czasem najcelniejszym teatralnym strzałem jest samo odkrycie sztuki. Zbigniew Lesień, wrocławski aktor i reżyser, dokonał tego w Teatrze Telewizji, co napawa nadzieją. „Cud biednych ludzi" Mariana Hemara miał być wystawiony w październiku 1939 r. Po wojnie twórczość tego artysty była w Polsce objęta cenzurą, bo Hemar to antykomunistyczny emigrant. Wystawiano „Cud" w Wielkiej Brytanii, ale tam jego zasięg był niewielki – emigracja. W Polsce o „Cudzie" zapomniano, także po roku 1989.

Hemara po części odkryto ponownie dla polskich teatrów, ale jako autora muzycznych komedii, do których sam komponował. Ostatnio, niestety przed pandemią, czarowała nas w warszawskim Szóstym Piętrze jego „Piękna Lucynda". Tu jednak mamy moralitet. Na dokładkę autor żydowskiego pochodzenia, choć mocno spolszczony, zajął się dylematami związanymi z wiarą katolicką. Zrobił to z wielką wrażliwością. Większą niż wielu autorów urodzonych w katolickich rodzinach. Jakby opowiadał o własnym świecie pojęć.

Młody Józef Bylejak, zajmujący się elektryką, podupada, kiedy jego żona ulega paraliżowi. Traci pracę, jest w nędzy. Ratuje go religia. I któregoś dnia, ku zdumieniu rodziny żony i sąsiadów, wraca z kościoła ze sznurem pereł, które miała mu wręczyć święta Teresa. Ale przecież święta Teresa to obraz. Czy uwierzyć w cud, bo żona wstaje z łóżka uzdrowiona? Praska społeczność wierzy. Ale aparat przedwojennego państwa przystępuje do działań. Józef zostaje aresztowany.

Ta sztuka ma wszystkie walory kryminału, chcemy się dowiedzieć co dalej, i moralitetu właśnie, gdzie rozmawia się o rzeczach najważniejszych przy okazji śledztwa i procesu. Finał poraża. Hemar mógł pójść w kierunku wykazania paradoksu kłopotliwego dla katolików. Podważanie cudu jest wszak niewygodne dla Kościoła, skoro ludzie wierzą. Ale ważniejsze jest tu pytanie zadawane przez Sędziego Śledczego (gra go znakomicie, bardzo pastelowo Zdzisław Wardejn). Czy możemy powiedzieć o sobie, że wszystko wiemy? Nawet jeśli wiara w cuda nie jest naszą specjalnością.

Dzięki reżyserii Zbigniewa Lesienia nie mamy tu jednego zbędnego gestu. Scenograf Tomasz Bartczak umieścił wszystkie kolejne sceny w ciasnych wnętrzach. Taka jest izdebka Bylejaków, ale nawet sala sądowa to salka. Mamy poczucie klaustrofobii, nad wszystkim unosi się muzyka Michała Lorenca. Nie zyskamy w tej scenerii ukojenia. Pozostawi się nas z niepokojem.

Rafał Fudalej, grający dużo młodszych od siebie chłopców, nasycił Bylejaka tak dużym ładunkiem świetlistej wiary, że musimy go przynajmniej zrozumieć. Mamy też galerię ludzi prostych, o których Sędzia Śledczy mówi do młodszego kolegi, że warto być dla nich wyrozumiałym: kapitalna Małgorzata Rożniatowska jako Teściowa, Mariusz Kilian jako jej drugi zięć, Szewc, Stanisław Brudny – Kościelny, Krystyna Tkacz – Sąsiadka.

Mamy i galerię inteligenckich rezonerów: Jerzy Zelnik – Minister Sprawiedliwości, Krzysztof Wakuliński – Prokurator, Maciej Tomaszewski – Obrońca, Michał Lesień – Lekarz. Świetny jest Zbigniew Waleryś jako Ksiądz szukający prawdy, a zarazem poniekąd sprawca tragicznego finału. Uwaga, że chciałoby się Fudaleja, Kiliana czy Rożniatowską oglądać częściej, nasuwa się sama. Ale bardziej jeszcze chciałoby się dotykać spraw podstawowych za pośrednictwem teatru. Oczywiście prawd znajdywanych w innych realiach: tamten świat chronicznej biedy pewnie nie wróci. Ale człowiek nie przestaje zasługiwać na miłosierdzie, o które w finale apeluje Ksiądz.

Piotr Zaremba

eprasa.pl 4ffba3

Wojciech Pszoniak – pożegnanie

Ja nie mam nic, ty nie masz nic, on nie ma nic. To razem mamy tyle, w sam raz tyle, żeby założyć fabrykę". Film, z którego pochodzi ten cytat, dla Wojciecha Pszoniaka jako Moryca Welta okazał się zawodową i życiową ziemią obiecaną. Otworzył mu drzwi do międzynarodowej kariery. Jak w soczewce skupił też to, co w jego aktorstwie było kluczowe i fascynujące.

– Miał pewien rodzaj twórczego ADHD, które w życiu może przeszkadzać, ale w sztuce, w twórczości jest niezwykłe – ocenia Jan Englert.

Andrzej Seweryn dodaje, że Pszoniak miał też odwagę (m.in. wyboru tylko tych ról, które jego samego mocno poruszały) i bezkompromisowość w ich budowaniu. Nawet kanon nie przeszkadzał mu w tworzeniu postaci w takim kształcie, jaki uznawał za właściwy. W jego interpretacji Welt znacznie odbiega od literackiego pierwowzoru. Pszoniak zarazem skomplikował i zniuansował tę postać, uszlachetnił ją i rozwibrował.

W innych (niezwykle ważnych dla niego i cennych dla widzów) bohaterach – od Robespierre'a z filmu „Danton", w którym partnerował Gérardowi Depardieu, przez Dziennikarza/Stańczyka z „Wesela", po tytułowego „Korczaka" (wszystkie w reż. Andrzeja Wajdy), ale też w „Diable" Żuławskiego czy „Austerii" Kawalerowicza... udowadniał, jaką ma rozpiętość aktorskich środków i z jaką wirtuozerią umie z nich korzystać. Także hamując do maksimum charakterystyczną ekspresję.

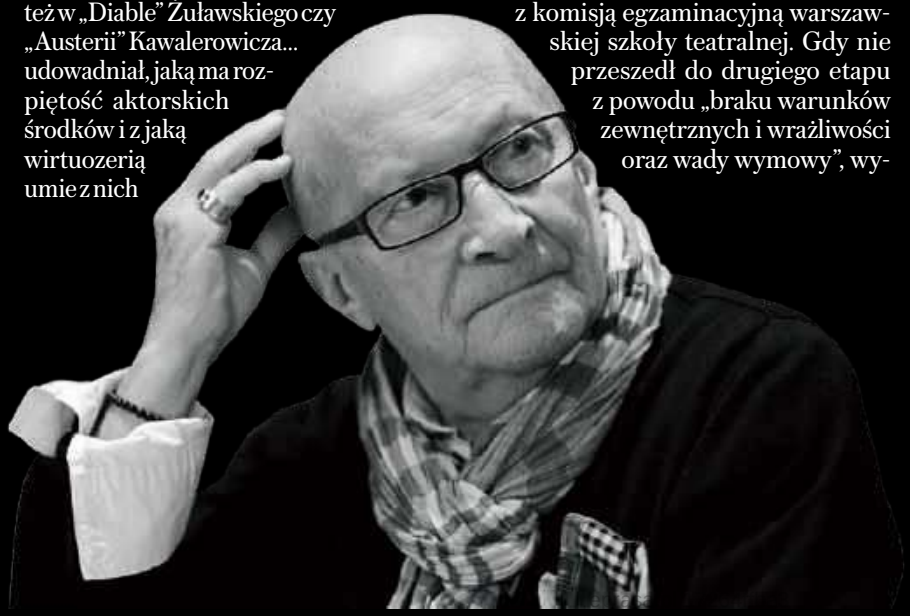

Według Andrzeja Seweryna, gdyby Pszoniak mówił po angielsku, miałby w kieszeni kilka Oscarów. Znając możliwości aktora, znajomość języka mógłby z powodzeniem... zagrać. Jak w Teatrze Nanterre, gdzie wystąpił pod koniec lat 70. ubiegłego wieku z Gérardem Depardieu i Danielem Olbrychskim, ale to jego kwestie wywoływały aplauz ze strony francuskiej publiczności.

Popis dał też w kluczowej dla niego, telefonicznej rozmowie z francuskim producentem teatralnym. Żona (z którą był w szczęśliwym związku kilkadziesiąt lat) spisała jego polskie odpowiedzi na potencjalne pytania, szwagierka romanistka przełożyła je, a on nauczył się tekstów na pamięć. Przysłuchująca się rozmowie szwagierka patyczkiem wskazywała mu właściwą odpowiedź, on odpowiednią modulacją potwierdzał, jak świetnie radzi sobie z francuskim. Angaż dostał. Potem nauczył się języka i od 1982 r., mieszkając na stałe we Francji, ze swobodą odnajdywał się na scenie i ekranie.

Pytany, jak udało mu się osiągać sukcesy i w Polsce, i za granicą, mówił, że od momentu, gdy zdecydował się uprawiać aktorstwo, miał w sobie pewność własnych wyborów. Wspominał spotkanie z komisją egzaminacyjną warszawskiej szkoły teatralnej. Gdy nie przeszedł do drugiego etapu z powodu „braku warunków zewnętrznych i wrażliwości oraz wady wymowy", wykrzyczał w kierunku komisji (używając niecenzuralnego słowa) „Niech się wam, ..., nie wydaje, że nie będę aktorem".

Został nim (dzięki studiom w krakowskiej PWST). Co więcej, stał się jedną z największych osobowości scenicznych i filmowych swego czasu.

Mieszkając poza Polską, przyjmował zaproszenia z warszawskich scen. W nowym tysiącleciu wrócił m.in. do Teatru TV, gdzie również reżyserował. Coraz częściej można go było zobaczyć w rodzimych produkcjach – teatralnych, filmowych, telewizyjnych. W kraju – jak mówił – wciąż „miał mieszkanie, własny NIP i PIT oraz przyjaciół".

Ci widzieli w nim nie tylko genialnego aktora, lecz także człowieka serdecznego, „smakosza kuchni i życia", współtwórcę nieformalnego Towarzystwa Dobrego Stołu. Ze wspólnych biesiad i eksperymentów kulinarnych (dzięki pomocy żony, która zapisywała jego przepisy kulinarne) powstała książka, w której autor pokazuje się jako – obyty z potrawami kuchni polskiej, francuskiej, ale też egzotycznej – obywatel świata.

Urodził się we Lwowie (spędził tu dwa pierwsze lata życia), wychował w Gliwicach, w świat aktorstwa wchodził w Krakowie, z czasem jego przestrzeń twórcza i życiowa poszerzyła się o Warszawę, później o Paryż oraz kolejne miejsca, do których docierał.

Znakiem rozpoznawczym jego stylu stały się z czasem fantazyjne szaliki. Nosił je – podkreśla Andrzej Seweryn – w arystokratyczny sposób. Ale przecież był arystokratą. Polskiego teatru, polskiego filmu.

Był też Wojciech Pszoniak – jak sam o sobie mówił – „buntownikiem z charakteru". Czyli wraz z talentem i wspomnianymi wcześniej cechami, oraz okolicznościami, miał w sam raz tyle, żeby na stałe pozostać w historii teatru i kina.

Zmarł po ciężkiej chorobie 19 października 2020 r. Miał 78 lat.

Jolanta Gajda-Zadworna

3 MIŁOŚCI

Nie każdy homoseksualista jest gejem

ROBERT TEKIELI

Mimo zastraszania coraz więcej osób homoseksualnych mówi głośno, że nie chcą być przez aktywistów ruchu LGBT wykorzystywane jako mięso rewolucji, podobnie jak komuniści wykorzystywali robotników. Że nie identyfikują się z gejowską subkulturą, która powstała pod koniec lat 60. Ideologia LGBT okazuje się jednak niezwykle skuteczna. Papież Franciszek powiedział właśnie w filmie dokumentalnym „Francesco" o osobach homoseksualnych: „To, co musimy stworzyć, to prawo do wspólnego pożycia" (convivencia civil). Choć wcale nie jest to wezwanie do legalizacji związków partnerskich (unión civil), to wspólne pożycie oznacza jednak związek fizyczny osób. I to stoi w sprzeczności z Biblią, która co do aktów homoseksualnych nie pozostawia żadnych wątpliwości. Kongregacja Nauki Wiary wyraża tę prawdę w taki sposób: „związki homoseksualne pozostają w sprzeczności z naturalnym prawem moralnym", a „prawo cywilne nie może wchodzić w konflikt z prawym rozumem (recta ratio) bez utraty tym samym mocy wiążącej dla sumienia". Papież się myli. A jego prywatna opinia sprzeczna z Magisterium Kościoła nie jest dla katolików wiążąca.

Nie ma przyzwolenia Kościoła na homoseksualne związki partnerskie. A mnie jako katolikowi nie może być obojętne, że mój brat w Chrystusie grzeszy. Osobiście ograniczam się w tej kwestii do modlitwy. Nikogo nie pouczam. Ale chcę też mówić prawdę. Bo homoseksualizm nie jest stanem naturalnym.

Na stronie homoseksualizm.edu.pl znalazłem opracowanie na temat badań Roberta Spitzera, psychiatry, który w 1973 r. nawoływał do głosowania za wykreśleniem homoseksualizmu ze spisu chorób. W 2003 r. opublikował wyniki swoich badań na próbie 200 eksgejów, w których dowiódł, że dla części homoseksualistów zmiana orientacji seksualnej jest możliwa. Co ważne, zaczynał, będąc sceptyczny co do skuteczności takiej terapii.

Podobne wnioski z badań na temat skuteczności terapii homoseksualizmu przedstawił w 2002 r. Warren Throckmorton. Pisali o tym również m.in. Joseph Nicolosi, Lucy Freeman (1997) „Healing Homosexuality: Case Stories of Reparative Therapy", wyd. J. Aronson, oraz Stanton Jones, Mark Yarhouse (2007) „Ex-Gays? A Longitudinal Study of Religiously Mediated Change in Sexual Orientation", Intervarsity Press: Downers Grove IL. Jedno z najnowszych badań potwierdzających skuteczność terapii reorientacyjnej pochodzi z lutego 2010 r. (Karten, E.Y., & Wade, J.C. Sexual Orientation Change Efforts in Men: a Client Perspective, The Journal of Men's Studies, 18/1: 84–102; artykuł płatny).

Nauka ocenia dziś skuteczność tych terapii na 30–60 proc. Oznacza to, że 30 proc. osób poddających się im uzyskuje pełnię heteroseksualności (heteroseksualne zachowania i relacje seksualne, podniecenie, odczucie pożądania, pociąg seksualny, fantazje), kolejne 30 proc., mimo że nie wchodzi w relacje intymne z osobami płci przeciwnej, odzyskuje kontrolę nad swoim życiem, pozbywa się z zachowań seksualnych elementów obsesyjno-kompulsywnych. Uczestnicy donosili też o korzyściach obejmujących zmiany nieseksualne takie jak: redukcja uczuć depresyjnych, większe poczucie męskości u mężczyzn i kobiecości u kobiet, rozwinięcie intymnych nieseksualnych relacji z osobami tej samej płci.

Jest to skuteczność analogiczna do efektywności psychoterapii innych zaburzeń psychologicznych.

To, że homoseksualizm nie jest uwarunkowany genetycznie, potwierdzają również autobiograficzne relacje wielu osób wcześniej homoseksualnych, np. terapeuty Richarda Cohena czy założyciela ruchu Living Waters (w Polsce Strumienie Życia) – Andrew Comiskeya.

Przekonanie, że orientacja homoseksualna jest niezmienna, to paranaukowy mit. Śmieszny, bo ci sami ludzie głoszą, iż płeć można sobie wybierać dowolnie.

Osoby nazywane dziś homoseksualistami to osoby heteroseksualne, które zatrzymano w rozwoju emocjonalnym. Wymagają one terapii, w której głównym elementem jest integracja osobowości i dojrzewanie. Dzięki wsparciu terapeutycznemu leczą one zranienia i dojrzewają emocjonalnie. Wyjście z homoseksualizmu jest bowiem przede wszystkim całościową przemianą emocjonalną. „Geje", uzyskując w trakcie terapie reorientacyjnej wgląd w przyczynę swego smutku i złości, prowadzeni są do przebaczenia i wolności. Doktor psychologii Jolanta Próchniewicz podsumowuje rzecz tak: „mężczyźni i kobiety, cierpiący z powodu pociągu płciowego do osób tej samej płci, nie różnią się od innych osób doświadczających problemów emocjonalnych i muszą się nauczyć, jak przebaczać".

Nie twierdzę, że każdy homoseksualista jest nieszczęśliwy. Ale przeciętny gej wcale nie jest beztroski, szczęśliwy, wesoły, skłonny do żartów, barwny, kolorowy. To sposób zaklinania rzeczywistości wewnętrznej i manipulacja społeczna.

eprasa.pl 17264ffba3

Niewarte

POPKULTURA

Jeden z festiwali filmowych w Polsce. Nie podaję nazwy, bo nie ma co reklamować. Organizatorka zachwala wyselekcjonowane filmy tak: – Jestem dumna, że – po pierwsze – większość z nich skupia się na bohaterkach kobiecych, a po drugie – że udało nam się zachować parytet. Prawie połowę konkursowych filmów podpisały reżyserki – dodaje.

Jakie filmy wybrano? Zacytujmy organizatorów: „Pełen humoru portret nastolatki, która uczy się przekraczać wszelkie granice w ekstremalny sposób". Nic lepszego w najgłupszym wieku nie można zrobić, jak tylko ekstremalnie przekraczać granice.

Duża część filmów zaprezentowanych na tym festiwalu to fabuły o siedemnastolatkach. W końcu w tym wieku dokonuje się pierwszego ważnego, determinującego całe życie wyboru: „Siedemnastoletnia Selma żyje na przedmieściach w mieszczańskiej, laickiej rodzinie Berberów. Kiedy poznaje młodego studenta Juliena, po raz pierwszy zdaje sobie sprawę, jak ciężar patriarchalnych zasad bezpośrednio wpływa na jej prywatność. Decyduje się stawić im opór i walczyć. Film otwarcia MFF w Wenecji". Łał, walić w psyk patriarchalne świnie! Walczymy siostry, wśród nas, w jednej z ról, Shira Haas, gwiazda serialu „Unorthodox". A przecież każda wie, że ortodoksja to złe zło.

I jeszcze o jednym z filmów: jaki jest dom jego bohaterki? Otóż jest on „pełen fizycznej czułości i miłości, ale na zewnątrz rodzina prowadzi pełne przemocy, przestępcze życie". Zdziwieni? Przecież czarne jest białe, urodzony morderca, to niewinny morderca, bo taki się urodził. Czego nie rozumiecie? Wszak zabójca to bohater, walczy z systemem! Kto by z lewicowych wrażliwców pamiętał o jego ofiarach. Towarzyszki, więcej takich festiwali. Towarzysz Lenin powiedział, że „kino jest najważniejszą ze sztuk"! I tego się siostry trzymamy.

POPKULTURA

Raczej nie

Film „Jak zostać gwiazdą" z jednej strony jest sporo młodym widzom wyjaśniającą karykaturą mediów, z drugiej propaguje antywartości. Opowiada o kulisach brutalnego świata popkultury oraz o życiu medialnych gwiazdeczek. Tę historię w miarę dobrze się ogląda: nastolatka (!) „Ostra" (Katarzyna Sawczuk) trafia do kontrowersyjnego programu telewizyjnego, gdzie ludzie rywalizują ze sobą w śpiewaniu. Sprawnie robi wokół siebie szum, wywołując ogromne zainteresowanie w internecie. Obraża publicznie przed kamerami głównego jurora Ola (Maciej Zakościelny). Nikt wokół nie wie, że jest jego córką, której matkę w ciąży z nią zostawił, by móc „być sobą", „spełniać marzenia" i zostać gwiazdą. Dziewczyna próbuje nawiązać relację z ojcem.

„Ostra" jest rozkapryszona, wulgarna i w głębi serca zagubiona, bo wychowywała się bez taty. Oglądamy strofy o dysfunkcyjnej, rozbitej rodzinie, o niszczącym internetowym hejcie, o popularności, która dla wielu staje się bożkiem i dla której są oni w stanie poświęcić absolutnie wszystko.

„Ostra" zaśpiewała na koniec swojemu ojcu, że nie odpowiada jej – był w śpiączce w szpitalu – i milczy jak Bóg. Ale Bóg nie milczy i do nas mówi.

Jak podsumowała rzecz pewna młoda osoba: Skowyt kolejnego pokolenia, któremu zatruto duszę.

„Jak zostać gwiazdą", reż. Anna Wieczur-Bluszcz, komedia obyczajowa, Polska, premiera 2.10.2020

Szokujące

Również Wikipedia w sposób jawny opowiada się dziś po stronie rewolucji kulturowej neomarksistów. Ta platforma, z której wiedzę o świecie czerpie przytłaczająca większość młodych ludzi, zakazała tworzącym ją redaktorom wyrażania poparcia dla tradycyjnego rozumienia małżeństwa i rodziny oraz okazywania niechęci do związków jednopłciowych. Wikipedię od lat krytykuje jej współzałożyciel, który potem zdystansował się do tego projektu. W maju stwierdził on, że pierwotna zasada „neutralnego punktu widzenia" jest dziś na Wikipedii „martwa". Młodzi ludzie nie mogą przecież poznać poglądów wyznawanych przez przytłaczającą większość ludzi na całym świecie. Przecież wyznawcy większości głównych religii światowych muszą się mylić. Rewolucjoniści wiedzą lepiej. Czy uda się państwu uchronić swoje dzieci przed zaglądaniem do „encyklopedii" rozsiewającej śmiercionośną propagandę?

POPKULTURA

Robert Tekieli
Polskie Radio

eprasa.pl 17264ffba3

Wojciech Stanisławski

Sekcja mizantropa

Nikogo nie zwiedzie ten chłód: im miększe tkanki, tym twardszą muszą być chronione skorupą

Pierwsze skojarzenie czytelnika to „Podróż do kresu nocy" Céline'a i jej bohater Ferdinand Bardamu. Jest po temu trochę przesłanek: najnowsza powieść Zyty Rudzkiej to podobnie jak u Céline'a obsesyjny, niekończący się monolog, mieszanina relacji z dnia i tętniących wspomnień, przeplatana zapisem zdań wymienianych z bliskimi (bliskimi?) niczym policzki albo strzały, w niekończącym się zwarciu, starciu. Podobna jest też niechęć narratora do bliźnich, wobec której okazujemy się bezbronni, bo płynie z głębszych źródeł niż proste rezonowanie chama, który swą wiedzę o tym, że „ludzie to świnie" czerpie głównie z lustra.

To mizantropia – znów kłania się Céline – narratora lekarza, który towarzyszył tylu zmaganiom i konaniom, że poznał całą paletę możliwego poniżenia, całą zwodniczość urody nie grubszej niż dobrze spilingowany naskórek. Patrząc na ludzi, widzi żywy katalog pryszczy, przepuklin, puchlin, panoramę pieprzyków i padaczek, kolejne poziomy rozpadu i rozkładu, aż po ostateczny, któremu gotów jest towarzyszyć przy stole sekcyjnym, podnosząc do świata gumową dłonią serce czy wątrobę. „Co zrobić, jest tylko biologia; co zostaje z człowieka, to śmierdzi". Niech nas nie zwiedzie szczebiot serialowych przychodni: takie jest ostateczne doświadczenie lekarza, oszczędzone, przynajmniej w większych dawkach, większości śmiertelników. Z niego brać się mogą rozpacz, wyższość, samotność.

Skojarzenie z prozą Céline'a jest jednak tylko po części trafne. Bardamu, jej bohater, był krwisty, niechlujny a sprośny, swoją odrazę dla gatunku ludzkiego, z jego gniciem, gazami i chuciami przenosił, niebezzasadnie, również na siebie, jego pogardę można by kubłami wynosić. Doktor Ludwik (jakie miękkie imię), narrator „Tkanek miękkich", jest jak spod igły, nie chirurgicznej (jest pediatrą), lecz krawieckiej. To Bardamu uszlachetniony, Bardamu, który nauczyłby się być chartem, miast charczeć, któremu łatwiej przychodziłyby kalambury niż kaszel. Ludwik rygluje się od środka, mnoży przegrody, nienaganny, bezwonny, zapięty. „Rząd koszul to jak szpaler cyprysów" deklaruje ten strojniś, ale stokroć wyżej niż dwucentymetrowy obcas skórzanego pantofla wynosi go dystans na granicy odrazy.

Przepaliła go medycyna: język, jakim mówi o rzeczywistości, chrzęści od idiomów medycznych: okolicznościom stawia „diagnozę", w rozpadzie swego małżeństwa dostrzega „skutki uboczne", „potwierdza rozpoznanie" szalonej miłości lub bezgranicznej rozpaczy, która wybucha obok niego, lub zauważa, że „szpadlem ciężko operować w zmarzlinie". Doskonale beznamiętny, anatomopatolog świata, któremu podnosi powiekę. Zdemaskował, zredukował nie tylko człowieka („co zostaje, to śmierdzi"), lecz i język. Każdy akapit „Tkanek miękkich" to demaskatorskie kalambury, obnażające pustkę utartych fraz nie gorzej niż wczesne wiersze Barańczaka. W jego „Dzienniku porannym" i „Sztucznym oddychaniu" można było czytać o tym, „co dziś rzucili / w błoto, a co na wiatr", zapowiedź „Ci, którzy biją czołem, będą bić / w twarz" i odczytanie słowa „samobójca" jako „sam siebie się bał". Ludwik brząka podobnie: „Drewniane rozmowy to żelazna konstrukcja małżeństwa", „Usta zasznurowane, w domu więcej różańców niż sznurówek", „Jej usta i cycki – bogactwa nienaturalne" – punktuje. „Zamknęli się wcześniej niż wieko" – komentuje milknący na pogrzebie tłum. Tak mogliby cedzić, gdyby mieli zły dzień, Jerzy Stempowski lub mrożkowski Superiusz, mrożąc słuchaczy dobrze zmrożoną wzgardą.

Tyle że przecież ani czytelnik Céline'a, ani Rudzkiej nie da się zwieść, wszyscy znają to, co dałoby się określić jako „dialektykę ślimaka": im miększe tkanki, tym twardszą muszą być chronione skorupą. To kolejna po rewelacyjnej „Krótkiej wymianie ognia" (2018) powieść tej autorki, która osmala język, spopiela konwencje – i ostatecznie ukazuje miłość silniejszą niż śmierć.

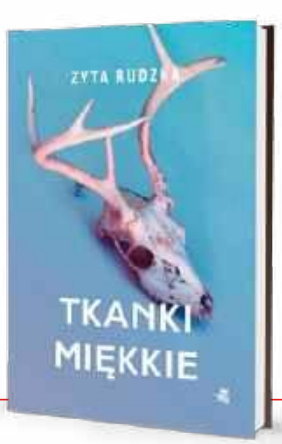

Zyta Rudzka, „Tkanki miękkie", W.A.B. 2020

eprasa.pl 17264ffba3

Zagończyk w zarękawkach

Niesłychane! było ich, jeśli liczyć wszystkich, kilkanaście tysięcy, a stali się twarzą (tą najlepszą) pokolenia. Tak zdarzało się kilka razy w historii Polski – zdarzyło się i z legionistami. 20-latkowie, rzucający pracę lub sztalugi, żeby wybrać służbę w Brygadzie – i którym (jeśli przeżyją tyfusy i kozackie szarże) los da stworzyć II RP – po czym doświadczyć jej upadku. Odmiany takiego scenariusza śledzić można w życiorysach dziesiątków podkomendnych Komendanta: rzadko jednak zdarza się los tak malowniczy i meandrujący jak Henryka Grubera.

Syn drobnego urzędnika ze zasymilowanej rodziny żydowskiej, półsierota, rzuca gimnazjum, by spróbować samodzielnego życia. Zaczyna jako podrzędny kancelista, stawia pierwsze kroki w branży ubezpieczeniowej – po czym zaciąga się do Legionów. Od Radomska po Polesie, fantazja chorążego i faszyna okopów, w 1916 zaś dezercja spod komendy austriackiej i praca – pod pseudonimem – w Wydziale Reemigracji Królestwa Polskiego... Fantazji starczyło mu też, by na czele kilku ochotników zająć 10 listopada 1918 r. Zamek Królewski, a dzień później przejąć centralny urząd pocztowy.

Dzieje kariery Grubera w dwudziestoleciu zdumiewają: zachował inwencję chorążego, tworząc rozwiązania, wydawałoby się, najgłębiej biurokratyczne: nadzór nad zakładami ubezpieczeniowymi, tworzenie Pocztowej Kasy Oszczędności, a następnie – Polskiej Kasy Opieki SA mającej strzec oszczędności emigrantów zarobkowych. Self-made man – trochę na wzór dowódców epoki Wielkiej Wojny, którzy, od Budionnego po Piłsudskiego, wyrośli poza systemem sztywnych awansów. Wspomnienia z połowy lat 30., kiedy znalazł się blisko najwyższych władz, będą w pełni zrozumiałe tylko dla osób z wykształceniem ekonomicznym, zdolnych zrozumieć opowieść o różnych wariantach reasekuracji. Każdy czytelnik będzie miał okazję zobaczyć, jak gorączkowo usiłowano dokonać modernizacji sił zbrojnych w latach 30. Gdyby jeszcze rok, dwa...

Najbardziej może przejmujące są rozdziały ostatnie, poświęcone kampanii wrześniowej, operacji ewakuowania złota polskiego, intrygom towarzyszącym powoływaniu rządu Sikorskiego we Francji. Gdyby czytać Grubera prezentystycznie, bez związku z epoką, w opisie „czystki antysanacyjnej", podejmowanej przez sikorczyków, czystki, której ofiarą padł również autor „Wspomnień...", znaleźć można przejmującą przestrogę przed logiką myślenia plemiennego, która bez względu na zagrożenia zewnętrzne usiłuje za wszelką cenę wyciąć, zmarginalizować, odsunąć „tamtych" na rzecz swoich.

Henryk Gruber, „Wspomnienia i uwagi", t. I–II, Muzeum Historii Polski 2020 (seria „Wspomnienia i pamiętniki na 100-lecie niepodległości")

Kanadyjska sprężyna

Powieść łotrzykowska wydaje się należeć do gatunków historycznych. Kto w końcu czyta jeszcze „Fortunne i niefortunne przypadki sławetnej Moll Flanders" oraz podobne ramoty? Okazuje się jednak, że niemal każdą formułę powieściową można ożywić: losy trojga kanadyjskich nastolatków, których samodzielne wchodzenie w dorosłość w Montrealu końca XX w. śledzimy przez 200 stron, nie niosą w sobie wielkiej mądrości ani przesłania, obdarzone są jednak potencjałem sprężyny czekającej tylko, by wyskoczyć z pudełka.

Noah, Joyce i trzeci bohater, narrator, którego imienia do końca nie poznamy, połączeni zapewne (choć nie zyskamy w tej sprawie pewności) więzami krwi, zasupłanymi w sposób nie do odtworzenia, odważni i ekscentryczni, dzielą się z nami musującą energią początku, otwierających się dróg, młodości. Różne energetyzujące trunki modne są w różnych sezonach, to „Nikolski" jednak, skuteczniej niż yerba, setka, przejrzysty ranek pobudza do tego, żeby ruszyć w świat, w bezdroża, w poprzek przyzwyczajeń. To powieść miejska, lekka, z zadatkami na „kultową", co dla osób bardziej wybrednych w lekturze powinno być przestrogą. Ale nie ma się czego obawiać: jeśli przeczytać tę książkę do poduszki, łatwiej będzie po prostu wstać pół godziny wcześniej, przebiec kilometr więcej, ogarnąć się: może, mimo covidów i jesieni, nie jest jeszcze za późno, może uda się powędrować bezdrożami Kanady, trafić na morza południowe?

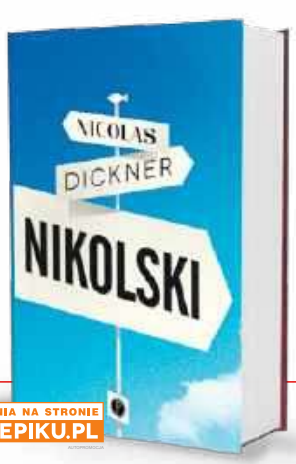

DO KUPIENIA NA STRONIE
WSKLEPIKU.PL

Nicolas Dickner, „Nikolski", tłum. Magdalena Kamińska-Maurugeon, Wydawnictwo Pauza 2020

eprasa.pl 17264ffba3

Sławni Polacy, którzy zmienili świat

Cała chemia prezydenta

Został prezydentem II Rzeczypospolitej. Chwała. Ale nie to było największym osiągnięciem jego życia. Bo Ignacy Mościcki to przede wszystkim wybitny elektrochemik i twórca polskiego przemysłu chemicznego

Początkowo niewiele wskazywało, że zajmie się nauką. Pochodził z wielodzietnej rodziny szlacheckiej osiadłej w mazowieckim majątku Mościce. Uczęszczał do szkół, ale przedkładał ponad naukę takie rozrywki, jak polowania, jazda konna czy słuchanie opowieści o kolejnych powstaniach. Tych ostatnich nie brakowało, bo jego dziadek walczył w powstaniu listopadowym, ojciec zaś w styczniowym. Nic więc dziwnego, że Ignacy też chciał walczyć. Ponieważ jednak na żadne powstanie w późnych latach 80. XIX w. się zanosiło, 20-letni wówczas Mościcki zaangażował się w jedyną dostępną formę czynnej konspiracji antyrosyjskiej – socjalistyczną. Liga Narodowa, z którą związany był przez pewien czas podczas studiów w Rydze, była w tym okresie organizacją zbyt pasywną, a w dodatku ciążącą ku Rosji.

Socjaliści tymczasem, a konkretnie II Proletaryat, bardzo poważnie zaczynali wówczas myśleć o działalności terrorystycznej, do której inspirację dała rosyjska Narodna Wola. Mościcki musiał być pod silnym wrażeniem dokonywanych przez członków tej organizacji ataków, skoro w 1892 r. sam postanowił dokonać zamachu na generał gubernatora Josifa Hurkę. Przygotował w tym celu bomby i opracował plan zakładający, że sam podczas zamachu także zginie. Było to o tyle dziwne, że atak na gubernatora miał się odbyć podczas jego miesiąca miodowego, a młoda małżonka brała udział w przygotowaniach, przenosząc ładunki wybuchowe w swoim koszyczku, między marchewką, pietruszką i innymi sprawunkami. Carska ochrana była jednak wówczas służbą wyjątkowo sprawną i spisek szybko wykryto. Zagrożony aresztowaniem Mościcki zmuszony był wraz z małżonką uciekać do Londynu.

AZOT I BATERIE KONDENSATORÓW

Kilka kolejnych lat jego życia z perspektywy czasu wydaje się czystą groteską. Nie znał angielskiego, nie mógł więc znaleźć pracy. Wpadał z tego powodu na najdziwaczniejsze pomysły. Postanowił np. produkować kefir, nie wiedząc, że Anglicy nie spożywają tak przetworzonego nabiału. Próbował być fryzjerem, choć, jak przyznawał, nie potrafił równo uciąć nawet kartki, nie wspominając o włosach. Nic też dziwnego, że młoda para klepała biedę, a jedynym źródłem ich utrzymania były pieniądze przesyłane przez rodziców. Realnym pożytkiem z pobytu w Londynie było poznanie tam Józefa Piłsudskiego, który już wówczas owiany był konspiracyjną legendą. Był to zresztą dobry omen. Spotkanie przyszłych mężów stanu nastąpiło w 1896 r., a już rok później Mościcki otrzymał dwie propozycje, które całkowicie zmieniły jego życie.

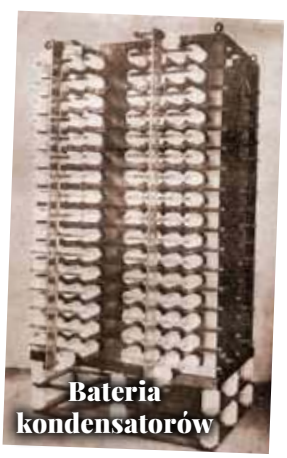
Bateria kondensatorów

Pierwsza napłynęła z uniwersytetu w Liège, druga zaś z uczelni w szwajcarskim Fryburgu. Z powodów językowych wybrał drugą opcję i wkrótce prowadził już pierwsze samodzielne badania w alpejskim krajobrazie. Początkowo kontynuował studia, będąc jednocześnie asystentem słynnego elektrochemika Józefa Wierusza-Kowalskiego. Wkrótce jednak przeszedł do świata większych pieniędzy. Został mianowicie kierownikiem naukowym w spółce Société de l'Acide Nitrique, zajmującej się produkcją kwasu azotowego. Mościcki nie trafił tu przypadkiem. Eksperymentując z elektrycznością, opracował niezwykle tanią metodę otrzymywania tego kwasu – surowca niezbędnego w farmaceutyce i przemyśle zbrojeniowym. Kiedy z zaskoczeniem zauważył, że nikt jeszcze nie wymyślił kondensatorów odpowiednio wysokiego napięcia, sam opracował ich projekt. Niejako na marginesie

PARTNER DODATKU

LOTOS

eprasa.pl 17264ffba3

tych prac Mościcki wpadł na pomysł tzw. baterii kondensatorów szklanych, które natychmiast znalazły zastosowanie w łączności radiowej – zostały wykorzystane przez armię szwajcarską, a zainstalowane w radiostacji na wieży Eiffla służyły tam przez całą I wojnę światową. Nawiasem mówiąc, opracowana przez niego tzw. reakcja azotu i tlenu w łuku elektrycznym, z wykorzystaniem wirującego płomienia w polu magnetycznym, spotkała się z uznaniem samego Alberta Einsteina.

FABRYKI I PATENTY

Jego renoma rosła w wielkim tempie, podobnie jak zasobność portfela. Już jako naukowiec światowej sławy skorzystał z propozycji Politechniki Lwowskiej i w 1912 r. powrócił na tereny Rzeczypospolitej. Wykładowcą był podobno fatalnym, ale nie bardzo się tym przejmował. Jego żywiołem było laboratorium, w którym potrafił spędzać całe godziny, choć myślał też w kategoriach przemysłowych. Zaprojektował mianowicie aparaturę elektrochemiczną, a także całe fabryki azotu i cyjanków. Był także doradcą w licznych firmach związanych z przemysłem gazowym i naftowym. W 1916 r. utworzył Instytut Badań Naukowych i Technicznych „Metan", który oprócz promocji młodych badaczy wydawał pierwsze specjalistyczno-naukowe pismo polskie „Przemysł Chemiczny". Kilka lat później, już w niepodległej Polsce, „Metan" stanie się częścią Chemicznego Instytutu Badawczego (ChIB), którego Mościcki zostanie kierownikiem.

Po 1918 r. nie miał najmniejszego zamiaru rozpoczynania działalności politycznej. Z Piłsudskim przyjaźnił się serdecznie (komendant odwiedzał go zresztą często jeszcze w Szwajcarii), ale po powrocie do kraju Mościcki był całkowicie pochłonięty rozwijaniem polskiego przemysłu chemicznego. Kierował Państwową Fabryką Związków Azotowych w Chorzowie, stworzył Państwowe Zakłady Związków Azotowych w Tarnowie, w zasadzie uniezależniając Polskę pod tym względem od zagranicznych eksporterów. Był jednocześnie rektorem Politechniki Lwowskiej i kierownikiem Katedry Elektrochemii Technicznej na Politechnice Warszawskiej. Nieustannie też prowadził badania i publikował artykuły. Oblicza się, że jest autorem 40 patentów i 60 rozpraw naukowych.

ZASKAKUJĄCY ZWROT

Tę wspaniale rozwijającą się aktywność Mościckiego przerwał zupełnie dla wszystkich zaskakujący, a dla niego samego najbardziej, wybór na prezydenta Polski. Podobno był przerażony i zamierzał odmówić, a do zmiany decyzji zmusił go telefon Piłsudskiego do jego żony, która użyła stosownych argumentów. Jak było naprawdę, trudno ustalić.

Zaprzysiężony został 4 czerwca 1926 r. i pozostał na tym stanowisku do końca II Rzeczypospolitej. Ocena jego prezydentury bywa różna – nikt nie ma wątpliwości, że był zasadniczo narzędziem w ręku Piłsudskiego i realizował całkowicie politykę Marszałka. Po początkowym zagubieniu w świecie polityki, wkrótce odnalazł się w niej i zadomowił na dobre. Funkcje reprezentacyjne spełniał zresztą zasadniczo bardzo sprawnie. Postawny, przystojny, na dyplomatach robił podobno czarujące wrażenie.

Ale tak naprawdę nigdy nie rozstał się z chemią. Po pierwsze, jako prezydent wspierał rozwój stworzonego przez siebie przemysłu. Po drugie zaś jako wykładowca i fundator wielu stypendiów pozostawił licznych, doskonale wykształconych następców. Dość wspomnieć, że w dorobku ChIB znajduje się dziś blisko 2 tys. patentów i setki oryginalnych technologii stosowanych na całym świecie.

Zmarł w 1946 r. w szwajcarskim Versoix. ●

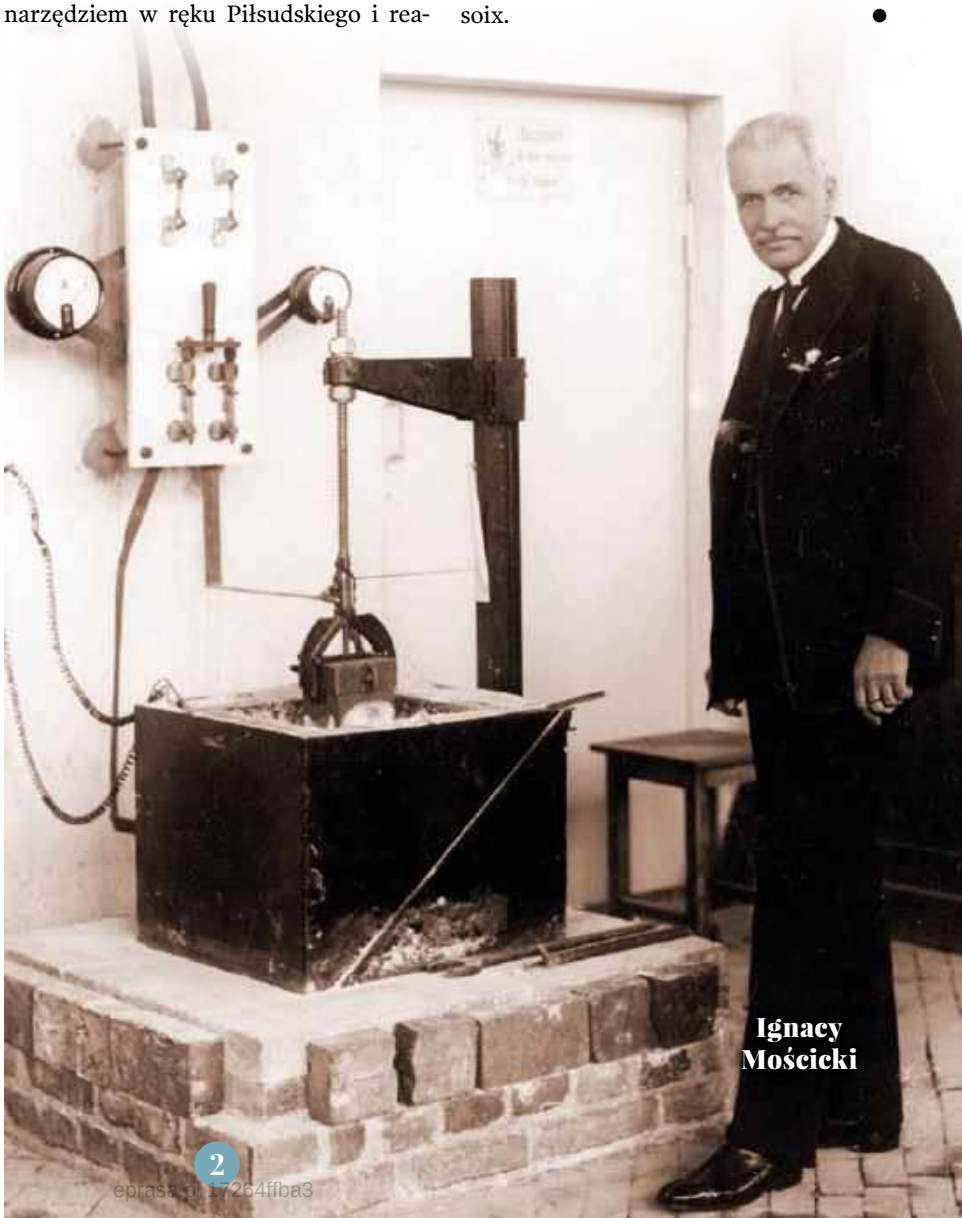

Ignacy Mościcki

Fot. NAC

eprasa.pl 17264ffba3

Woda i prąd

Młody Gabriel Narutowicz zelektryfikował sporą część Europy: od Włoch przez Szwajcarię po Hiszpanię. Polski nie zdążył…

16 grudnia 1922 r. Gabriel Narutowicz zginął, zastrzelony przez zamachowca w gmachu warszawskiej Zachęty. Ryzyko istniało, ale... Widział na ulicach manifestacje tępego nacjonalizmu, a wiedząc już o zamachu Mussoliniego we Włoszech, zdawał sobie sprawę, jak bardzo może być zagrożony. Uznał jednak, że skoro zdecydował się przyjąć nominację na prezydenta Rzeczypospolitej – pierwszego po odzyskaniu niepodległości – przyjmie ją z całym bagażem. Nie mógł się wycofać.

Miał 57 lat. Politykiem nie był. Jego dotychczasowe życie było pod wieloma względami zbliżone do życia Ignacego Mościckiego – byli zresztą niemal rówieśnikami i znali się nieźle z czasów pobytu w Szwajcarii. Kim był Narutowicz? Przede wszystkim wybitnym naukowcem, hydrotechnikiem i elektrykiem o światowej już wówczas renomie.

SZWAJCARSKIE SZLIFY

Urodził się w majątku na Żmudzi, nic więc dziwnego, że kiedy przyszedł czas wyboru studiów, postawił na Petersburg. Z kierunkiem nie miał problemu. Od dawna wiedział, że jest umysłem ścisłym, wybrał więc matematykę i fizykę. Potem uczył się na politechnice w Zurychu. Po studiach zdecydował się pozostać w Szwajcarii. Raz, że miał tutaj znacznie lepsze widoki na pracę. Dwa, że nie mógł wrócić do kraju, bo często pomagał i udzielał schronienia członkom polskiej socjalistycznej konspiracji i zaborcze władze doskonale o tym wiedziały. On sam socjalistą raczej nie był, ale ówcześni socjaliści mieli na swoich sztandarach również niepodległość Polski, a to już Narutowiczowi bardzo odpowiadało. Ale sam w działalność polityczną się nie angażował.

Początkowo pracował przy regulacji Renu, a niektóre jego projekty zdobywały nagrody nawet na Światowej Wystawie w Paryżu już w 1896 r. Miał wówczas zaledwie 30 lat, dopiero skończył studia, jego doświadczenie w zawodzie było więc bardzo niewielkie. Szwajcarzy jednak docenili dobrze rokującego młodego Polaka. Zaczęto powierzać mu coraz bardziej odpowiedzialne zadania. Wkrótce stał się jednym z największych ekspertów od budowy hydroelek-

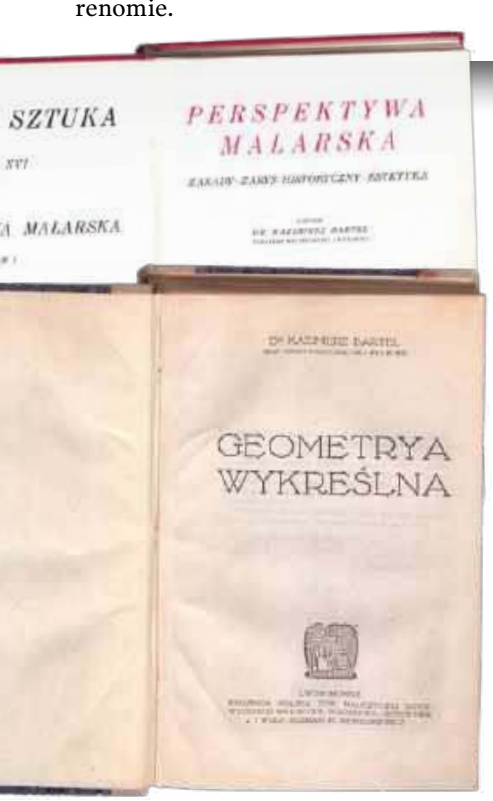

Z perspektywy premiera

Był pięciokrotnym premierem Polski, ale też matematycznym geniuszem. Postać Kazimierza Bartla jest ściśle związana z kręgiem lwowskiej szkoły matematycznej

Byli ekscentryczni. Największe zagadnienia światowej matematyki rozwiązywali przy wtórze jazzowego big-bandu, obficie racząc się koniakiem i wypalając mnóstwo papierosów. Bardzo często do późna w nocy, a wyniki trafiały później do jednego z najważniejszych na świecie czasopism „Studia Mathematica". Stefan Banach, Stanisław Ulam, Hugo Steinhaus – to najgłośniejsze nazwiska z tego kręgu. Ich równorzędnym kompanem, ale też dobrym duchem, który jakoś trzymał w ryzach to osobliwe towarzystwo, był właśnie Kazimierz Bartel.

GEOMETRIA POLITYCZNA

Profesorem geometrii wykreślnej został w 1913 r., kiedy miał zaledwie 31 lat. Ale były to czasy zbyt niespokojne, by młody geniusz mógł rozwinąć skrzydła. Najpierw wcielono go do armii austro-węgierskiej, później, w 1919 r., brał udział w walkach polsko-ukraińskich, a następnie zajmował się kolejnictwem przy Sztabie Generalnym. I prawdopodobnie właśnie to ostatnie zadecydowało, że został politykiem – aż do 1922 r. w kilku kolejnych rządach był ministrem kolejnictwa. Polityka wciąga. Potem był posłem na Sejm, od 1926 r. zaś pięciokrotnym premierem Polski. Być może jego wrażliwość geometryczna miała jakiś wpływ na politykę wewnętrzną, bo powstał wówczas termin „bartlowanie", oznaczający łagodzenie sporów miedzy Sejmem a obozem belwederskim. Bartel cenił równowagę i harmonię.

Matematyką zajmował się cały czas, ale do aktywności naukowej powrócił dopiero w 1930 r., kiedy został rektorem Politechniki Lwowskiej, a przy okazji doktorem honoris causa tej uczelni. Najważniejszą opublikowaną wówczas jego pracą była „Perspektywa malarska", analizująca to zagadnienie pod kątem matematycznym. To pierwsza tego rodzaju publikacja na świecie. „W tym celu studiował włoskie szty-

eprasa.pl 17264ffba3

trowni. Jego prace, m.in. w Sankt Gallen, Andelsbuch czy przy ogromnej elektrowni w Muhlbergu, sprawiły, że szybko zyskał opinię człowieka, który zelektryfikował Szwajcarię. Nic więc dziwnego, że już w 1907 r. został profesorem na swojej macierzystej uczelni, a w latach I wojny światowej był jej dziekanem.

Przede wszystkim był jednak praktykiem, i to już o międzynarodowej renomie. Budował we Francji na rzece Doubs, we Włoszech na nurcie Dory Beltei, a także na Rio Guadiaro w Hiszpanii.

POLSKA WZYWA

W czasie I wojny światowej działał nie tylko dydaktycznie. Był wówczas obywatelem Szwajcarii, nie uczestniczył więc w działaniach wojennych, ale bardzo czynnie angażował się w pomoc dla Polaków. Kiedy pojawiły się widoki na odzyskanie niepodległości, zaczął z coraz większą uwagą śledzić politykę. Nic więc dziwnego, że kiedy w 1919 r. odwiedził go Ignacy Mościcki i z polecenia Piłsudskiego namawiał do powrotu do kraju, zgodził się bez większych oporów.

Początkowo został ministrem robót publicznych w rządzie Władysława Grabskiego i funkcję tę pełnił tak sprawnie, że sprawował ją również w trzech kolejnych rządach. Zdążył być jeszcze dwukrotnie ministrem spraw zagranicznych. A gdy 11 grudnia 1922 r. pokonał innych kandydatów, został pierwszym prezydentem niepodległej Polski. Zginął pięć dni później.

Był w Polsce zbyt krótko, by wykazać się w dziedzinie hydroelektryki. Ale zamierzał. Wiadomo, że badał możliwości wykorzystania w tym zakresie Wisły na północ od Warszawy, myślał też o regulacji samej rzeki. ●

Spotkanie Józefa Piłsudskiego z prezydentem Narutowiczem w Belwederze, 10 grudnia 1922 r.

Fot. NAC

chy i obrazy" – wspominał później Steinhaus.

Natomiast autor znakomitej monografii lwowskich matematyków Mariusz Urbanek zauważa: „Bez pomocy Bartla lwowskim matematykom byłoby o wiele trudniej. Jeszcze jako premier załatwił im kolejowe bilety pierwszej klasy, bezpłatne i na okaziciela. Dzięki temu mogli zapraszać do Lwowa największych, nie płacąc za ich podróż. Przyjeżdżali Henri Lebesgue, węgierski geniusz matematyczny John von Neumann, Niemiec Ernst Zermelo, Amerykanin Morgan Ward". Rzecz jasna korzystali na tym również oni sami, wyjeżdżając gratis na przeróżne konferencje europejskie i prezentując polską matematykę na całym kontynencie.

ODMOWA

Wybuch II wojny światowej początkowo nie był dla lwowskich matematyków dramatem. W odróżnieniu od nauk humanistycznych Sowieci cenili ścisłe jako te dające się wykorzystać w przemyśle. Do 1941 r. żyli oni stosunkowo bezpiecznie, ciesząc się nawet pewnym prestiżem okupacyjnych władz. Po ataku Niemiec sytuacja zmieniła się drastycznie. Wytępienie polskiej inteligencji stało się jednym z podstawowych założeń nowych okupantów, a Bartel – jako znany polityk – znalazł w sytuacji podwójnie tragicznej.

Steinhaus ukrył się na wsi, Ulam w ostatniej chwili wyjechał do USA, gdzie pracował m.in. przy projekcie Manhattan, którego efektem było powstanie bomby atomowej, Banacha ocaliło zatrudnienie w roli karmiciela wszy w Instytucie Badań nad Tyfusem Plamistym i Wirusami prof. Rudolfa Weigla – Austriaka, ale Polaka z wyboru, który w ten sposób ocalił wielu.

Bartel nie miał tyle szczęścia. Niemcy aresztowali go niemal natychmiast. Przedstawili propozycję stworzenia kolaboranckiego rządu polskiego, a przy okazji zapytali podobno, dlaczego nie uciekł z Rosjanami. Propozycję odrzucił, a na pytanie odpowiedział, że nie ma zwyczaju uciekać. Dlatego pozostał we Lwowie. Rozstrzelano go w nocy z 25 na 26 lipca 1941 r. ●

Wojciech Lada

Fot. Biblioteka Narodowa x3

eprasa.pl 17264ffba3

Od transformacji energetycznej nie ma już odwrotu

Fot. Andrzej Wiktor

Polski sektor energetyczny w 2050 r.? Trzy elektrownie jądrowe pracujące w podstawie i reszta z OZE. Bez węgla... – o transformacji energetycznej i nowej strategii mówi ***Wojciech Dąbrowski***, prezes PGE Polskiej Grupy Energetycznej SA, w rozmowie z Michałem Karnowskim i Maciejem Wośką („Gazeta Bankowa")

PGE – największa spółka energetyczna w Polsce – ogłosiła nową strategię i zapowiedziała, że do 2050 r. będzie neutralna klimatycznie, a 100 proc. energii dla klientów będzie pochodzić ze odnawialnych źródeł. Czy PGE musiała ogłosić nową strategię?

Wojciech Dąbrowski: Ogłaszając strategię, wychodzimy naprzeciw oczekiwaniom naszych klientów, którzy chcą energii produkowanej w sposób przyjazny dla otoczenia. Przywiązują wagę do ochrony środowiska i czystego powietrza. W związku z tym PGE zamierza osiągnąć w 2050 r. neutralność klimatyczną, co oznacza brak emisji CO_2 i 100 proc. produkowanej energii ze źródeł odnawialnych. To jest ten moment w otoczeniu gospodarczym – wynikający z regulacji Unii Europejskiej, z wyzwań, które stoją przed polską energetyką – aby podjąć strategiczne decyzje zmierzające do głębokiej transformacji.

Co z węglem?

Od transformacji nie ma już odwrotu i to, że będziemy odchodzili od węgla, jest oczywiste. PGE jest największym producentem energii w Polsce – ponad 40 proc. energii elektrycznej pochodzi z naszych źródeł. Nasza koncepcja transformacji Grupy polega m.in. na wydzieleniu aktywów

eprasa.pl 17264ffba3

węglowych do odrębnego podmiotu, który będzie zależny w 100 proc. od skarbu państwa i zapewni podstawy bezpieczeństwa energetycznego kraju. W tym czasie Grupa PGE, bez aktywów węglowych, będzie mogła rozwijać się w kierunku inwestycji w źródła odnawialne. To przede wszystkim farmy wiatrowe na Bałtyku, farmy na lądzie, fotowoltaika i magazyny energii. Tak widzimy Grupę PGE w 2050 r. Już w najbliższych 10 latach przeznaczymy na te inwestycje 75 mld zł. Chcemy, żeby na tym skorzystały polskie firmy.

W przypadku inwestycji w farmy morskie offshore tych kompetencji polskim firmom wciąż brakuje.

Musimy się uczyć. W pierwszej fazie programu offshore Grupy PGE, w inwestycjach Baltica 2 i Baltica 3, będziemy współpracować z partnerem zagranicznym – największym koncernem działającym na świecie w tej dziedzinie, firmą Oersted. Wierzę, że do końca roku zakończymy negocjacje i będziemy współpracować zarówno przy budowie, jak i przy serwisie naszych farm. Ale dlatego właśnie informujemy już dzisiaj, jakie przetargi będziemy ogłaszali za rok, dwa, żeby polskie firmy mogły się przygotować i budować kompetencje, konsorcja i uczestniczyć w tym potężnym procesie, znaleźć się na tym ogromnym placu budowy.

75 mld zł na inwestycje w ciągu dziesięciu lat. To potężna kwota, która świadczy o wielkiej zmianie na rynku elektroenergetycznym.

Tak, to zmiana o 180 stopni, bo będą to inwestycje w nisko- i zeroemisyjne aktywa. Warto też podkreślić, że inwestycje w energetyce planuje się długoterminowo. Musimy tak planować, aby zapewnić bezpieczeństwo energetyczne Polsce. Wiemy już, że dopóki w aktywach Grupy będą elementy konwencjonalnej energetyki, banki, fundusze i ubezpieczyciele nie będą chcieli udzielać wsparcia ani finansować nowych inwestycji.

O tym informował pan, przejmując stery PGE w lutym tego roku, o konieczności wydzielenia aktywów węglowych z PGE, a następnie, że spółce grozi upadłość, jeśli do zmian nie dojdzie. W jakim punkcie PGE jest teraz?

To wynika z otoczenia i warunków rynkowych. W 2020 r. za uprawnienia CO_2 zapłacimy w Grupie PGE 6 mld zł. Jeszcze kilka lat temu było to 1,2 mld zł. To są pieniądze, które moglibyśmy przeznaczyć przecież na inwestycje. W jakim punkcie jesteśmy teraz? Teraz ogłaszamy nową strategię i mamy konkretny plan dla Grupy.

> Bałtyk jest płytkim morzem z dobrą wietrznością. To daje odpowiednie warunki do rozwoju morskich farm wiatrowych. PGE ma trzy obszary koncesyjne na wysokości Ustki i Łeby. Dzisiaj jesteśmy bardzo zaawansowani w przygotowaniach do budowy farm

Tak, ale do tej pory szukaliśmy sposobów na zmniejszenie kosztów, szukaliśmy innowacyjnych, czystych technologii węglowych.

Zgazowanie węgla jest bardzo drogie, to wciąż technologia w fazie prób. Wodór to daleka przyszłość. Oczywiście przygotowujemy się do tego, by np. elektrownię Dolna Odra, która ma stabilizować dostawy energii w północno-zachodniej Polsce, dostosować do korzystania z wodoru. Ale to gaz pozostaje głównym paliwem.

Ale odnawialne źródła energii dotychczas też były drogie i w naszych warunkach klimatycznych, geograficznych niezwykle chimeryczne. Tak czy inaczej, OZE były droższe od węgla.

Tak, ale politycy unijni wykonali swoją pracę i ceny za uprawnienia emisji CO_2 wzrosły. Węgiel był rentowny, gdy uprawnienia kosztowały 5 euro, dzisiaj CO_2 kosztuje 30 euro, a prognozy wskazują, że ma kosztować 50–60 euro. Wtedy o spalaniu węgla nie będzie mowy z punktu widzenia ekonomicznego. Dylemat został rozwiązany. Wyjście z porozumień dotyczących emisji zanieczyszczeń, z europejskiego systemu handlu pozwoleniami na emisję CO_2, tzw. ETS, oznaczałoby de facto wyjście z Unii Europejskiej, a tego nie chcemy. Pozostaje transformacja.

Wycofanie większości instytucji i banków z finansowania inwestycji w firmach mających aktywa węglowe, wzrost cen uprawnień CO_2 – to jednak brzmi trochę jak zielony szantaż.

Jesteśmy elementem pewnego procesu gospodarczego. Jeśli chcemy, a przecież chcemy być w Unii Europejskiej, to konsekwencją jest transformacja energetyczna. Liczymy jednak na to, że Unia – chcąc odejść do 2050 r. od węgla – wesprze nas w finansowaniu transformacji. W naszej strategii zakładamy, że 25–50 proc. kosztów inwestycji będzie pochodziło z funduszy pomocowych, pożyczkowych, preferencyjnych i innych mechanizmów finansowych. Polska potrzebuje wsparcia w transformacji energetycznej i potwierdzają to unijni urzędnicy. Jeśli umiejętnie wykorzystamy tę sytuację, to transformacja może być kołem zamachowym dla całej polskiej gospodarki.

To, co jawi się jako szansa w naszej sytuacji, to farmy wiatrowe na Morzu Bałtyckim.

Bałtyk jest płytkim morzem z dobrą wietrznością. To daje odpowiednie warunki do rozwoju morskich farm wiatrowych. PGE ma trzy obszary koncesyjne na wysokości Ustki i Łeby. Mamy już decyzje środowiskowe,

eprasa.pl 17264ffba3

uruchomiliśmy przetarg na badania geologiczne dna morza i dzisiaj jesteśmy bardzo zaawansowani w przygotowaniach do budowy. Będziemy występowali o kolejne koncesje, także z innymi spółkami skarbu państwa.

Atom? To pytanie pada zawsze, gdy mówimy o energetyce w Polsce. Pytamy o projekt budowy sieci elektrowni z małymi reaktorami, jaki pojawił się w dyskusji na temat energetyki atomowej.

Naszym zdaniem sensowne jest zbudowanie dwóch–trzech dużych elektrowni jądrowych w Polsce. Małe reaktory, o których panowie wspominacie, to technologia niepewna, wciąż badana i droga.

Tak jak z gazem łupkowym. Ta technologia przegrała w Polsce z kosztami wydobycia. A jak OZE przekładają się na koszty ponoszone przez odbiorców?

Rentowność energii z OZE wciąż wzrasta. Zakładając, że w domu płacimy średnio 500 zł netto za MWh, to 130 zł w tym koszcie stanowią dziś opłaty za uprawnienia do emisji CO_2. W tym samym czasie technologia OZE przyspieszyła. Powstają nowoczesne turbiny, wiatraki o coraz większej wydajności i niższej awaryjności, zatem koszt jednostkowy OZE spada.

Pozostaje pytanie o magazynowanie energii.

Faktycznie magazynowanie jest wciąż bardzo drogie, ale już wkrótce wielkoskalowe magazyny będą nieodzownym elementem stabilizacji systemu energetycznego opartego na OZE. Dzisiaj baterie litowo-jonowe w makroskali mają określoną żywotność, ale ta technologia rozwija się niezwykle szybko, a mówimy wciąż o perspektywie 20–30 lat. Moim zdaniem przyszłością mogą być mniejsze magazyny przydomowe w ramach energetyki prosumenckiej.

Pytamy o odbiorców, bo w dotychczasowej strategii PGE mocno koncentrowała się na kliencie końcowym, na usługach dostarczanych razem z prądem.

Fot. Andrzej Wiktor

Przed nami wciąż ogromne wyzwanie dostosowania kompleksowej oferty do klienta. Dzisiaj odbiorca chce mieć ciepło, prąd, dodatkowe usługi – choćby komfort sterowania zużyciem energii w domu ze smartfona. Dostosowane do indywidualnych potrzeb elastyczne usługi i ich cyfryzacja to nasze zadanie na przyszłość.

Ale klienci biorą sprawy w swoje ręce, samodzielnie produkując energię. Obserwujemy skokowy wzrost zainteresowania fotowoltaiką prosumencką.

Rynek się zmienia. Klienci są coraz bardziej świadomi i wymagający. Chcą także aktywnie uczestniczyć w transformacji energetycznej. PGE zamierza im to umożliwić. Zgodnie z nową strategią chcemy oferować nowoczesne usługi energetyczne i współpracować w ramach energetyki prosumenckiej.

Grupa PGE to też swoisty alians wolnorynkowy skarbu państwa i udziałowców, akcjonariuszy. Czy pana zdaniem daje się pogodzić interesy państwa i biznesu?

To współgra. Najważniejsze jest bezpieczeństwo energetyczne i zapewnienie polskiej, konkurencyjnej cenowo, energii dla naszej gospodarki. Dla przykładu – w krajach Europy Zachodniej ciężar transformacji energetycznej został przerzucony na społeczeństwo. W efekcie tamtejsi odbiorcy płacą za energię dużo więcej niż Polacy. Nie chcemy do tego dopuścić. Dlatego harmonijnie musimy dochodzić do transformacji. Największym udziałowcem PGE jest minister aktywów państwowych, wykonujący prawa z akcji skarbu państwa. Ale między realizowaniem patriotyzmu gospodarczego a robieniem biznesu nie ma dysonansu. To jest zbieżne i tym kierujemy się w naszej pracy. Wszyscy jesteśmy pośrednio właścicielami PGE. Musimy przeprowadzić transformację i dostosować PGE do nowych realiów, żeby nie kupować energii za granicą.

Były takie projekty. Choćby most energetyczny z Kaliningradem.

To byłby kierunek zwiększania uzależnienia. Dzisiaj się cieszę, że możemy realizować strategię uniezależnienia się od zewnętrznych dostawców, dywersyfikacji dostaw gazu i energii. To daje nam wolność i bezpieczeństwo.

To jak będzie wyglądał polski sektor energetyczny w 2050 r.?

Trzy elektrownie jądrowe pracujące w podstawie i reszta z OZE. Bez węgla, za to z dużym udziałem energetyki prosumenckiej – pompy ciepła, fotowoltaika i mniejsze, przydomowe magazyny energii.

eprasa.pl 17264ffba3

Polacy inwestują w fotowoltaikę

Branża fotowoltaiki (PV) przeżywa od kilku lat w Polsce istny boom. Nie ma wątpliwości, że w krótkim czasie to właśnie ogniwa fotowoltaiczne staną się najbardziej znaczącym źródłem tzw. czystej energii. Niewątpliwie dużą zasługą dynamicznego wzrostu branży PV w naszym kraju są rządowe programy, w ramach których możemy liczyć na zwrot poniesionych kosztów zakupu instalacji fotowoltaicznej

Do najpopularniejszych programów należy „Mój prąd", w ramach którego otrzymujemy zwrot poniesionych kosztów do 50 proc., ale nie więcej niż 5 tys. zł. Na tę formę dofinansowania mogą liczyć osoby fizyczne, które decydują się na montaż instalacji o mocy od 2 do 10 kW. Dane wskazują, że w Polsce już ponad 85 tys. gospodarstw domowych otrzymało pozytywną decyzję o zwrocie części kosztów poniesionych na tę właśnie formę wytwarzania energii elektrycznej.

W rozwój fotowoltaiki angażują się także największe polskie firmy, których potencjał pozwoli na przyspieszenie zmiany profilu energetycznego naszego kraju, co będzie jednym z największych wyzwań w najbliższych latach.

„Fotowoltaika jest już najtańszym źródłem energii w historii. Efektywność kosztowa OZE [odnawialnych źródeł energii – dop. red.] stale rośnie, dlatego konsekwentnie rozwijamy segment energetyki PKN Orlen oparty o czyste technologie" – to jeden z najświeższych tweetów Daniela Obajtka, prezesa PKN Orlen.

Dynamiczny wzrost rynku fotowoltaiki przynosi jednak także nowe wyzwania, do których należy przede wszystkim ustandaryzowanie przesyłu energii z mikroinstalacji i stworzenie z nich jednego, dobrze skomunikowanego i efektywnego systemu. Trudno sobie bowiem wyobrazić, że przy rozwoju mikroinstalacji na masową skalę stosowane będą różne systemy komunikacji między instalacjami a operatorami sieci dystrybucyjnych.

Organizacją skupiającą firmy branży fotowoltaicznej na świecie oraz opracowującą standardy w tym obszarze jest Sunspec Alliance. Zrzesza ponad 100 podmiotów z całego świata, reprezentujących branżę energii słonecznej i rozproszonej. Stilo Energy to pierwsza, i jak dotychczas jedyna, polska firma z branży fotowoltaicznej, która dołączyła do Sunspec Alliance.

– Obserwując ewolucję branży PV na rynku amerykańskim, który dziś jest w fazie dojrzałości, widzimy, że jednym z kluczowych elementów, niezbędnych do utrzymania bezpieczeństwa systemu energetycznego, jest skuteczne zarządzanie rozproszonymi jednostkami wytwarzającymi energię elektryczną. Za popularyzacją zielonej energii musi pójść rozwój technologii w zakresie jej magazynowania, zarządzania przesyłem etc. Dynamiczny rozwój branży, który w tej chwili obserwujemy w Polsce, to zarówno wyzwanie, jak i szansa na to, aby usprawnić system energetyczny oraz obniżyć koszty zarządzania energią. Dlatego szybka implementacja najlepszych praktyk i standardów, jakie bez wątpienia oferuje Sunspec, oraz budowanie świadomości wśród wszystkich graczy na młodym polskim rynku, pozwolą nam na szybsze dojście do fazy dojrzałości oraz uniknięcie błędów popełnianych w innych krajach – mówi Piotr Siudak, prezes Stilo Energy SA.

Celem Sunspec Alliance jest zmniejszenie kosztów, promowanie innowacji i przyspieszenie rozwoju fotowoltaiki poprzez wypracowanie i przyjęcie wspólnych standardów informacyjnych zapewniających kompatybilność systemów PV. Standardy Sunspec dotyczą funkcjonowania elektrowni słonecznych i magazynów energii w inteligentnych sieciach – w tym systemów mieszkaniowych, komercyjnych i na skalę użytkową.

Fot. Shutterstock

Dodatkowe 100 mln zł na „Mój prąd"

Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej przyjmuje średnio tysiąc wniosków dziennie o dofinansowanie zakupu i montażu domowej instalacji fotowoltaicznej. Jak informuje portal WysokieNapiecie.pl, do 16 października Polacy złożyli ok. 174 tys. wniosków o takie dopłaty o sumarycznej mocy 973,6 MW, kosztujących łącznie 4,6 mld zł. Wynosząca 2 mld zł pula w programie „Mój prąd" może się wyczerpać już za miesiąc, ale wiele wskazuje na to, że zostanie powiększona przez NFOŚiGW o kolejne 100 mln zł, co pozwoli przedłużyć przyjmowanie wniosków do 18 grudnia i dofinansować zakup fotowoltaiki dla kolejnych 20 tys. rodzin.

eprasa.pl 17264ffba3

Nagrody „Polskiego Kompasu" przyznane

Ekonomiczne podsumowanie minionego roku, ale także zapowiedź trendów i zmian, które czekają polską gospodarkę w najbliższym czasie – to najkrótsza recenzja tegorocznego rocznika instytucji finansowych i spółek akcyjnych – „Polskiego Kompasu" wydawanego przez Grupę Medialną Fratria. Rocznik dostępny jest już w sieci, czas na coroczne nagrody – Polskie Kompasy

Laureatem Polskiego Kompasu 2020 został Jacek Sasin, wicepremier, minister aktywów państwowych

Fot. Andrzej Wiktor x6

Ten rok jest nietypowy. Uroczystość wręczenia nagród również była nietypowa – w większości hybrydowa, łącząca klasycznie elegancką formułę z najnowszą technologią, w poszanowaniu rygoru sanitarnego, by ograniczyć fizyczną obecność gości i laureatów w jednym miejscu i w tym samym czasie do absolutnego minimum. Jedno jest niezmienne, a mianowicie, że dzięki autorom, których udało się zaprosić do współtworzenia rocznika „Polskiego Kompasu", ma on ogromną merytoryczną wartość.

368 STRON, 110 TEKSTÓW, 104 AUTORÓW

„Polski Kompas" w ciągu sześciu lat stał się ważną i oczekiwaną publikacją na polskim rynku wydawnictw gospodarczych i ekonomicznych. Rocznik instytucji finansowych i spółek akcyjnych jest co roku okazją do podsumowania działań podejmowanych przez rząd i uczestników rynku, a także – a może przede wszystkim – prognozą, swoistym drogowskazem i zapowiedzią wydarzeń w kolejnym roku.

– „Polski Kompas 2020" to 368 stron zawierających 110 tekstów 104 autorów. O wadze tekstów w nim zawartych świadczą ich znakomici autorzy, a wśród nich: prezes Rady Ministrów, trzech obecnych i byłych wicepremierów, 23 obecnych i byłych ministrów, wiceministrów i sekretarzy stanu, trzech urzędników i doradców Kancelarii Prezydenta RP oraz parlamentarzystów, ośmiu prezesów i wiceprezesów urzędów centralnych, 16 profesorów ekonomii i zarządzania największych polskich uczelni, w tym rektor Uniwersytetu Warszawskiego, oraz 46 prezesów, wiceprezesów i szefów rad nadzorczych największych polskich firm państwowych i prywatnych, w tym 12 prezesów oraz członków zarządów banków i firm ubezpieczeniowych – wylicza Maciej Wośko, redaktor naczelny „Gazety Bankowej", portalu wGospodarce.pl. – Nie będzie zatem nietaktem stwierdzenie, że nie ma drugiej takiej publikacji na polskim rynku wydawniczym – podkreśla Wośko.

POLSKI KOMPAS 2020 DLA WICEPREMIERA

Nagrody „Polskiego Kompasu" przyznawane są osobom i firmom, które w sposób szczególny przyczyniły się do rozwoju gospodarczego Polski. Polski Kompas 2020 otrzymał Jacek Sasin, wicepremier i minister aktywów państwowych, za udowodnienie, że patriotyzm gospodarczy oznacza przede wszystkim sprawne podejmowanie odważnych i bezkompromisowych decyzji oraz działań, których celem nadrzędnym jest bezpieczeństwo kraju i obywateli, a także rozsądne

eprasa.pl 17264ffba3

Polski Kompas dla British American Tobacco Polska za tworzenie w Polsce centrum biznesowego opartego na inwestycjach w najnowsze technologie, co oznacza lepsze jutro nie tylko dla konsumentów, ale i polskiej gospodarki, odebrał Roman Jamiołkowski, dyrektor ds. korporacyjnych na Polskę i kraje bałtyckie BAT

Polski Kompas dla Grupy Lotos SA za optymalne wykorzystywanie pozycji rynkowej w poszukiwaniu innowacyjnych, zielonych technologii w produkcji paliw – także paliw alternatywnych, oraz za odwagę w przystąpieniu do tworzenia polskiego koncernu multienergetycznego otrzymał prezes Grupy Lotos, Paweł Jan Majewski

Polski Kompas za efektywne instrumenty wsparcia rozwoju polskich przedsiębiorstw oraz za odwagę w budowaniu finansowej części projektu Trójmorza otrzymuje Bank Gospodarstwa Krajowego i prezes Beata Daszyńska-Muzyczka

Polski Kompas dla Polskiego Górnictwa Naftowego i Gazownictwa SA – za skuteczną, pełną determinacji walkę o prawa polskiego koncernu gazowego na europejskim rynku oraz aktywność w budowaniu niskoemisyjnej gospodarki trafił w ręce prezesa PGNiG, Jerzego Kwiecińskiego

łączenie w polityce antycovidowej zachowania bezpieczeństwa pracowników i utrzymania gospodarki.

Jak ocenił, wręczając nagrodę, Michał Karnowski, członek zarządu Grupy Medialnej Fratria, publicysta tygodnika „Sieci" i portalu wPolityce.pl, wicepremier Jacek Sasin dobrze i trafnie prognozuje wyzwania, wskazuje zagrożenia najbliższych miesięcy. – Przekonaliśmy się też po raz kolejny, jakie znaczenie ma skarb państwa i jak mogą nam pomóc spółki skarbu państwa. Nie trzeba dodawać, jak wiele zachowanych miejsc pracy zawdzięczamy także tym działaniom, tej pomocy i tej zorganizowanej akcji – mówił Michał Karnowski.

– Kiedy rok temu spotykaliśmy się na gali, nie mogliśmy przewidzieć, że najbliższy czas będzie tak niezwykły, tak trudny, pełen wyzwań, który zweryfikuje tak wiele lat debat i myślenia o gospodarce – ocenił, odbierając nagrodę, Jacek Sasin. – Przez wiele lat Polacy byli trzymani w przeświadczeniu, że państwo nie ma swojej roli w gospodarce, że kapitał nie ma narodowości, że każda własność państwa w gospodarce to relikt minionej epoki i powinno to być z gospodarki wyrugowane. Ten rok pokazał, że to niewłaściwe myślenie. Rząd Prawa i Sprawiedliwości i jego polityka udowadniają, że polska własność i polski kapitał pełnią najważniejszą rolę dla bezpieczeństwa Polaków. To najwięksi przedstawiciele polskiego kapitału, polskie spółki w takich sytuacjach, z jakimi borykamy się dzisiaj, pokazały, że mogą być skutecznym narzędziem dla państwa w walce z koronawirusem. To one były pierwszymi, które przestawiały swoją produkcję na coś tak mało dochodowego, mogło się wydawać, jak maseczki, płyn do dezynfekcji, czyli to, co miało chronić życie Polaków. Potem ruszyły zakupy sprzętu, maseczek, które nie mogłyby być zrealizowane, gdyby nie szybkie działania spółek skarbu państwa, które mają swoje kontakty handlowe na całym świecie – dodał wicepremier.

Wyróżnienie Polskiego Kompasu 2020 otrzymał Prezes Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów, Tomasz Chróstny za twarde egzekwowanie prawa wobec rosyjskiego molocha oraz reaktywację etosu i siły sprawczej polskiego urzędnika

KOMPASY DLA FIRM

Polski Kompas za efektywne instrumenty wsparcia rozwoju polskich przedsiębiorstw oraz za odwagę w budowaniu finansowej części projektu Trójmorza otrzymał na ręce prezes Beaty Daszyńskiej-Muzyczka Bank Gospodarstwa Krajowego. Laureatem nagrody Polski Kompas został też British American Tobacco Polska, a nagrodę odebrał Roman Jamiołkowski, dyrektor ds. korporacyjnych na Polskę i kraje bałtyckie BAT. Nagrodę otrzymały również Grupa Lotos SA za optymalne wykorzystywanie pozycji rynkowej w poszukiwaniu innowacyjnych, zielonych technologii w produkcji paliw – także paliw alternatywnych, oraz za odwagę w przystąpieniu do tworzenia polskiego koncernu multienergetycznego, oraz Polskie Górnictwo Naftowe i Gazownictwo SA – za skuteczną, pełną determinacji walkę o prawa polskiego koncernu gazowego na europejskim rynku oraz aktywność w budowaniu niskoemisyjnej gospodarki.

Specjalne wyróżnienie przyznano w tym roku Tomaszowi Chróstnemu, prezesowi Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów, za twarde egzekwowanie prawa wobec rosyjskiego molocha oraz reaktywację etosu i siły sprawczej polskiego urzędnika. 7 października prezes UOKiK nałożył ponad 29 mld zł kary na Gazprom i ponad 234 mln zł na pięć pozostałych spółek uczestniczących w budowie Nord Stream 2. Te kary to skutek braku zgody Urzędu na transakcję Nord Stream 2.

Maksymilian Wysocki

eprasa.pl 17264ffba3

BEATA SCHIMSCHEINER AKTORKA

Nie ma jak pyszne wspomnienia

Najcudowniejsze są smaki dzieciństwa. Kiedy czujemy się szczęśliwi, zaopiekowani, gdy ktoś z myślą o nas gotuje. Wtedy wszystko smakuje lepiej.

Odkąd pamiętam, wakacje spędzałam na Lubelszczyźnie, u babci, która miała gospodarstwo, a w nim wszystko, co było potrzebne. Także pieczony na miejscu chleb i domowe masło, które pomagałam ubijać w maselnicy.

Do dziś mam przed oczami obrazek, na którym kuzyn kroi dla mnie pachnącą pajdę. Bochenek był spory, bo babcia takie robiła, ale w rączce pięcioletniego dziecka kromka wydawała się jeszcze większa, prawie jak patelnia. Na niej, na warstwie masła, leżały posypane solą grube plastry pomidora (zerwanego oczywiście z przydomowego ogródka). To było coś nieprawdopodobnie pysznego.

W liceum – czyli w latach 80. – zdarzało mi się jechać z plecakiem po mięso, które babcia sama przerabiała. Pamiętam, jak siedziałam pod olbrzymią pierzyną, a ona – żeby dogodzić wnuczce – przynosiła kanapkę z upieczonego przez siebie chleba, z szynką, którą sama upeklowała i uwędziła, z ukiszonymi przez nią ogórkami. Ślinka leci na to wspomnienie.

Wychowałam się na Śląsku, w tradycji niedzielnych obiadów, które u każdego wyglądały tak samo: rosół, rolada, kluski śląskie i czerwona kapusta. Jak się w porze obiadu przechodziło koło familoków, z każdego okna wydobywał się ten sam zapach.

Z dzieciństwa pamiętam też, pokrywający dno garnka, pysznie pachnący sos po roladzie. Widać w nim było ziele angielskie i liście laurowe. Wyjadałyśmy go z mamą, pomagając sobie kawałkami chleba.

W czasie studiów w krakowskiej PWST (między rokiem 1986 a 1990) po sobotnich zajęciach, jeśli tylko się udało, pędziłam na dworzec, by złapać pociąg do domu, do Katowic. Zawsze w biegu, głodna, bo w ciągu dnia brakowało czasu na jedzenie, mijałam po drodze budkę z zapiekankami. Jak sobie przypomnę urzędującą w niej panią i pieczarkową breję, którą kładła na bułkę... dziwię się, jak można było to jeść, ale wtedy smakowało rewelacyjnie.

Fot. Niemiec/AKPA

Kolejne lata w Krakowie to z kolei kuchnia mojej wspaniałej – miałam to szczęście – teściowej. Świetnie gotowała. Uwielbiałam towarzyszyć jej w kuchni. W roli, jak to określałam, „podkuchennej": byłam od krojenia, przekładania, mycia na bieżąco naczyń. Przed Wigilią potrafiłyśmy spędzić w kuchni cały dzień i całą noc. Bardzo dużo się od niej nauczyłam. To ona pokazała mi potrawy inne od tych, jakie znałam z domu, bardziej wykwintne. Dzięki niej poznałam m.in. smak kawioru, ale też rewelacyjnego karpia po żydowsku. Powtarzała: „Wielu podałam ten przepis, ale tobie jednej zdradzę, co zrobić, żeby nie był gorzki". Za jej sprawą wiem, do jakich efektów dążyć, gotując. Miałam najlepsze wzory.

Daniem, bez którego nie mogłyby się odbyć ani dawne, ani przyszłe Wigilie – oprócz pierogów ze słodką (tak, tak) kapustą i śląskich makówek – jest barszcz czerwony, który nazywamy w domu winkiem. Moja mama (która, podobnie jak babcia, gotowała świetnie) też robiła dobry, ale z zielem angielskim i liściem laurowym. Barszcz teściowej był czysty i kwaśno-słodki (dodawała do niego sporo cukru). Oczywiście zakwas był robiony w domu. Teraz też stoją u mnie dwa słoiki (przepis poniżej).

Na co dzień preferuję szybkie dania. Myślę, że Aniela z „Leśniczówki" również gotuje coś na szybko. Żeby mieć więcej czasu na inne sprawy. Także na spotkania z przyjaciółmi, bo przecież kawa wypita poza domem smakuje znacznie lepiej.

Pamiętam, jak w 1990 r. w podróż poślubną pojechaliśmy „maluchem" do... Paryża. Nie mogłam się nadziwić, co ci Francuzi widzą w siedzeniu przy ruchliwej ulicy, odwróceni w jej stronę i popijający kawę. Myślałam: „Jaka w tym przyjemność". Teraz już wiem jaka.

Jolanta Gajda-Zadworna

Zakwas buraczany

Wykonanie: Na kilogram buraków dodaję połowę marchewki, jedną pietruszkę, kawałeczek selera i jedną główkę czosnku. W wyparzonym słoju zalewam to osoloną przegotowaną i wystudzoną wodą (1 łyżka soli na litr wody). Buraki w słoiku powinny zajmować ok. 3/4 objętości. Dolewam jeszcze kieliszek zakwasu z poprzedniego kiszenia, zakręcam i odstawiam. Im dłużej postoi, tym jest bardziej esencjonalny (ważne: co jakiś czas odgazowuję, otwierając słoik).

Fot. Shutterstock

eprasa.pl 17264ffba3

SŁODKO-SŁONY

Nie oddamy żadnej pestki

ANNA MONICKA

Winogrona i aronie w tym roku średnio nam obrodziły, śliwka węgierka u ciotki zrzuciła wszystkie zawiązki owoców, orzech zastrajkował – zrobiło się za sucho, rośliny zamiast rodzić, przyczaiły się i najwyraźniej postawiły na przetrwanie.

Na szczęście nie wszystkie. Pigwowce jakoś zgrały się wiosną z pogodą oraz zapylaczami i gałązki miały dosłownie oblepione owocami. Zebraliśmy w sumie kilka kilogramów od nas, od rodziców, a także z wszelkich ogródków opuszczonych ruder, które odkryliśmy, chodząc na spacery z psem. Dawniej ludzie zamiast tuj sadzili jako żywopłoty drzewka i krzewy owocowe. Chociaż zdziczałe, wciąż dają owoce. Mąż z każdej przechadzki wraca z wypchanymi kieszeniami, a potem obiera, sieka i zasypuje cukrem. Słoje, jak w każdej porządnej wiejskiej chałupie, stoją u nas na wszystkich południowych parapetach, żeby słońce jak najdłużej pomagało dojrzewać sokom owocowym. Będą nalewki, konfitury do herbaty i, obowiązkowo, owoce do mięsa, bo cierpkie, pięknie pachnące pigwowce doskonale smakują z jasnymi i delikatnymi kurczakami, indykami czy polędwiczkami wieprzowymi.

– A co robicie z pestkami – zapytała nas ostatnio sąsiadka, która pomaga córce w matematyce, zerkając z szacunkiem na nasze zbiory. – Wyrzucamy, a co? – odpowiedziałam. – Bo mój mąż ani jednej nie straci. Robi na nich pyszną nalewkę. Dam wam przepis.

Wydawałoby się, że moja druga połowa wszystkie pigwowce w promieniu kilku kilometrów już ogołociła, ale gdy usłyszała o tych pestkach... Tak więc nastawiliśmy jeszcze pestkówkę. 15 dag nasion zalaliśmy syropem – zagotowaliśmy 250 ml wody z 250 g cukru (może być miód), ostudziliśmy, dolaliśmy 250 ml spirytusu (można dodać sok z cytryny) i do garażu z kolejnym słoikiem, bo ma naciągać w ciemnym miejscu. Wyjdzie z tego – zgodnie z zapewnieniem – likierek migdałowy, takie domowe amaretto. Będzie gotowe na święta... niestety, dopiero wielkanocne. Po miesiącu trzeba odcedzić i zostawić w spokoju na trzy, cztery miesiące, żeby się sklarował.

To się nazywa zero waste.

Fot. archiwum autorki, Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Tytoń

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Quauhyetl, cogioba, betum, yietl – to indiańskie nazwy najbardziej zabójczej rośliny świata – tytoniu.

Tytoń, roślina z rodzaju *Nicotiana*, występuje w kilkudziesięciu (być może nawet stu) gatunkach, pochodzących z różnych stron świata. Najczęściej tytoń kojarzony jest z kontynentem amerykańskim, skąd pochodzi tytoń szlachetny, czyli wirginijski, będący krzyżówką dwóch innych amerykańskich gatunków.

Słowo „tabaco", przywiezione do Europy przez hiszpańskich żeglarzy, jest efektem niezrozumienia. Indianie nazywali bowiem w ten sposób nie samą roślinę, lecz trzcinowe rurki, których używali do wdychania dymu tytoniowego. Natomiast łacińska nazwa rodzajowa *Nicotiana* pochodzi od Jeana Nicote'a de Villemain, francuskiego ambasadora w Portugalii, który sprowadził tytoń do Francji i rozpropagował jego użycie, początkowo w celach medycznych.

Niewiele roślin zrobiło tak wielką światową karierę jak tytoń, żadna inna natomiast nie jest przyczyną aż tylu zgonów. Każdego roku na skutek palenia tytoniu na świecie umierają miliony ludzi. Szkodliwość, a nawet zabójczość tej używki, jest niewątpliwa.

Jest jeszcze inny aspekt palenia. Każdego dnia około miliarda ludzi pracuje nad tym, żeby pokrywać powierzchnię naszej planety bardzo toksycznymi niedopałkami. Przemnóżmy to przez liczbę papierosów przypadających na palacza, później przez liczbę dni w roku, potem przez kolejne lata...

Ponieważ o szkodliwości palenia dla ludzi nie trzeba dziś przekonywać, przyznam, że tytoń był pretekstem, żeby napisać o jednym, najbardziej chyba zabójczym dla środowiska, zwyczaju. Wielu palaczy, kierując się bardzo źle pojętym poczuciem porządku, wyrzuca niedopałki do studzienek burzowych. Papieros owszem, znika z oczu, lecz jednocześnie rozpoczyna się najbardziej skuteczny proces rozprowadzania trucizn. Tym szkodliwszy, że wody opadowe, płynąc kanalizacją burzową, w zasadzie bez oczyszczenia trafiają prosto do rzek. Jak wielkie skażenie środowiska wodnego powodują papierosy, tego chyba nikt nie potrafi nawet oszacować. Biorąc jednak pod uwagę stężenie toksycznych substancji zawartych w jednym małym niedopałku, a także ich liczbę i ciągłość tego procederu, jest to gigantyczne, kumulujące się obciążenie środowiska.

eprasa.pl 17264ffba3

Zamiast nagonki, cenzury i pogardy

Jesienny wzrost wirusowych zachorowań był przewidywany, jak zawsze jest przewidywany, bo jest coroczną prawidłowością. Tym razem mamy także zwiększoną liczbę wykrytych zakażeń koronawirusem. Śmiertelność jest na tym samym poziomie co w latach ubiegłych.

Polski rząd, śladem tendencji światowej, wprowadza nowe obostrzenia, zarzekając się jednocześnie, że lockdownu wprowadzać nie chce, bo rozumie jego fatalne skutki społeczne. Premier Morawiecki nazywa to drogą środka, przy uniknięciu ekstremizmów zarówno tych, którzy chcą całkowitego lockdownu, jak i tych, którzy negują istnienie choroby COVID-19. Droga środka – brzmi dobrze. Ale najpierw wyznaczmy ów środek. Zgadzam się, że tych, którzy nie wierzą w istnienie koronawirusa czy covidu, poważnie traktować nie należy. Ale jest ich niewielu. Wirus SARS-CoV-2 istnieje, u kilku procent jego nosicieli powoduje chorobę COVID-19, która u kilku dziesiątych procent kończy się śmiercią. Tego nikt poważny nie kwestionuje.

Wielu jest natomiast takich, którzy mają wątpliwości co do obranej przez świat strategii daleko idących ograniczeń oraz ich negatywnych skutków. Powoływał się polski premier na „naukowy konsensus". Deklarację z Great Barrington, wzywającą rządy do wycofania się z ograniczeń dla zdrowych, gdyż powodują one druzgocące skutki społeczne i medyczne dla setek milionów ludzi, podpisało 11 tys. naukowców zajmujących się epidemiologią, wirusologią i zdrowiem publicznym oraz 30 tys. praktykujących lekarzy. Opublikowane w piśmie „Lancet", a polemizujące z ową deklaracją memorandum Johna Snowa podpisało 80 naukowców. Nie oceniam jakości argumentów po liczbie podpisów, ale to jednak ponad 100 razy mniej. Czy więc sytuację możemy nazwać naukowym konsensusem? Potrzebna jest otwarta debata. A udział w niej wziąć powinni wyłącznie naukowcy i lekarze, którzy nie pobierają żadnych grantów od koncernów zainteresowanych podsycaniem ogólnoświatowego strachu przed koronawirusem. Byśmy mieli pewność, że nie rozmawiamy ze sprzedawcami zachwalającymi towar pryncypała.

Tymczasem zamiast planów takiej – zdawałoby się w wolnym świecie oczywistej – debaty, na kwestionujących skalę ograniczeń wylała się w ostatnich tygodniach lawina pomyj, obelg, czasem już nienawiści. Dotykają ich działania cenzorskie. Działające wszak w USA firmy Facebook i Twitter posunęły się do ocenzurowania prezydenta USA, usuwając jego oparte na naukowych danych wypowiedzi, że w grupie wiekowej 0–24 grypa jest groźniejsza i bardziej śmiercionośna niż covid. A już doradca prezydenta USA prof. Scott Atlas z uniwersytetu Stanforda jest cenzurowany regularnie. Choćby jego dane, że z powodu lockdownu w minionym półroczu 2/3 chorych nie otrzymało chemioterapii, wykrywalność sześciu najbardziej śmiercionośnych nowotworów spadła o 46 proc., raka piersi o ponad 50 proc. Co to znaczy dla Polski, gdzie codziennie na raka umiera 300 osób? Gdzie – w okresie „pandemii" – umarło na raka ok. 70 tys. Polaków? Że wkrótce tylko na nowotwory umierać nas będzie o 46 proc. więcej? W takim samym okresie umrze nas więc na raka nie 70, ale 100 tys.?

W Polsce lewica zgłosiła pomysł, by za „kwestionowanie pandemii" wsadzać do więzienia na kilka lat. Nie dziwię się wcale, komuch tak właśnie lubi traktować inaczej myślących. Ale ta zaraza zaraża. Także, poza miotającą na rząd obelgi opozycją, trafiają się tacy, którzy nie chcą otwartej debaty toczonej na argumenty i posuwają się do obelg, stygmatyzowania, otwartych wezwań do cenzury. Do pogardy.

Coraz częściej stosowany jest też moralny szantaż typu: „Każdy, kto podważa istnienie pandemii, ma krew na rękach i ludzkie życie na sumieniu". To drastyczne obniżenie poziomu debaty albo raczej próba jej zablokowania. Wszak można ów szantaż odwrócić: „Każdy, kto podważa krótko- i długoterminowe fatalne zdrowotne i społeczne skutki lockdownu, jak przerwane kuracje, brak diagnostyki, niedostępność znacznej części ochrony zdrowia, jak stymulowanie przerażenia, bezradności i samotności potrzebujących medycznej pomocy, ten ma na sumieniu ludzkie życia". Specjaliści z kilkuset już ośrodków naukowych całego świata są zdania, że zmarłych z powodu lockdownu już jest, a na pewno będzie znacznie więcej niż zmarłych z powodu covidu. Zwłaszcza że z lubością napędzana przez media histeria jest powodem stresu, strachu i poczucia bezradności setek milionów ludzi. A to powoduje spadek ich odporności i – często – śmierć.

Proponuję więc, zrezygnujmy z miotania obelg, to prymitywne i świadczy o słabości. Nie licytujmy się też, kto więcej krwi ma na rękach. Wróćmy do języka rzeczowej rozmowy. Załóżmy, że wszystkie strony intencje mają dobre. Każde z rozwiązań poddawajmy pod otwartą, rzeczową, naukową, społeczną debatę – zanim je wprowadzimy. Jesteśmy przecież w swoim własnym domu, prawda?

Maciej Pawlicki

Reklama | 25/1020/F

eprasa.pl 17264ffba3

niedziela
TYGODNIK KATOLICKI OD 1926

WIARY GODNE MEDIA

ZAMÓW PRENUMERATĘ

Niedziela z dostawą do domu
dział kolportażu

TEL.: **34 324 36 45**

E-MAIL: **kolportaz.niedziela@niedziela.pl**

POCZTĄ: **Redakcja Tygodnika Katolickiego „Niedziela"**
ul. 3 Maja 12, 42-200 Częstochowa

niedziela.pl to:

tematy, którymi żyje Kościół w Polsce i na świecie
serwisy informacyjne
inspirujące artykuły na temat wiary i duchowości
codziennie nowe materiały multimedialne
szerokie grono odbiorców w mediach społecznościowych

WIARYGODNA STRONA INTERNETU

niedziela.pl

eprasa.pl 17264ffba3

To już kolejne pokolenia

Alina Czerniakowska

Sąd Najwyższy 16 września 2020 r. wydał uchwałę podważającą istotę dezubekizacji, a wydawałoby się, że ubecy zaakceptowali chociaż tę minimalną sprawiedliwość dziejową. Pamiętamy, jak wielki był sprzeciw, gdy rząd PiS podjął decyzję o zmniejszeniu ich wysokich emerytur, sięgających nawet powyżej 20 tys. zł. Nie chodzi tu tylko o tych, którzy orzekali, decydowali, mordowali polskich patriotów, bohaterów, takich jak generał Nil czy rotmistrz Pilecki, ale wszystkich, od zwykłego klawisza, sprzątaczki począwszy, wszystkich śledczych, sługusów zaprzedanych za przywileje, często za marny ochłap rzucany im przez komunistów w zamian za ohydną służbę, przyzwolenie i milczenie.

Pracując nad filmem „Humer i inni", słuchałam świadków, którzy przeżyli okrutne tortury, okaleczeni fizycznie i psychicznie na całe życie, dotrwali, by dać świadectwo prawdzie, również w imieniu tych zamordowanych. Nigdy nie zapomnę zeznań szyfrantki AK Marii Hatowskiej i znakomitego pilota wsławionego w bitwie o Londyn Stanisława Skalskiego – aresztowani, więzieni, bici, poniewierani, z wielkim trudem zdobywali się na opowiedzenie o tym przed sądem i zebraną na sali publicznością. Adam Humer (prawdziwe nazwisko Umer) bił osobiście żelaznymi prętami, nachajką zakończoną kolczastą kulką aż do utraty przytomności i do agonii, a jego podwładni trzymali ręce i rozciągnięte ciało 25-letniej dziewczyny. Podobnie zeznawał gen. Stanisław Skalski, który powrócił po wojnie do Polski, a tu „w nagrodę" dostał okrutne śledztwo, karę śmierci, więzienie, karcery, tzw. nocne stójki nago na mrozie polewany wodą, haniebne słownictwo, deptanie ludzkiej godności i straszne bicie w sposób wymyślony chyba przez samego belzebuba.

Wśród oskarżonych ubeków obok Adama Humera siedzieli inni jego podwładni, tacy jak Roman Laszkiewicz, zwany białym katem Mokotowa, Eugeniusz Chimczak, niecofający się przed żadną torturą, czy Jan Pugacewicz, który wkładał oskarżonemu rozprostowany spinacz do nosa i cynicznie pytał, czy dojdzie do mózgu... Poniewierali, mordowali najwspanialszych Polaków, wystarczy poczytać książki Leszka Żebrowskiego, Barbary Otwinowskiej, Tomasza Łabuszewskiego, relacje i opracowania na stronach IPN, by mieć świadomość, jak było naprawdę.

Pamiętam reakcję jednej z młodych asystentek sądowych, która przysłuchując się wtedy, w 1995 r., zeznaniom świadków i obserwując zbrodniarzy, zaczęła szlochać i wypadła z sali sądowej. Praca nad tym filmem była dla mnie wielkim przeżyciem, mimo że wychowałam się w domu patriotycznym, w którym te sprawy były znane, najbliżsi wiele wycierpieli, należeli do ziemian zwanych wówczas kułakami, których trzeba było zniszczyć. Jednak to, co zobaczyłam i usłyszałam na sali sądowej przez ponad rok procesu, jedynego takiego w III RP, w którym naprzeciwko siebie stanęli oprawcy i ich ofiary, było szokujące, trudne do wyobrażenia. Wspomniana Maria Hatowska przychodziła na każdą rozprawę, stawała w milczeniu pod drzwiami sali rozpraw, patrzyła przed siebie kamiennym wzrokiem, jakby nikogo obok nie widziała, doczekała tak swojego dnia, kiedy mogła podejść do pulpitu i przed sądem opowiedzieć, jak zmarnowali jej życie, co z nią robili oprawcy na czele z Adamem Humerem, dyrektorem strasznego Departamentu X Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Wracając po zeznaniu, trzymała się ławek, na końcu upadła, przewieziona do szpitala wkrótce zmarła. Jakby czekała tylko na ten najważniejszy dzień, by opowiedzieć, jak było, zaświadczyć prawdę.

Oprawcy z Urzędu Bezpieczeństwa na służbie Moskwy zniszczyli nam Polskę na wiele pokoleń aż do dzisiaj, zabrali najwartościowszych ludzi, resztę sponiewierali, zastraszyli i uczynili narzędziem w rękach zbrodniarzy i kłamców.

Teraz, gdy znowu wraca sprawa ustawy odbierającej wysokie przywileje zbrodniarzom, powracają tamte obrazy z procesu Humera i jego towarzyszy i trudno pojąć, że dzisiaj, przy obecnej wiedzy, są ludzie, którzy stają obok ubeków i wspierają ich żądania. Pamiętamy przecież całe kierownictwo Platformy Obywatelskiej, Grzegorza Schetynę, Borysa Budkę i innych, na manifestacjach KOD-u wspierających ubeków, którzy nie chcieli się pogodzić z utratą wysokich emerytur. Jeśli kogoś pamięć zawodzi, co jest ostatnio chyba naszą narodową chorobą, wystarczy zajrzeć do internetu, przecież tak ulubionego przez celebrytów i cały tzw. salon, oraz przypomnieć sobie brylującego wówczas w mediach pułkownika Adama Mazgułę. Kto miał odwagę publicznie stać obok niego i jawnie popierać ubeków niekryjących swojej haniebnej działalności w czasach PRL. Pamiętamy Romana Giertycha podskakującego i wołającego: „Kto nie skacze, ten jest z PiS-em, hop!, hop!, hop!" – teraz często te i podobne wypowiedzi „sławnego" mecenasa są przywoływane, czasami z trafnym ironicznym komentarzem.

Rafał Leśkiewicz na stronie IPN w tekście „Ukarać winnych i przywrócić godność ofiarom" napisał: „Był to system naczyń połączonych, wzajemnie od siebie zależnych i współpracujących. Każdy funkcjonariusz pełniący w nich służbę, niezależnie od stopnia i stanowiska, realizował zadania w celu skutecznej eliminacji wszelkich przejawów dążeń wolnościowych". Te połączone naczynia dzisiaj nadal działają. Jeden z internautów po obejrzeniu filmu „Humer i inni" na YouTubie napisał taki komentarz: „Uderzająca jest dla mnie doszczętnie dobijająca konstatacja, jak nasycone koligacjami ubeckimi są nasze elity – zarówno polityczne, jak i artystyczne. Rok 1989 nie stał się żadną granicą władztwa i wpływów komunistów, to jest niepodważalny fakt".

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl 17264ffba3

Historia we fraszkach

Z czterdziestu kilku książąt i królów istotnych dla ciągłości naszego państwa Polacy posiadają szczątkową wiedzę zaledwie o kilku z nich. Mieszko I – chrzest, Bolesław Chrobry – pierwszy król Polski, Kazimierz Wielki – zmienił kraj z drewnianego w murowany, Jagiełło – pokonał Krzyżaków pod Grunwaldem, a Sobieski – przegonił Turków spod Wiednia. Sasi zwykle „jedli, pili i popuszczali pasa", a utracjusz Stanisław August Poniatowski parafował I rozbiór Rzeczypospolitej.

Lech Makowiecki

Tymczasem z biografii każdego z naszych władców wyciągnąć można bardzo pożyteczne nauki. Zależności między kondycją państwa a osobistymi zaletami (wadami?) poszczególnych monarchów są oczywiste. Zwykle władca mądry, waleczny i sprawiedliwy prowadził kraj od sukcesu do sukcesu, natomiast słaby, głupi i tchórzliwy przyczyniał się do jego upadku. Nie zawsze wykształcenie decydowało o sukcesie, liczyły się też intuicja, innowacyjność i... zdrowy rozsądek. Mieszko, Chrobry czy Jagiełło byli analfabetami, ale do historii przeszli jako wybitni przywódcy! Znający dziewięć języków Michał Korybut Wiśniowiecki w żadnym z nich nie potrafił powiedzieć nic sensownego. Wszechstronnie wykształcony Jan III Sobieski (humanista, umysł ścisły, strateg) genialnie spożytkował swą ogromną wiedzę dla dobra kraju. Ale zdarzali się też zwykli pechowcy, jak Henryk Pobożny czy Władysław Warneńczyk (choć ten ostatni stracił głowę na własne życzenie).

Przygotowując – w ramach programu MKiDN „Kultura w sieci" – edukacyjno-rozrywkowy, ogólnodostępny projekt (YT) pt. „Historia we fraszkach – od Mieszka po Staszka", postawiłem na krótki, wierszowany i dowcipny przekaz. Mam nadzieję, że dzięki tej „lajtowej" formie uda mi się zainteresować młodzież historią jako nauką o... przyszłości. To kompendium wiedzy polecam również dorosłym, zwłaszcza nauczycielom i politykom. Ci ostatni – mający decydujący wpływ na rządzenie krajem – mogliby częściej korzystać z historycznej „ściągi".

Z życia Kościoła

relacjonuje **Agnieszka Ponikiewska**

1. Niemal każdy ma już wśród znajomych lub w rodzinie kogoś chorego na COVID-19. Chorują biskupi, kapłani i siostry zakonne. Coraz częściej zdarza się, że z powodu kwarantanny zamykane zostają świątynie. Życie duchowe ponownie przenosi się do internetu. Jeśli to możliwe, z zachowaniem zasad sanitarnych idźmy do kościoła, jeśli zostajemy w domu, pomocą służy strona msza-online.net. Znajdziemy tu wykaz mszy św. transmitowanych przez internet.

✠ ✠ ✠

2. Co roku groby naszych bliskich odwiedzamy głównie 1 listopada, choć nie jest to dzień modlitwy za zmarłych. Dzień Zaduszny przypada 2 listopada. Kapłani apelują, by w tym roku wizyty na cmentarzach rozłożyć w czasie. Przypominają, że modlitwa za zmarłych, msza św. w ich intencji czy ofiarowanie odpustu to coś znacznie ważniejszego niż świeże kwiaty na grobach. Warto też wykorzystać wszystkie dni oktawy listopadowej na modlitwę za zmarłych i wyjazdy na cmentarze.

✠ ✠ ✠

3. Czas to miłość! To nowy projekt serwisu stacja7.pl. W oczekiwaniu na odłożoną z powodu pandemii koronawirusa beatyfikację Prymasa Tysiąclecia znani polscy artyści wyśpiewują jego nauczanie. Projektowi przyświeca idea przybliżenia młodzieży postaci kard. Stefana Wyszyńskiego. Kierownikiem muzycznym całości jest Dariusz Malejonek.

✠ ✠ ✠

4. Wkrótce na ekrany kin wejdzie film „Czyściec". Jego główną bohaterką jest Stefania Fulla Horak, nawrócona ateistka, która doświadczyła wizji nieba, czyśćca i piekła. Życie Stefanii można nazwać drogą od ateizmu do mistycyzmu. Widywała dusze zmarłych, m.in. wielkich postaci Kościoła. Film „Czyściec" jest próbą znalezienia odpowiedzi na pytanie, co czeka nas na końcu naszej ludzkiej egzystencji.

✠ ✠ ✠

5. Ogromne emocje wywołała publikacja fragmentu filmu ze słowami papieża Franciszka na temat homoseksualizmu. Czy naprawdę można mówić o zmianie doktryny w sprawie osób LGBT i związków partnerskich? „To, co musimy stworzyć, to prawo do wspólnego pożycia. Oni mają prawo do tego, by być prawnie chronionymi" – jak podaje KAI to najbardziej zbliżone do oryginału tłumaczenie papieskiej wypowiedzi na temat osób homoseksualnych z dokumentalnego filmu Jewgienija Afiniejewskiego pt. „Francesco". Kościół nie wyklucza osób homoseksualnych i jasno mówi, że grzechem nie jest skłonność, ale czyn.

eprasa.pl 17264ffba3

JAN POSPIESZALSKI

Odwaga patrzenia w przyszłość

Uporczywe ignorowanie katastrofy demograficznej przez polityków jest świadectwem tego, jak działa liberalna demokracja

Dziś, 22 października, Trybunał Konstytucyjny bada zgodność przesłanki eugenicznej (dopuszczającej przerywanie ciąży, gdy lekarz u dziecka wykryje podejrzenie upośledzenia) z ustawą zasadniczą. Rozstrzygnięcie nie będzie tylko kwestią obrony życia. To aksjologia, która ukształtuje mentalność i wyobraźnię moralną Polaków. System wartości odzwierciedlony w konstytucji, którym żyje wspólnota, to złożona i delikatna materia. Prawo chroniące życie nawet nieuleczalnie chorego dziecka mówi nam, że w konflikcie wartości: życie kontra wygoda rodziców, należy wybrać życie. Zatem w systemie wartości wspólnoty jest miejsce na wyrzeczenie i poświęcenie. To ważne w kontekście problemu, o którym poniżej.

Żyjemy w kraju, który się wyludnia. W 2019 r. zmarło 410 tys. Polaków, a urodziło się tylko 375 tys. Liczba trumien o 35 tys. przewyższyła liczbę kołysek. Wyobraźmy sobie, że w ubiegłym roku zniknął Sanok, Nowy Targ lub Lębork. Proces przyspiesza, ponieważ wkraczamy w dekady, gdy będzie odchodzić pokolenie wyżu lat 50. Według prognozy ONZ, zakładając kontynuację zjawisk (stała dzietność – 1,45 – i stała śmiertelność, przy zerowej migracji), w roku 2050 ludność Polski z obecnych 38,3 mln spadnie do 29,5 mln. Natomiast gdy urodzona w maju moja wnuczka Michalina osiągnie wiek 80 lat, ludność Polski skurczy się do 13,7 mln. Przy optymistycznych prognozach zakładających wzrost dzietności do 1,6 dziecka na kobietę będzie nas 17 mln.

Pytanie najważniejsze: kogo to obchodzi?

Uporczywe ignorowanie katastrofy demograficznej przez polityków jest świadectwem tego, jak działa liberalna demokracja. Przykładem jest sytuacja rodzinna liderów politycznych Europy: kanclerz Niemiec, prezydent Francji, premierzy Wielkiej Brytanii i Holandii to osoby bezdzietne. Brak wrażliwości na te kwestie wynika z dominującej w polityce żabiej perspektywy z horyzontem najbliższej kadencji. W ostatnich kampaniach wyborczych problem wyludniania się Polski właściwie nie zaistniał. Liczby nie kłamią, depopulacja postępuje, a chowanie głowy w piasek to przejaw skrajnej nieodpowiedzialności, ignorancji lub sabotaż. Nie jest wytłumaczeniem, że żaden europejski kraj nie znalazł dobrej recepty na to, jak zatrzymać spadek urodzeń. To fakt, że zamożniejsi od nas, choć przeznaczają ogromne środki i mają więcej żłobków, nie radzą sobie z kryzysem urodzeń. Nieco lepsze wskaźniki dzietności Francji (2,0), Szwecji (1,9) czy Wielkiej Brytanii (1,8) to zasługa imigrantów.

Program 500+ (o czym pisałem wielokrotnie) nie przyniósł trwałej poprawy. Błędem było potraktowanie przez rząd programu jako zasiłku. Zapomogi są po to, by wyrównać jakiś brak, np. inwalidztwo, ubóstwo, więc konotacja jest negatywna. Utrwalono zbitkę pojęciową: dziecko to kłopot. Tymczasem powinno być zupełnie odwrotnie. We wszystkich wielkich tradycjach cywilizacyjnych liczne potomstwo to błogosławieństwo. Dzieci to dar, radość, pociecha, bezpieczna przyszłość. Decyzja o urodzeniu dziecka lub przyjęcie życia, gdy pojawia się nieplanowane, to roztropność. Natomiast nakłady na dziecko: wykształcenie, zdrowie i rozwój, to inwestycja dla wspólnoty. Publiczne pieniądze zatem, „idąc za dzieckiem", są zwrotem podatków i refundacją poniesionych kosztów. Takie postawienie sprawy zamyka dyskusję o tym, komu się należy i od którego dziecka. Czynnik finansowy jest ważny, ale nie decydujący.

Podstawowym czynnikiem jest mentalność. Ta zaś formowana była przez dziesięciolecia i jest to mentalność antykoncepcyjna. Pandemia pokazała, że rząd ma odwagę podejmować niekorzystne dla gospodarki działania i radykalne ograniczenia wolności po to, żeby ochronić nasze zdrowie. Czy porównywalnie radykalnych kroków nie należy podjąć w obronie naszego bytu narodowego i państwowego? Kwestia zmiany mentalności i nawyków jest możliwa. Ale potrzebny jest długofalowy program. W innych kwestiach – gospodarczych (leśnictwo, infrastruktura, ochrona klimatu, zbrojenia) – państwo prognozuje na kilkadziesiąt lat i podejmuje działania. Czy można zaplanować zmianę kulturową? O tym w kolejnym tekście.

eprasa.pl 17264ffba3

Michał Korsun prezentuje: Hej Mann, nie wstydź się !

Wycinki z przeszłości

Wrak „Titanica" od 35 lat rozbudza wyobraźnię kolejnych pokoleń, jest ważnym elementem kultury masowej. Odnaleziony został 1 września 1985 r. przez amerykański okręt badawczy „Knorr" z 13-osobową ekipą naukowców, kierowanych przez Roberta Ballarda. Osiągnięcie było możliwe dzięki użyciu supernowoczesnego wówczas robota podwodnego Argo.

Redakcja i czytelnicy miesięcznika „Morze" śledzili tamte wydarzenia z dużym przejęciem. Pismo poświęciło sprawie dwie okładki – w styczniu 1986 r. i kwietniu 1987 r. Relacjonowano też późniejsze badanie wraku: „Sterowany podwodny robot dociera do wnętrza statku w części dziobowej. Za pośrednictwem tego »automatycznego oka« zobaczyć można pozostałości klatki schodowej, salonu, a nawet kabiny. »Titanic« nie jest już »pełną wdzięku damą«. Blachy pokryły się rdzawymi zaciekami, drewniane części stały się pożywieniem dla całej armii szkodników, wanny i inne elementy wyposażenia obrośnięte zostały całymi koloniami morskich istot".

Co ciekawe, nie potwierdziły się wyrażane nadzieje, że odnalezienie wraku ostatecznie odpowie na wszystkie pytania o przyczyny katastrofy. Wciąż nad sprawą unosi się wiele niewiadomych.

(mk)

Con leggerezza

Leszek Długosz

Przylatują dusze
Z tamtego świata
I usiłują z nami grać
Według starego scenariusza
Jak dawniej
– Myślą, że się nie zmieniło

Rozkładają mapy notatniki
I przysiadłszy na ramieniu
To na mostku obok serca
Zapytują: n o j a k?
Boże, jakim do nich mówić językiem?
Jak im wytłumaczyć
Zmianę frontów
Odwrócenie szyków
– Że boli, co nawet nie było przypuszczalne
A co się mocno obejmowało, że się rozprysło
(Nawet się nie pamięta
Jakie To miało imię?)
I że ta g w i a z d a b e z n a m i ę t n o ś c i
Oto jest – wedle dziś – triumf właściwy
Batalia przeprowadzona do końca, jak należy

My się za was modlimy – szepną
Bo cóż innego mogą – jeśli cokolwiek
Z nas
Z tego, co tu się z nami dzieje, pojmują?
– Pomyszkują po szufladach, obejdą kąty
Przypatrzą się jeszcze swoim na ścianach
Fotografiom i hop
– Przez szpary w oknach
– Przez dziurkę od klucza
Małe srebrne spiralki
Chybotliwe płomyki
Dawnych imion

Być może pamiętają, że jeśli nie n a g l e
To... t a k t o j e s t zwyczajnie
– Tak coraz bardziej j e s t s i ę tu
Ni z tego, ni z owego świata
– Poco a poco. Jeszcze vivace, ma non troppo

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl 17264ffba3

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Technologia na (nie)szczęście

„Kiedy 90 proc. Polaków będzie miało kogoś w rodzinie albo w najbliższym sąsiedztwie, kto był zakażony i wyszedł z tego okaleczony zdrowotnie – wtedy w świadomości Polaków nastąpi przekroczenie masy krytycznej. I wtedy wszyscy zaczną się bać, zachowywać się w sposób maksymalnie egoistyczny, izolując się na potęgę dobrowolnie i poruszając się tylko w niewielkich niszach, które będą wydawały się bezpieczne. Będziemy się zachowywać jak 38-milionowa rodzina szczurza, przemykająca gdzieś opłotkami i szukająca czegoś do jedzenia".

Wizja wyjęta z horroru? Nie. To ostrzeżenie psychologa społecznego prof. Janusza Czapińskiego, że po pandemii możemy się cofnąć w rozwoju (Interia, 19 października 2020).

PANI DOBRODZIEJKA

Dość często w kontekście pandemii podkreślane są, jako coś oczywistego, dobrodziejstwa, jakie przyniosła nam technologia. Co byśmy teraz zrobili bez internetu? W domyśle jest też nadzieja, że to właśnie nauka i technologia przyniosą nam ratunek. Zdaniem prof. Czapińskiego „pocieszające jest to, że zdążyliśmy na czas z rozwojem nowych technologii komunikacyjnych. Gdyby ta pandemia zdarzyła się dwie dekady wcześniej, sytuacja byłaby o niebo gorsza. Także jeżeli chodzi o relacje społeczne. Teraz, nawet jeśli nie możemy kogoś fizycznie dotknąć, to możemy spojrzeć sobie w oczy i porozmawiać z sobą za pośrednictwem komunikatora".

Naszym zdaniem ułudna to pociecha. Przecież gdyby nie cyfrowa faza globalizacji, to najprawdopodobniej epidemia zostałaby zdławiona w regionie, gdzie się wyłoniła, i nie miałaby szans się rozwinąć do skali pandemii planetarnej. Dwie dekady wcześniej wirus nie miałby tak łatwej drogi i takiego zasięgu zakażania.

Gdyby nie cyfrowa faza globalizacji, to najprawdopodobniej epidemia zostałaby zdławiona w regionie, gdzie się wyłoniła

DANE, DANE, DANE…

Liczba zakażonych, liczba łóżek szpitalnych, liczba respiratorów w użyciu i liczba dostępnych, liczba osób hospitalizowanych, liczba zmarłych z chorobami współistniejącymi i bez nich, liczba osób, które wyzdrowiały, liczba zakupionych szczepionek na grypę, liczba brakujących lekarzy, liczba osób na kwarantannie, te maseczki są skuteczne, a tamte nie, liczba zespołów ratunkowych, liczba szpitali, jest już przełom w badaniach nad szczepioną albo go nie ma, szwedzki model odporności stadnej jest skuteczny albo nie jest.

Każdy może się wypowiadać na temat pandemii niemal jak ekspert. Na poważne problemy, które z wirusem COVID-19 mają naukowcy, zwłaszcza epidemiolodzy, nakłada się zgiełk w postaci „fachowych" komentarzy aktora, nauczyciela, przedsiębiorcy, ucznia. Niemal każdy może publicznie przedstawić swoją teorię.

Niekończące się strumienie danych i opinii. Media, ściągając się z sobą w przekazywaniu ich do wiadomości publicznej, nie przynoszą nic ponadto, że sprzyjają wzrostowi paniki w społeczeństwie. Przecież już ustalono, że w sieci najszybciej szerzy się dezinformacja.

STRASZYĆ, STRASZYĆ…

21 października 2020 r. Wirtualna Polska pisze: „Według najnowszych badań smog może przyczynić się do zwiększenia śmiertelności na COVID-19. Naukowcy nie mają wątpliwości – dane są porażające".

Pogoń mediów cyfrowych za klikalnością to jedno z „osiągnięć" nowoczesnej technologii. Wielu dziennikarzom najwyraźniej brakuje świadomości, że z każdym przekazem – najlepiej z nutką sensacji – tak bardzo dziś skomplikowany proces zarządzania państwem zaburzają. A odpowiedzialność za walkę z pandemią złożona jest na barki polityków, a nie internetowych trolli.

Jednak krytyczne wobec technologii podejście w obecnej sytuacji walki świata z COVID-19 nie jest dobrze widziane. Każdego, kto waży się kwestionować dary, jakie przynosi internet, próbuje się stawiać do ciemnego kąta.

A tak na dobrą sprawę, do czego obecnie służy przede wszystkim internet? Do tego, abyśmy sobie uświadomili, jak bardzo nie potrafimy światem społeczno-gospodarczym zarządzać na poziomie globalnym i lokalnym.

Jak można spojrzeć w oczy za pomocą komunikatora? Imitacja zastąpiła nam rzeczywistość. Może jakieś, oby kontrolowane, cofnięcie się w rozwoju jest ludzkości potrzebne...

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja | Reklama 46/0920/F

eprasa.pl 17264ffba3

ZOSTAŃ W DOMU!

WYBIERZ PRENUMERATĘ Z PREZENTEM

Fot. Shutterstock

wSIECI i wSIECI HISTORII otrzymasz:

- **bez wychodzenia z domu** – bezpiecznie zafoliowane trafią prosto do skrzynki
- **nawet 30% taniej**
- i **z książką** o wartości 99,90 zł **w prezencie!***

*książka w prezencie do rocznej prenumeraty „Sieci" i „wSieci Historii"

ZAMÓW ROCZNĄ PRENUMERATĘ PAKIETU:

tygodnika SIECI i magazynu wSIECI HISTORII za 280 zł, a książkę **„Nowy Herbarz Polski"** otrzymasz **GRATIS**!

tel. 22 616 36 00 | prenumerata@fratria.pl
www.wsieciprawdy.pl/prenumerata

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: 91 1240 5354 1111 0010 7713 6290, Fratria sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisując: PRENUMERATA PAKIET i pełne dane adresowe do wysyłki.

eprasa.pl 17264ffba3

DRAP

Zdrapki

DRRRAP

KASA WPADA!

LOTTO

18+ Informujemy, że w gry liczbowe i loterie mogą grać jedynie osoby, które ukończyły 18 lat.